165.

EMIL ZOLA.

ZIEMIA

(LA TERRE).

ROMANS.

WARSZAWA
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1887.

Дозволено Цензурою
Варшава 29 Мая 1887 года.

Druk Przeglądu Tygodniowego, Czysta Nr. 4.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Ranka owego—Jan—przewiesiwszy przez ramię niebieską, płócienną sakwę z ziarnem do siewu, przytrzymywał otwór jej lewą ręką, prawą zaś, zatrzymująo się co trzy kroki, brał zeń po garści zboża i jednym równym ruchem, niby lot ptaka naśladującym, rozrzucał je łukiem półkolistym. Grube jego trzewiki wyciskały głębokie ślady na tłustej ziemi, która do nich przylegała i przenosiła się za niemi, w spokojnym, miarowym ruchu jego ciała. Za każdym ruchem ręki wśród latającego w powietrzu złotego zboża, dostrzedz było można dwie czerwone naszywki na rękawie żołnierskiego kaftana, który Jan dodzierał. On sam szedł przodem, z głową podniesioną, wyniosły, jakby dumny z spełnianej przez się czynności; zanim powoli ciągnęła się brona, zaciskająca w ziemię ziarno, a zaprzężona w parę koni, które popędzał parobek, co parę kroków klaszcząc z długiego bata po nad ich uszami.

Odcinek gruntów, wynoszący zaledwie pięćdziesiąt akrów, nie wiele dochodu przynosił, to też pan Hourdequin, właściciel majątku Borderie, nie uważał za potrzebne posyłać nań mechanicznego siewnika, który zresztą zajęty był gdzieindziej na większym obszarze. Jan, który szedł właśnie po odcinku, w kierunku od południa ku północy, miał wprost przed sobą o dwa kilometry zabudowania folwarczne. Doszedłszy do miedzy granicznej, podniósł oczy, popatrzył bezmyślnie przed siebie, odpoczywając chwilkę.

Nizkie te zabudowania, pokrywał dach z ciemnego łupku. Całość przedstawiała jak gdyby dużą czarną plamę na progu Beaucyi, której rozległe płaszczyzny ciągnęły się w dal ku Chartres. Pod olbrzymią kopułą niebios, chmurną i szarą, jak zwykle niebo ku końcowi października, rozciągało się dziesięć mil kwadratowych ornej, rodzącej ziemi. Ziemia ta, żółta i silna, była prawie nagą w tej porze roku. Wielkie, czarne płachty przeoranej ziemi szły naprzemian z jasnemi polami zieleniejącej lucerny i koniczyny. Ani jeden pagórek, ani jedno drzewko nie zasłaniało widoku. Czarne i zielone pasy ciągnęły się w dal, spływały ze sobą, zniżały się i niknęły po za linią horyzontu, równą i okrągłą, jakby na morzu. Tylko od strony zachodniej, mały lasek zasłaniał widnokrąg, kępką drzew żółciejących ku zimie. Przez środek biała, jak kreda, droga, prowadząca z Châteaudun do Orleanu, ciągnęła się prosto, per-

spektywicznie rozciągając szeregi słupów telegraficznych i drogowskazów. Zresztą nic — chyba nieruchome skrzydła trzech lub czterech wiatraków, podniesionych na ciesielskich wiązaniach. Wioski tworzyły jak gdyby kamienne wysepki, w oddali szczyt dzwonnicy wyglądał z załamku, kościołek zaś sam niknął wśród lekkich fal tej zbożodajnej ziemi.

Ale Jan zawrócił i szedł znowu od północy ku południowi, lewą ręką przytrzymując otwór sakwy, prawą zaś równym i miarowym ruchem rozrzucając ziarno. Teraz wprost przed nim, jakby rów ręką ludzką wykopany, ciągnęła się wąska dolina rzeczki Aigry, po za którą zaczynała się Beaucya, olbrzymia, płaska, aż do Orleanu.

W dolinie były zapewne łąki i miejsca zacienione, bo po nad linią załamu wychylały głowy wyniosłe topole. Pożółkłe ich wierzchołki, ciągnące się równo, po nad dołem, wyglądały jak nizkie krzewiny lub zarośla. Ze zbudowanej na pochyłości wioski Rognes ukazywało się tylko kilka dachów, cisnących się u stóp kościołka, wznoszącego ku górze szarą, kamienną wieżycę, która służyła za mieszkanie starym rodom czarnych kruków. Na wschód znowu po za doliną Loiry, w której w odległości dwóch mil leżała stolica kantonu, miasteczko Cloyes, rysowywały się w oddali wzgórza Perche, fioletowawe w szarem świetle dnia jesiennego. Miejscowość ta leżała w dawnej prowincyi Dunois, stanowiącej obecnie

okrąg Châteaudun, pomiędzy Perche i Beaucyą, na skraju tej ostatniej, w okolicy zwanej „Beaucyą wszawą“, z powodu mniejszej urodzajności gruntu. Doszedłszy do skraju pola, Jan stanął znowu, powiódł wzrokiem po żywych i przejrzystych wodach rzeki Aigry, płynącej wśród traw, równolegle do gościńca, po którym jak zwykle w soboty, ciągnął się szereg wieśniaczych wozów, dążących na targ do miasta, potem zawróoił znowu.

I ciągle tym samym krokiem, z tym samym ruchem ręki szedł ku północy i wracał ku południowi i ciągle go otaczał złoty pył unoszącego się w powietrzu ziarna a za nim brona przy trzaskaniu z bicza zaciskała w ziemię nasienie tymże samym ruchem wolnym, miarowym, jakby z namysłem i zastanowieniem wykonywanym. W tym roku długie i ulewne deszcze opóźniły zasiewy jesienne; mierzwiono jeszcze w sierpniu, oddawna już orka była gotową a czarne zagony, głębcko otwarte, oczyszczone z chwastów oddawna czekały, by wydać pszenicę i żyto po koniczynie i owsie w płodozmianie trójpolowym. To też obawa blizkich mrozów, grożących po takich ulewach, naglił rolników do pośpiechu.

Powietrze oziębiło się nagle i przybrało kolor tłustej sadzy, wiszącej spokojnie i nieruchomo bez jednego tchnienia wiatru w szarem świetle po nad tym oceanem zoranej ziemi. Na wszystkie strony sieją. Na lewo w odległości trzystu

metrów, jakiś wieśniak obsiewa swój zagon, na prawo znów drugi, dalej jeszcze trzeci i czwarty i inni jeszcze, malojący w oddali, wśród tej perspektywy płaskiej przestrzeni. Widać tylko ich małe czarne sylwetki, im dalej tem coraz bardziej malejące i niknące wreszcie wpośród pól. Ale każdy z nich tym samym szedł krokiem, tym samym rzutem posyłał ziemi ziarno, które w koło każdego z nich, jak falę życia odgadnąć było można. Płaszczyzna drżała cała, przyjmując nasienie, drżała aż do głębi i wszerz i wdłuż aż tam, gdzie już siewaczy nie widać...

Jan wracał już po raz ostatni, gdy w tem od strony wioski Rognes zobaczył dużą graniastą krowę, którą młoda dziewczyna, prawie dziecko jeszcze, prowadziła na sznurze. Dziewczyna i krowa szły ścieżką, ciągnącą się wzdłuż doliny, na skraju wyniosłości. Jan, odwrócony plecami, obsiał właśnie ostatni zagon, gdy posłyszał po za sobą odgłos biegu bydlęcia i rozpaczliwy krzyk jakiś. Obejrzał się, zdejmując jednocześnie sakwę, z której brał ziarno do siewu. Krowa jak wściekła pędziła po lucernisku, ciągnąć za sobą dziewczynę, która powtrzymać się ją starała... Obawiając się wypadku, Jan krzyknął:

— Puść ją!

Dziewczyna nie słyszała, wymyślała tylko krowie i klęła ją a w głosie jej dźwięczał gniew i przerażenie.

— Zuzula! stój!... Zuzula! podłe bydle! łajdaczko jakaś, Zuzula!

Dotychczas biegnąc i podskakując o ile słabe jej i małe nożyny starczyły, dziewczyna podążała za krową. Ale potknęła się, upadła raz, zerwała się i upadłszy po raz drugi trochę dalej, już podnieść się nie mogła. Rozszalałe bydlę pędziło naprzód, wlokąc za sobą dziewczynę, która krzyczała przeraźliwie. Ciało jej, ciągnąc się po lucernie, zostawiło bruzdę wśród zieleni.

— Puśćże ją u licha!...—wrzeszczał Jan—puść sznurek! cóż u dyabła!...

Krzyczał tak bezmyślnie, ze strachu i przerażenia, aż nareszcie, zrozumiawszy grozę położenia biednej dziewczyny, puścił się pędem biegnąc, ile mu sił starczyło. Domyślił się, że sznur musiał się zacisnąć dokoła pięści dziewczyny i że każdy nowy wysiłek zaciska węzeł ten silniej. Na szczęście, biegnąc w poprzek przez zorane zagony, zabiegł drogę krowie, która przerażona nagłym widokiem człowieka, stanęła w miejscu. W jednej chwili Jan rozwiązał węzeł i posadził dziewczynę na trawie.

— Nie złamałaś sobie nic?

Ale ona nawet nie zemdlała. Wstała, pomacała się, podniosła spódnicę do bioder i z całym spokojem obejrzała nogi i kolana, które były trochę starte i paliły ją mocno.

Była tak zdyszana, tak szybkością biegu zmęczona, iż słowa wymówić nie mogła.

— O tu!.. patrzcie!.. —wyjąkała nareszcie—tu mnie boli, tu mnie piecze... Ale to nic, mogę się ruszać, nic mi się złego nie stało!... Tom ci dopiero strachu zażyła!,.. Gdyby się to było stało na drodze, w drzazgibym się chyba rozsypała!...

Obejrzała rękę, przerzniętą czerwoną pręgą zwilżyła ją śliną i do ust podniosła. Potem oddychając głęboko, swobodnie, uspokojona już dodała:

— Ona zwykle nie jest zła, Zuzula. Od rana, dopiero taka rozszalała szelma, bo się goni... i prowadzę ją do buhaja, do Borderie...

— Do Bordierie— powtórzył Jan—a to się dobrze zdarza, ja tam właśnie idę z pola, pójdziemy razem.

Mówił jej „ty“ uważając ją za dziecko, tak była małą i szczupłą na swoje lat czternaście. Ona, podniósłszy głowę, patrzyła poważnie na tego tęgiego chłopca, o ciemnych krótko przystrzyżonych włosach i o regularnych rysach twarzy. Dwudziesto dziewięcioletni Jan wydawał jej się starym już chłopem.

— Aha! ja was znam... wyście kapral—stolarz, który zgodził się za parobka do pana Hourdequin.

Usłyszawszy przydomek „kapral“, jakim go cała wieś nazywała, parobek uśmiechnął się i zaczął przyglądać dziewczynie, zdziwiony, że ją widzi już prawie kobietą. Patrzył ciekawie na jej drobną pierś, unoszącą się sztywno pod koszu-

lą, na twarz jej podłużną, na czarne, głębokie oczy, na grube mięsiste wargi, na ciało świeże i różowe jak owoc dojrzewający. Ubrana była w szarą spódnicę i czarny wełniany kaftanik, na głowie miała okrągły czepeczek. Skóra jej śniada, opalona wydawała się jakby pozłoconą od słońca.

— Toć ty przecie jesteś młodsza córka ojca Momke!—zawołał Jan.—A ja cię nie poznałem... Nieprawdaż, że twoja siostra była kochanką mego kolegi Kozła, który przeszłej wiosny robił zemną razem w Barderie?

Dziewczyna odpowiedziała spokojnie...

— A no tak!.. to ja jestem Franusia... a i to prawda, że moja siostra Liza dała się wziąć kuzynowi i teraz chodzi gruba, jak dynia, w szóstym miesiącu... kuzynek drapnął i jest ponoć gdzieś koło Orgères na folwarku la Chamade.

— Tak, tak!—zakończył Jan. — Widziałem ja ich razem.

Stali chwilę naprzeciw siebie nic nie mówiąc, on uśmiechnięty na wspomnienie, jak kiedyś zeszedł parę kochanków za stertą zboża, ona wilżąc ciągle śliną zsiniałą rękę, jak gdyby wilgoć jej ust uspokajała istotnie palenie po sznurku pozostałej pręgi. Tymczasem na jednem z siąsiednich pól, krowa wypasała spokojnie kępki lucerny. Parobek dawno już z broną wrócił do domu.

Słychać było tylko krakanie dwóch kruków, krążących ciągłym lotem około dzwonnicy.

W tem wśród cichego i spokojnego powietrza rozległy się trzy uderzenia dzwonu, wzywającego na Anioł pański.

— Jakto?!... już południe! — zawołał Jan. — Dalej, spieszmy się.

Obejrzał się i spostrzegłszy Zuzulę w polu:

— Patrz no! — dodał—toć twoja krowa weszła w szkodę. Gdyby ją tak kto zobaczył!... Byłaby dopiero bieda!... Czekaj, złodziejko! już ja cię uczęstuję!...

— Et! dajcie pokój — rzekła Franusia, zatrzymując go. — Ten kawał gruntu do nas należy... Ta szelma na swojem mnie przewróciła... Cały pas wzdłuż drogi, aż do Rognes należy do naszych. Ztąd po tamten aż kamień - to nasze, potem obok—to grunt wuja Fouan a tamto dalej—to ciotki, co ją Wielką nazywają.

Mówiąc to i pokazując ręką udziały na polu, sprowadziła jednocześnie krowę na ścieżkę i dopiero w chwili, gdy znowu wzięła w rękę postronek przypomniała sobie, że wypada podziękować Janowi.

— Z tem wszystkiem jednak, wam się odemnie jak świętemu świeczka należy... Dziękuję, dziękuję serdecznie, kapralu!

Poszli tedy drogą a raczej wązką ścieżką, ciągnącą się wzdłuż doliny, aż do załamku, od którego drożyna w pola się zwracała. Ostatnie dźwięki południowego pozdrowienia Maryi przebrzmiały w powietrzu, tylko kruki krakały nie-

ustannie. Ciągnąc sznurek, szli oboje za krową w milczeniu, właściwem wieśniakom, którzy idą nieraz mil kilka razem, niezamieniwszy z sobą ani słowa. Na prawo ujrzeli siewnik mechaniczny; parobek pozdrowił ich słowami: „dzień dobry“, odpowiedzieli mu „dzień dobry“ równie spokojnie i poważnie. Niżej na lewo wozy włościańskie wlokły się powoli po drodze ku Cloyes... Targ rozpoczynał się o pierwszej dopiero. Koła tych wozów podskakiwały jak szarańcza na wybojach drogi, niektóre z nich, były tak daleko, że już jeden tylko punkcik można było rozróżnić a punkcikiem tym był biały czepiec powożącej baby.

— A ot tam, to mój wuj Fouan z ciotką Różą, oboje jadą do rejenta—rzekła Franusia, wskazując na mały wózek, który w odległości przynajmniej jednego kilometra od nich wydawał się nie wiekszym od łupiny orzecha.

Miała ona wzrok silny jak marynarz, daleki jak zwykle mieszkańcy płaszczyzn, umiała rozróżnić człowieka lub bydlę w małej szarej plamce, zarysowującej się w oddali.

— Mówiono mi coś o tem—odparł Jan—więc stary zgodził się nareszcie podzielić mienie swe między córkę i dwóch synów?

— Tak. wszyscy dziś właśnie mają zjechać się u pana Baillehache, notaryusza w miasteczku.

Patrzyła ciągle za niknącym wózkiem wuja.

— Nam w domu, to tam wszystko jedno zupełnie. Ani nie schudniemy, ani nie utyjemy przez to. Jeżeli nas to trochę obchodzi, to dlatego tylko, że Kozioł... Lizia myśli, że on się z nią ożeni, gdy ona swoje od ojca dostanie...

Jan roześmiał się.

— To łotr, szelma, ten Kozioł!... Znam ja go dobrze!... Co go to kosztuje łgać przed dziewczętami!... A chce mu się coraz to innej i głupie lgną do niego jak muchy na lep... Jak nie może której wziąć dobrocią, to ją bierze złością albo pięścią...

— Już, że świnia, to świnia...—odparła Franusia, głęboko przeświadczonym tonem.— Czy to porządny człowiek tak zrobi, żeby cioteczną siostrę tak urządzić i zostawić ją na koszu!...

W tem rozgniewana krzyknęła:

— Poczekaj Zuzula!... Poczekaj! dam ja ci teraz! Znowu szelma zaczyna, wściekła się ta bestya jak ją to napadnie!

Gwałtownem szarpnięciem postronka, zatrzymała krowę. W tem miejscu, droga zwracała się w pole od załamku doliny.

Wózek wuja Fouan zniknął im z oczu, oni zaś poszli oboje przez płaszczyznę, mając już tylko na prawo i na lewo długie nieskończone wstęgi pól uprawnych.

Pomiędzy zoraną ziemią a sztucznemi łąkami ścieżka toczyła się płasko, bez krzaczka, nawet jednego, wprost do folwarku, który wydawał się tak blizko, że ręką by doń dosięgnąć można a jednak wciąż uciekał w dal, w przestrzeń, osłoniętą szarem tłem nieba. Idąc tak, zamilkli znów oboje, nie mówili ani słowa, jak gdyby przejęci dziwną, pełną rozmysłu powagą tej Beaucyi tak smutnej i tak płodnej zarazem.

Gdy przybyli na wielki podwórzec folwarku Borderie, otoczony z trzech stron zabudowaniami gospodarskiemi, stajniami, owczarnią i stodołami, na progu ukazała się młoda i ładna, nizkiego wzrostu kobieta, której postawa zdradzała zuchwałą nieco pewność siebie.

— A cóż to, Janie?... śniadanie ostygnie..

— Już idę, pani Jakóbko.

Od chwili, gdy córka Cogneta, dróżnika z Rognes, zwana nieraz Cognetką za czasów gdy mając lat dwanaście pomywała statki na folwarku, dostąpiła godności sługi i kochanki swego pana, kazała się despotycznie panią nazywać.

— A.... to ty Franusiu—zawoła—przychodzisz o tego buhaja?... Będziesz musiała poczekać. Pastuch jest w Cloyes z panem Hourdequin. Ale on wróci niedługo... powinien nawet już tu być.

A gdy Jan wchodził nareszcie do kuchni, wzięła go wpół, niby żartem, ocierając się o niego bez wstydu, nie kryjąc się, jak żądna miłosnej pie-

szczoty dziewczyna, której pan sam jeden nie wystarcza.

Zostawszy samą, Franusia czekała cierpliwie, usiadłszy na kamiennej ławce przed gnojowiskiem, które zajmowało trzecią część podwórza. Patrzyła bezmyślnie na kury grzebiące dziobami i rozgrzewające sobie łapki na warstwie gnoju, z której przy oziębionem powietrzu wydobywały się błękitne pary. Po upływie półgodziny, gdy Jan powracał, dojadając sporą kromkę chleba z masłem, zastał ją na tem samem miejscu. Usiadł obok niej, a widząc że krowa niecierpliwi się, ryczy i bije się po bokach ogonem, rzekł nareszcie:

— Pastuch jak na złość nie wraca .. nie wesoło ci czekać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nie było jej pilno. Potem po chwili milczenia spytała:

— Kapralu... więc wy się poprostu Jan nazywacie?

— Nazywam się Jan Macquart.

— Czy wy nie tutejsi jesteście?

— Nie, ja pochodzę z Prowancyi, z miasta, które się nazywa Plassans

Podniosła ciekawie oczy, przyglądała mu się zdziwiona, że ktoś może pochodzić ze stron tak odległych.

— Po bitwie pod Solferino — ciągnął dalej — będzie temu półtora roku, otrzymałem urlop i wróciłem z Włoch, jeden z towarzyszów przy-

prowadził mnie tutaj... A że moje dawne rzemiosło — stolarka — nie popłaca dzisiaj i że ochoty do tego nie miałem, zostałem na folwarku.

— Ach! — rzekła spokojnie, nie spuszczając z niego czarnych swoich oczu.

W tej chwili Zuzula wydała znowu przeciągły ryk, rozpaczliwej żądzy pełen a z obory, której drzwi były zamknięte, odpowiedziało jej głuche, chrapliwe ryczenie.

— Patrzaj—krzyknął Jan—ten łajdak, Cezar, zwąchał. Słyszysz, jak się ztamtąd odzywa?... Oho! zna się on na tem i rozumie doskonale. Ledwo krowa wejdzie na podwórze, on ją zaraz poczuje i wie czego chcą od niego...

Potem przerywając sobie, dodał:

— Wiesz co, pastuch musiał zostać z panem Hourdequin. Jeżeli chcesz, przyprowadzę byka, we dwoje przecież damy mu radę... co?

— Dobrze!... doskonała myśl — rzekła Franusia, wstając z ławki.

Otworzył drzwi obory, ale odwróciwszy się, zapytał jeszcze.

— A twoje bydlę?... Może przywiązać ją trzeba?

— Przywiązać?... a to na co? niema potrzeby!... Ona jest gotowa, Zuzula, nie drgnie nawet z miejsca.

Gdy się drzwi od obory otwarły, można było dojrzeć trzydzieści krów folwarcznych, stojących

we dwa rzędy; jedne leżały na pościółce, inne zaś stojąc u żłobu, żuły buraki a z odzielnej zagrody wychylił głowę buhaj, holenderskiej rasy, biały w czarne łaty, czekając, co mu dadzą do roboty.

Gdy spuszczono łańcuch, Cezar wyszedł wolnym krokiem z zagrody. We drzwiach obory przystanął chwilę, jakby odurzony światłem i powietrzem, stał nieruchomy, jak wrosły w ziemię, tylko ogonem kręcił nerwowo i wyciągnąwszy grubą szyję, węszył przed sobą.

Zuzula nie ruszała się z miejsca, zwróciła tylko na niego duże, błędne oczy, ciszej już rycząc.

Jan i Franusia, założyli ręce i spokojnie, cierpliwie czekali.

Nie przyszło mu nawet na myśl, bryznąć jednym z tych grubych żartów, jakiemi parobcy folwarczni prześladują zwykle dziewczyny, przychodzące z krowami. Zdawało się też, że mała Franusia, uważała to również za rzecz zwyczajną i konieczną, w której nic niema śmiesznego. To prawo przyrody!

Ale Jakóbka stała już od chwili na progu kuchni i ze zwykłym sobie rzutem piersi naprzód, zawołała wesoło:

— Już! wszystko skończone...

Jan uśmiechnął się, Franusia pokraśniała i podczas, gdy Cezar sam spokojnie wracał do obory a Zuzula skubała kilka kłosów owsa nad gnojowiskiem wyrosłych, dziewczyna wyciągnęła

z kieszeni chustkę, rozwiązała róg, w którym zawiązane były dwa franki należne właścicielowi buhaja.

— Oto pieniądze—rzekła. — Do widzenia, dobranoc wam.

Odeszła z krową a Jan, wziąwszy sakwę z ziarnem, poszedł za nią, powiedziawszy Jakóbce, że idzie obsiać pole „pod słupem“ stosownie do rozporządzeń, jakie pan Hourdequin wydał na dzień cały.

— Dobrze — odrzekła Jakóbka. — Brona już tam jest pewnie.

Potem, widząc, że chłopak podążył za dziewczyną i że oboje razem poszli dalej wązką ścieżką, krzyknęła jeszcze za nimi:

— Nie trzeba się obawiać, aby się wam co złego stało? Prawda? Mała pokazała już, że zna dobrze drogę i umie dać sobie radę.

Po ich odejściu podwórzec folwarczny opustoszał. Żadne z nich nie roześmiało się z żartu Jakóbki. Szli wolno, słychać było tylko stuk grubych trzewików po kamienistej drodze. On widział tylko małą jej głowę, na której wiły się kędziory czarnych włosów, wysuwających się z pod czepeczka. Gdy tak uszli z jakie pięćdziesiąt kroków w milczeniu, Franusia ozwała się poważnie:

— Po co ta głupia Jakóbka prześladuje dziewczęta chłopcami? Mogłabym jej była odpowiedzieć.

I obejrzawszy się na młodego parobka, spojrzała mu w oczy ze złośliwym uśmiechem:

— Nieprawdaż, że ona nieraz przypięła rogi panu Hourdequin, jakby już jego żoną była? Wy tam pewno lepiej o tem wiecie odemnie, co?

Jan zawahał się jakoś i zgłupiał na razie.

— Ba!... robi, co jej się podoba... to jej rzecz.

Franusia odwróciła się znowu i szła dalej spokojnie

— Prawda i to. Ja sobie żartuję, bo wy moglibyście być prawie moim ojcem i że to do niczego nie doprowadzi... Widzicie, odkąd Kozioł zrobił to świństwo z moją siostrą, przysięgłam sobie, że choćby przyszło dać się porąbać w kawałki, nie będę miała kochanka.

Jan potrząsnął głową i poszli dalej w milczeniu. Pole „pod słupem" leżało na końcu ścieżki, na połowie drogi do Rognes. Gdy doszli do tego miejsca, parobek stanął. Brona czekała już, worek zboża leżał na zagonie. Zdjął sakwę i wsypawszy do niej ziarno, rzekł:

— No!... to do widzenia!

— Do widzenia!—odparła Franusia.—Jeszcze raz dziękuję wam, kapralu!

Ale po odejściu dziewczyny, przykro mu się jakoś zrobiło. Zawołał więc za nią:

— Słuchajno! a może Zuzula znowu się rozbryka!... Jeżeli chcesz, odprowadzę cię do domu?...

Franusia była już daleko, odwróciła się jednak i głosem rozlegającym się donośnie i spokojnie pośród głębokiej ciszy wiejskiej, odparła :

— Nie, nie!... nie potrzeba! Nie obawiajcie się, już ona ma, czego chciała!..

Jan, przewiesiwszy sakwę przez plecy tak, aby otwór jej wypadł mu na brzuchu, poszedł wzdłuż zoranego zagonu, rozrzucając wciąż ziarno, ruchem równym i miarowym podobnym do lotu ptaka. Co chwila podnosił oczy i patrzył na Franusię, malejącą i niknącą w oddali, wyglądającą wreszcie jak mała plamka koło krowy, która szła leniwie, kołysząc się z boku na bok. Zawróciwszy w dół, stracił ją z oczu, ale wracając, dojrzał ją znowu już tak maleńką, jak kwiatek polny. Trzy razy tak zawracał i odnajdywał ją wzrokiem coraz, coraz mniejszą, aż wreszcie nie mógł jej już dojrzeć, widocznie skręciła na dróżkę obok kościołka.

Druga wybiła, niebo było wciąż szare, głuche i zimne, jak gdyby drobniutkie źdźbła popiołu osłoniły sobą słońce na długie miesiące, aż do wiosny. W smutnym tym krajobrazie, jedna jaśniejsza plamka rozświecała ciemne chmury w stronie Orleanu, jak gdyby tam, gdzieś daleko słońce świeciło w całym blasku swych promieni. W tej to jaśniejszej bróździe rysowała się dzwonnica kościołka w Rognes, wioska zaś sama kryła się w niewidzialnym załamku doliny Aigry. Ale

ku północy, od strony Chartres, płaska linia horyzontu, podobna do kresy zrobionej atramentem na lawunku, rozjaśniła się równie wyraźnie, jak przedtem, pomiędzy szarą kopułą niebios a równie bezgranicznym obszarem brunatnych płaszczyzn Beaucyi. Zdawało się, że liczba siewaczy zwiększyła się od południa. Teraz na każdym udziale gruntu był siewacz, mnożyli się i rośli jak czarne, pracowite mrówki, ożywione jakiemś wielkiem dziełem, wykonywające pracę, przewyższającą ich siły, olbrzymią w porównaniu z ich małością Wszędzie u wszystkich najdalej nawet stojących siewaczy, dostrzedz było można ów ruch ustawiczny, czyniący ich podobnymi do owadów, które toczą zawziętą walkę z ziemią, odnoszą nakoniec zwycięztwo nad przestrzenią i życiem.

Do zmroku Jan siał ciągle. Obsiał pole „pod słupem“, potem inne „weselisko“ i jeszcze jedno „na rozdrożu“. Szedł i wracał śmiałym, miarowym krokiem po zoranych zagonach; sakwa jego wypróżniała się a gdzie przeszedł, tam wszędzie po za nim nasienie zapładniało ziemię.

II.

Domek pana Baillehache, notaryusza w Cloyes, stał przy ulicy Gronaise, na lewo od gościńca, prowadzącego do Châteaudun. Był to mały, jednopiętrowy budynek, za węgłem którego przytwierdzony był sznur od jedynej latarni, oświetlającej szeroką, brukowaną ulicę, pustą zwykle w ciągu tygodnia, niezwykle ożywioną w sobotę, gromadami okolicznych włościan, na targ przybywających. Zdala już widać było blask latarni, płonącej przed domem notaryusza; po za którym znajdował się ogród, ciągnący się wązkim pasem w dół, aż do doliny Loir.

Kancelarya rejenta mieściła się na lewo z sieni, w pokoju, którego okna wychodziły na ulicę. Soboty owej jeden z dependentów notaryusza, blady i szczupły piętnastoletni wyrostek, podniósł muślinową firankę, zasłaniającą okno i przyglądał się przechodniom.

Dwaj inni dependenci, — jeden stary, otyły i bardzo brudny, drugi zaś młodszy nieco, wychudzony i piegowaty — pisali przy dużym stole, pomalowanym na czarno. Umeblowanie kan-

celaryi, składało się z tego stołu, z siedmiu, czy ośmiu krzeseł i z żelaznego piecyka, w którym zaczynano palić dopiero w grudniu, chociażby mrozy trzymały już od Wszystkich Świętych. Stojące wzdłuż ścian półki i zielonawe teki z połamanemi okładkami, przepełnione stosami pożółkłych aktów, zatruwały powietrze wyziewami spleśniałego atramentu i starych papierów, przegryzionych kurzem.

Dwoje wieśniaków, mężczyzna i kobieta. siedziało obok siebie w milczeniu, czekając z pełną uszanowania cierpliwością. Widok tylu papierów a więcej jeszcze widok tych panów, piszących tak szybko, których pióra skrzypiały nieustannie, przejmował ich powagą, budząc w umyśle pojęcie pieniędzy i procesów.

Trzydziestoletnia, bardzo śniada kobieta, o twarzy dość pociągającej, lecz oszpeconej zbyt długim nosem, skrzyżowała suche, spracowane ręce na czarnym sukiennym kaftanie, obszytym aksamitem; w żywych jej oczach, biegających po wszystkich zakątkach, malowała się żądza zagarnięcia dla siebie wszystkich dowodów własności. Siedzący obok, o pięć lat może starszy od niej, rudy, ociężały mężczyzna, ubrany w czarne spodnie i długą nowiutkę bluzę z niebieskiego płótna, trzymał na kolanach okrągły, pilśniowy kapelusz. Cień nawet myśli nie ożywiał jego płaskiej, starannie wygolonej twarzy, z której—niby dwie dziury—wyglądało dwoje niebieskich

oczu, patrzących przed siebie z bezmyślnością wołu, odpoczywającego po pracy.

Wreszcie drzwi się otwarły i na progu stanął pan Baillehache, który dotąd jadł był śniadanie ze swoim szwagrem, panem Hourdequin, właścicielem folwarku Borderie. Czerstwy i rumiany notaryusz wyglądał młodo na swoje pięćdziesiąt pięć lat; zmarszczki ściągające kąty jego powiek, nadawały spojrzeniu jego wyraz ciągłego uśmiechu, nosił on binokle i miał zwyczaj kręcenia nieustannie w palcach długich, szpakowatych faworytów.

— Ach! to wy, Delhomme — zagadnął.— Więc ojciec Fouan, zgodził się wreszcie na podział?

Wyręczając męża, kobieta odrzekła:

— Tak jest, panie Baillehache... Mamy się tu zejść właśnie, aby nam pan powiedział, jak trzeba zrobić.

— Dobrze, dobrze, Fanny, pogadamy o tem... Ale teraz pierwsza dopiero, trzeba poczekać na wszystkich.

Notaryusz porozmawiał chwilę jeszcze, zapytując Delhomme'a o cenę zboża, która spadła była od dwóch miesięcy; okazywał on wieśniakowi przyjacielską łaskawość, należną—w jego mniemaniu—człowiekowi, posiadającemu dwadzieścia hektarów gruntuw, trzy krowy, własnego parobka. Potem wrócił do swego gabinetu.

Dependenci nie podnieśli nawet oczu, skrzypiąc coraz szybciej piórami po papierze; małżon-

kowie Delhomme, czekali znów w milczeniu. Pod szczęśliwą widocznie gwiazdą urodziła się Fanny, skoro nie mając nic—prócz nadziei otrzymania od ojca Fouan trzech hektarów ziemi — znalazła uczciwego i zamożnego chłopca, który ożenił się z nią, zanim jeszcze zaszła w ciążę. Delhomme nie żałował swego postępku, bo dostał bardzo pracowitą i rozsądną gospodynię; we wszystkiem też słuchał jej rady, ten wieśniak ciemny wprawdzie, ale tak uczciwy, tak rozważny, że sąsiedzi z Rognes wybierali go nieraz, jako pośrednika i rozjemcę.

W tem najmłodszy dependent, który stał w oknie, zatknął usta ręką, by nie parsknąć śmiechem i zwróciwszy się do tłustego i brudnego kolegi, rzekł szeptem:

— Oho!

Fanny odwróciłała się do męża i szepnęła mu w ucho:

— Słuchaj, daj ty mnie gadać... Kocham wprawdzie ojca i matkę, ale nie chcę, żeby nas okradli; strzeżmy się przytem Kozła i tego gałgana Hyacynta.

Mówiła o swoich dwóch braciach, przed chwilą bowiem spostrzegła przez okno starszego Hyacynta, znanego w całej okolicy pod przezwiskiem Jezusa Chrystusa. Był to próżniak i pijak, były żołnierz, który powróciwszy z wojskiem z Afryki, włóczył się od wsi do wsi a leniąc się stałej pracy, polował na cudzych gruntach, kradł i roz-

bijał, jak gdyby teraz jeszcze ściągał okup z drżącego ze strachu plemienia beduinów.

Do pokoju wszedł czterdziestoletni mężczyzna, rosły jak dąb, silny i muskularny; chrystusowa twarz jego, otoczona kręcącemi się włosami, zakończona brodą spiczastą, lecz długą i rozczochrana, była zużytą twarzą opoja, gwałciciela dziewcząt i rozbójnika, napadającego po drogach. Bawiąc od rana w Cloyes, był już mocno podchmielonym. Wszedł w zabłoconych spodniach, w wyplamionej bluzie, w włożonym na bakier obdartym kaszkiecie, trzymając w ustach wilgotne i czarne cygaro, którego woń zatruwała powietrze. A jednak w głębi jego pięknych choć zamglonych oczu, przebijało się coś filuternego, coś, co świadczyło że ten pijanica tkliwe miał serce.

— No cóż, niema jeszcze ojca ani matki? — zapytał.

A gdy chudy, piegowaty dependent odpowiedział przeczącem kiwnięciem głowy, chłop odwrócił się twarzą do ściany, trzymając wciąż w ręku dymiące cygaro.

Nie raczył nawet rzucić okiem na siostrę i szwagra, którzy również zdawali się nie zwracać na niego uwagi; potem nie powiedziawszy słowa więcej, wyszedł i znudzony oczekiwaniem przechadzał się po chodniku.

— Och! — powtarzał piskliwie, wyglądający na ulicę młody dependent, rozśmieszony przezwi-

skiem, które mu wiele zabawnych sprawek przypomniało.

Pięciu minut nie upłynęło, gdy przybyli wreszcie rodzicie Fouan, dwoje staruszków, idących wolnym i niepewnym krokiem. Ojciec, zdrów niegdyś i silny, teraz, doszedłszy siedemdziesięciu lat wieku, wysechł i zmalał w ciężkiej pracy, około tak gorąco ukochanej przez siebie ziemi. Ciało jego pochyliło się, jak gdyby pragnęło powrócić do ziemi, której posiadanie — było zawsze najdroższym celem jego życia: Jednak prócz osłabienia w nogach, trzymał się jeszcze nieźle. Spiczasty i duży nos, właściwy całej rodzinie, nadawał ostry wyraz twarzy, okolonej siwemi, starannie zaczesanemi faworytami a wyglądającej jak szmat skóry, pozakładanej w głębokie fałdy.

Tuż obok, nie odstępując go ani na krok, szła żona, niskiego wzrostu kobieta, tłusta, ociężała, z brzuchem okrągłym od początków wodnej puchliny; niezliczona ilość zmarszczek, zaciskała jej usta, podobne do sakiewki skąpca. Ogłupiona, uważana w domu za pracowite i karne bydlę robocze, drżała całe życie wobec despotycznej władzy swego męża.

— Ach! jesteście nareszcie — zawołała Fanny, wstając z krzesła,

Delhomme wstał także.

Po za rodzicami ukazał się znów Hyacynt, który stał, nie mówiąc słowa i przestępował

z nogi na nogę. Zgniótł palcem koniec cygara, zagasił je, poczem wsunął cuchnący ogarek do kieszeni bluzy.

— No! jesteśmy już—rzekł Fouan. — Brak tylko Kozła... Ten szelma nigdy nie przyjdzie na czas, nigdy się do innych nie stosuje!..

— Spotkałem go na rynku — oświadczył Hyacynt, głosem ochrypłym od gorzałki. Zaraz pewnie przyjdzie.

Młodszy z braci, dwudziestosiedmioletni Kozioł, zawdzięczał ów przydomek szalonemu swemu uporowi: przeczył on zawsze wszystkim, upierając się przy swych przekonaniach, na które nikt nigdy zgodzić się nie mógł. Dzieckiem jeszcze będąc, kłócił się wiecznie z rodzicami, potem, wyciągnąwszy szczęśliwy los, uciekł od nich i zgodził się do służby w Borderie a następnie w la Chamade.

Ojciec gderał jeszcze, gdy Kozioł szedł wesoły i uśmiechnięty. Wielki rodzinny nos spłaszczył się nieco u niego, podczas gdy szczęki i dolna część twarzy, wysunięte były naprzód, jak u drapieżnego zwierzęcia. Skronie miał wązkie, czaszkę zwężoną u góry, chytrość i popędliwość malowały się w uśmiechniętem spojrzeniu szarych jego oczu. Po ojcu odziedziczył zawziętą, zwierzęcą żądzę posiadania, po matce przejął chciwość i skąpstwo. W każdej sprzeczce, gdy oboje starzy obsypywali go wymówkami, odpowiadał im zwykle: „Nie trzeba mnie było robić takim“.

— Et! dajcie pokój! cóżto nie wiecie, że z la Chamade do Cloyes jest przeszło pięć mil drogi!—odburknął w odpowiedzi na wymówki rodziny.—Zresztą, wyście także dopiero co przyszli... Zawsze chcecie zwalić winę na mnie...

Teraz wszyscy spierali się, krzyczeli na całe gardło chałaśliwemi i przeraźliwemi głosami, przyzwyczajonemi do powietrza i przestrzeni, każdy bronił swego interesu, każdy czuł się swobodnym, jak w własnym domu.

Dependenci, którym to przeszkadzało, gniewnie spoglądali na nich, gdy notaryusz, usłyszawszy gwar, otworzył po raz drugi drzwi od swego gabinetu

— Wszyscy już jesteście?.. Chodźcie więc.

Gabinet notaryusza wychodził na ogród, złożony z kiku grządek, ciągnący się w dół doliny Loir. Z okien gabinetu widać było ogołocone z liści wierzchołki topoli, rosnących w dolinie. Stojący na kominku, wśród stosów aktów, czarny marmurowy zegar, stanowił jedyną ozdobę tego pokoju, w którym nadto znajdowało się mahoniowe biórko, półka z papierami i kilka krzeseł.

Pan Baillehache usiadł natychmiast przy biórku z uroczystą minął prezydenta, zasiadającego na trybunie, podczas, gdy wieśniacy skubali się przy drzwiach i spoglądali nieśmiało na krzesła, zakłopotani, gdzie i jak usiąść im wypada.

— Siadajcieże!

Usłyszawszy to wezwanie, wieśniacy postąpili kilka kroków, popychając jedno drugie. Fouan i Róża wysunęli się jakoś naprzód i usiedli na dwóch krzesłach, stojących najbliżej biórka; Fanny i Delhomme żajęli miejsca obok siebie, tuż po za nimi; Kozioł usiadł osobno przy ścianie; jeden tylko Hyacynt stał przed oknem, zasłaniając światło szerokiemi swemi ramionami. Zniecierpliwiony notaryusz zwrócił się do niego poufale:

— Siadajże.

I niezwłocznie przystąpił do zagajenia sprawy:

— A zatem, ojcze Fouan chcecie za życia jeszcze podzielić mienie między waszych dwóch synów i córkę?

Stary nie odpowiedział, dzieci stały nieruchome, jak głazy, głęboka cisza zaległa pokój. Notaryusz, przyzwyczajony do powolności wieśniaków, nie naglił do odpowiedzi. Urząd notaryusza od dwustu pięćdziesięciu lat dziedzicznym był w rodzinie Baillehache, syn po ojcu mieszkał w Cloyes, przejmując powoli od wieśniaków właściwą im ociężałość, brak stanowczości i skrytość sprawiające, że żadna sprawa obejść się nie mogła bez długich namysłów i potoku słów bezużytecznych. Wziął ze stołu scyzoryk i czyścił nim paznogcie.

— No cóż, zdecydowaliście się wreszcie?— powtórzył po chwili, patrząc prosto w oczy ojcu Fouan.

Stary powiódł wzrokiem po wszystkich, jak gdyby niepewny, co odpowiedzieć, wreszcie odparł:

— Ha! chyba, że tak trzeba zrobić, panie Baillehache... Mówiłem ja już panu o tem w żniwa. Kazał mi się pan namyśleć; namyślałem się długo i widzę, że chyba już musi dojść do tego.

I urywanemi zdaniami, wtrącając wciąż uboczne szczegóły, zaczął wyłuszczać pobudki skłaniające go do tego kroku. W głosie jego czuć było głęboko tłumione, nie zdradzające się żadnem słowem, wzruszenie, jakiś smutek bezgraniczny, głuchą urazę; ból rozdzierający mu serce, na myśl o rozłączeniu się z tą ziemią, której tak gorąco pożądał za życia ojca a którą następnie uprawiał z namiętną niemal zażartością. Przez całe życie skąpił sobie i drugim, by powiększyć tę ukochaną ojcowiznę. Dla dokupienia jednego zagonu odmawiał sobie chleba i sera przez długie miesiące inny znów zagon nabytym został kosztem skąpienia opału w zimie, kosztem długich lat pracy w znoju i upale bez innej ochłody, prócz kilku łyków czystej wody. Ziemia była mu kochanką, dla miłości gotów był nawet morderstwa się dopuścić; ona zastępowała mu małżonkę, dzieci, ludzkość całą! I oto, zestarzawszy się, musi oddać tę kochankę w ręce synów tak, jak niegdyś

ojciec jemu ją przekazał. Własna bezsilność doprowadzała go do wściekłości.

— Cóż robić! panie Baillehache, niema na to rady... nogi nie słuchają mię już, ręce także licha warte a ziemia cierpi na tem... Szłoby to jeszcze jako tako, gdyby człowiek miał wyręczenie z dzieci...

Mówiąc to, spojrzał z wyrzutem na synów, z których żaden nie ruszył się z miejsca, patrząc obojętnie przed siebie, jak gdyby nie rozumieli znaczenia słów ojcowskich.

— Ale tak, czyż mam najmować parobków, obcych ludzi, którzy wszystko rozkradną? Nie, służący za drogo kosztuje, życie jego zjadłoby cały mój zarobek. A sam nie dam rady. Ot! w tym roku, naprzykład, nie miałem zorać siły i zasiać całego gruntu, zrobiłem tyle tylko, by mieć zboże na chleb i słomę dla bydląt. A widzi pan, serce mi się kraje, gdy patrzę, jak ta dobra ziemia idzie na marne i nic nie rodzi. Tak, wolę pozbyć się wszystkiego, niż dopuścić takiego marnotrawstwa.

Głos więznął mu w gardle, uczynił ręką ruch boleści i poddania się losowi. Obok niego stała w pokorze żona, przygnębiona tyloletnią pracą i ślepem posłuszeństwem.

— Któregoś dnia — mówił dalej starzec — Róża robiła sery, potknęła się i rozlała serwatkę. Ja sam jestem jak zbity, przyjechawszy wozem na targ... Zresztą nie można przecie zabrać z sobą

ziemi do grobu... Trzeba ją oddać, trzeba ją oddać... Przytem, napracowaliśmy się dosyć oboje, niechże przenajmniej pomrzemy w spokoju. Nie prawdaż, Różo?

— Oj prawda! święta prawda! jak Bóg na niebie!—potwierdziła kobieta.

I znów długie milczenie zapanowało w pokoju. Notaryusz czyścił pracowicie paznogcie. Wreszcie położył scyzoryk na biórku i rzekł:

— Tak, to bardzo słuszne powody, nieraz jest się zmuszonym przystać na dobrowolną darowiznę, przytem przedstawia to pewną oszczędność, bo koszta odebrania spadku są większe, niż przy zgodnym podziale majątku.

Kozioł, który dotąd udawał zupełną obojętność, wykrzyknął mimowoli:

— Czy tak jest naprawdę, panie Baillehache?

— Bezwątpienia. Zyskacie na tem kilkaset franków.

Wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie: nawet Delhomme uśmiechnął się z zadowoleniem, rodzice podzielali ogólną radość. Teraz już nikt się nie wahał: postanowienie zapadło, kwestya oszczędzenia wydatków, przeważyła inne względy.

— Teraz na jedno jeszcze chciałbym zwrócić uwagę—mówił dalej notaryusz. — Wielu rozumnych ludzi potępia rodziców, oddających za życia majątek dzieciom. Powiadają oni, że takie postępowanie jest niemoralnem, bo doprowadza do

niezgody w rodzinie. Istotnie można przytoczyć wiele smutnych bardzo wypadków; bywają niegodziwe dzieci, które korzystają z tego, że rodzice dobrowolnie wyzuli się ze wszystkiego.....

Synowie i córka słuchali z otwartemi ustami; niezadowolenie malowało się na ich twarzach i przebijało się w ich spojrzeniu.

— To niech ojciec zatrzyma to wszystko dla siebie, jeżeli tak myśli—przerwała wielce obraźliwie Fanny.

— Wszyscy znamy nasz obowiązek — rzekł Kozioł

— I żadne z nas nie boi się pracy —dodał Hyacynt.

Skinieniem ręki pan Baillehache nakazał im milczenie.

— Pozwólcież mi skończyć! Wiem, że jesteście zacni ludzi i uczciwi pracownicy; nie ma więc obawy, aby rodzice żałowali kiedyś tego, co dziś chcą zrobić.

W słowach jego nie było cienia ironii, powtarzał machinalnie grzeczny frazes, który codzien nie niemal miał na ustach, wciągu dwudziestu pięciu lat praktyki w swym zawodzie. Ale matka która — jak się zdawało, nie rozumiała, o co chodzi, spoglądała uważnie to na synów, to na córkę. Wychowała ich wszystko troje bez pieszczot, z obojętnością skrzętnej gospodyni, wyrzucającej dzieciom, że zjadają to, co

ona zaoszczędzić zdoła. Do najmłodszego syna miała urazę, że uciekł z domu z chwilą, kiedy sam zarabiać zaczął; z córką nigdy zgodzić się nie mogła, oburzona ruchliwością i energią dziewczyny, w której ojcowski spryt przeistoczył się w zuchwałą pewność siebie. Wzrok jej stawał się łagodniejszym wtedy tylko, gdy spoglądała na starszego syna: ten urwis w niczem do niej ani do ojca niepodobny, wyrósł jak chwast z nie wiadomo jakiego nasienia,—dlatego może sądziła go pobłażliwie i kochała więcej od innych.

Tymczasem Fouan przyglądał się także dzieciom, myśląc z trwogą, jaki użytek zrobią one z jego majętności. Lenistwo pijaka budziło w nim mniej obawy niż chciwość i żądza używania dwojga starszych. Pokiwał trzęsącą się głową: i na cóż gryźć się i martwić, skoro inaczej być nie może?

— Teraz, gdyście już przystali na działy — podjął znów notaryusz — chodzi tylko o obgadanie warunków? Czyż umówiliście się już, jaką sumę płacić będziecie rodzicom?

Wieśniacy sposępnieli nagle i zamilkli. Opalone ich twarze, przybrały surowy wyraz i pełną tajemniczości powagę mężów stanu, zajętych obrachowaniem dochodów państwowych. Spoglądali na siebie znacząco, badawczo, ale żadne nie odzywało się. I teraz więc ojciec musiał przedstawiać sprawę:

— Nie, panie Baillehache, nie było jeszcze mowy o tem, czekaliśmy, aż się tu wszyscy razem zbierzemy... Ale to prosty rachunek, nieprawdaż? Mam dziewięć i pół hektarów gruntu... gdybym je puścił w dzierżawę, biorąc po sto franków za hektar, otrzymałbym rocznie dziewięćset pięćdziesiąt franków...

Kozioł, najmniej ze wszystkich cierpliwy, podskoczył na krześle.

— Jakto! po sto franków za hektar! ależ ojciec kpi z nas chyba!

Teraz rozpoczęła się gorąca sprzeczka w kwestyi cyfr.

Winnicę, mającą pół hektara rozległości, można było w istocie wydzierżawić za pięćdziesiąt franków. Ale któżby dał tę cenę za sześć hektarów ziemi ornej, szczególniej za trzy hektary łąk, leżących nad brzegami Aigry, łąk z których siano nie wiele było warte? Zresztą i ziemia orna nie należała do najlepszych, szczególniej zaś kawał pola, ciągnący się u stóp wzgórzy: im bliżej doliny, tem cieńsza była warstwa czarnoziemu.

— Widać, że ojciec chce naszej zguby—rzekła Fanny z wyrzutem.

— Mój grunt wart jest po sto franków za hektar!—uporczywie powtarzał wieśniak, uderzając ręką po biodrach. — Jutro zaraz dostanę po sto franków, jeżeli zechcę... Ciekawym wiedzieć, na

ile też wy oceniacie? No, gadajcie, po czemubyście dali?

— Po sześćdziesiąt franków za hektar — odpowiedział Kozioł.

Fouan nie posiadał się z oburzenia: upierał się przy swojej cenie, wychwalając nadmiernie dobroć gruntu, na którym zboże rosło samo, bez żadnej pracy. Wreszcie Delhomme, który milczał dotąd, oświadczył z właściwą sobie uczciwością:

— Ja dałbym po osiemdziesiąt franków... ani grosza drożej, ani grosza taniej.

Stary ochłonął w jednej chwili:

— Zgoda! przystaję na osiemdziesiąt franków, trzeba przecież zrobić jakąś ofiarę dla dobra dzieci.

Ale Róża pociągnęła go za bluzę i zdradzając swoje skąpstwo, zawołała:

— Nie, nie!

Hyacynt zachowywał się obojętnie. Pięcioletni pobyt w Afryce, przygłuszył w nim przywiązanie do ziemi. Jednego tylko gorąco pragnął: aby jak najprędzej otrzymać swoją część i módz użyć tych pieniędzy. Nieodzywał się więc, przestępował z nogi na nogę, z miną człowieka wyższego nad te marne zabiegi.

— Powiedziałem już... osiemdziesiąt franków — wołał Fouan — nie odstąpię od tego! Bóg mi świadkiem żem nigdy w życiu słowa nie cofnął! Dziesięć i pół hektarów to stanowi siedemset

sześćdziesiąt franków... No dajmy równe osiemset dla okrągłego rachunku. Będziecie mi płacić osiemset franków rocznie i basta!

Kozioł parsknął głośnym śmiechem, Fanny jakby oniemiała, słysząc tak wygórowane żądania, w milczeniu przecząco potrząsając głową. Pan Baillehache, który przez cały czas trwania kłótni, patrzył bezmyślnie w ogród, zaczął się pilniej przysłuchiwać rozmowie klientów, kręcąc machinalnie w palcach długie swe faworyty. Miał minę zaspaną, zmęczony trawieniem smacznego śniadania, które zjadłby był przed przybyciem rodziny Fouan.

Tym razem przecie stary miał słuszność i nie żądał za wiele. Ale wieśniacy wpadli w zapał, uniesieni pragnieniem wyzyskania jak najniższej ceny, nie chcieli ustąpić ani grosza, targowali się, zaklinali, jak gdyby chodziło o kupno wieprza.

Osiemset franków! — szyderczo zawołał Kozioł.—Cóż to? rodzice chcecie teraz żyć po pańsku?... Toż za osiemset franków cztery gęby nakarmić można! Nic innego, chcecie chyba zdechnąć z niestrawności!

Fouan nie rozgniewał się. Targ ten wydawał mu się naturalnym, przewidywał to, niemniej jednakże podniecony, stawiał bez ogródki swoje wymagania.

— Zaczekajcie, to jeszcze nie wszystko!... Rozumie się, że dom i ogród zatrzymujemy dla sie-

bie do śmierci a ponieważ nie będziemy mieli żadnych zbiorów, oddajemy wam obie krowy, musicie nam dawać rocznie beczkę wina i sto wiązek chrustu, oraz dziesięć litrów mleka, mendel jaj i trzy sery tygodniowo.

— Och! ojcze! — boleśnie jęknęła przerażona Fanny—och! ojcze!

Kozioł zaś nie sprzeczał się już. Zerwał się na równe nogi i wymachując rękami biegał po pokoju, nadziawszy czapkę, jak gdyby do wyjścia. Hyacynt podniósł się także, zaniepokojony myślą, że cała ta historya może przeszkodzić po działowi. Tylko Delhomme, siedział niewzruszony, położywszy palec na nosie, w postawie wyrażającej głęboki namysł i zakłopotanie.

Pan Baillehache zrozumiał konieczność przyspieszenia biegu sprawy. Otrząsnął się więc z ogarniającej go drzemki i szybszym ruchem kręcąc w palcach faworyty:

— Wiecie przecież, moi kochani —zauważył — że zarówno wino i chrust jak ser i jajka należą do zwyczajów umowy...

Ale przerwano mu potokiem słów niechętnych

— Mamy może dawać jajka z kurczętami wewnątrz?

— Alboż to my pijemy nasze wino? Sprzedajemy wszystko co do kropli.

— Nic nie robić a dobrze jeść, to bardzo wygodnie, choćby dzieci poszły z torbami!

Notaryusz, który nie po raz pierwszy słyszał takie spory, mówił dalej spokojnie:

— Niema co gadać o tem... Cóż u licha! Siadajże, Hyacyncie! Zasłaniasz okno! Rady sobie z wami dać nie można!... Słuchajcie mnie wszyscy i zaprzestańcie sporów. Musicie wypłacać zobowiązania wasze w naturze, jeżeli nie chcecie żeby was wytykano palcami. Chodzi więc tylko o oznaczenie wysokości sumy...

Delhomme dał znak, że chce głos zabrać.

Wszyscy wrócili na swoje miejsca a on wśród ogólnej ciszy powoli mówić zaczął:

— Przepraszam, ale to, czego żąda ojciec, sprawiedliwem mi się wydaje: moglibyśmy dać mu osiemset franków, ponieważ za taką sumę śmiało wydzierżawić można jego grunta... Tylko, że my inaczej się na to patrzymy... Ojciec nie wydzierżawia nam gruntu ale go nam oddaje na własność. Trzeba zatem obliczyć, ile starzy potrzebować mogą na życie. Tak, ani grosza nad to, ile im potrzeba, aby wyżyć.

— Istotnie — oświadczył notaryusz — w ten sposób oblicza się zwykle w podobnych razach.

I znów wszczęła się nowa sprzeczka. Przetrząśnięto szczegółowo życie rodziców, obliczono ściśle ich potrzeby, spierano się o najdrobniejszy wydatek. Zważono chleb, jarzyny i wino, oceniono ich odzież, obliczając ilość także płótna, wełny i perkalu, nie zapomniano na-

wet o drobnych ich przyjemnościach: ojcu na tytoń przeznaczono dziennie po jednym sou, chociaż dotąd dwa razy więcej wydawał. Z chwilą, kiedy człowiek przestaje pracować, powinien ograniczyć swe wydatki! Czy matka nie mogłaby obejść się bez czarnej kawy? Albo też po co tracić pieniądze na żywienie starego psa, który zjada dużo a nikomu korzyści nie przynosi: oddawna już mu w łeb wypalić należało. Skończywszy rachunek, rozpoczynano go na nowo, szukano, coby jeszcze wyrzucić się dało, zmniejszono ilość bielizny o dwie koszule i sześć chustek do nosa, odrzucono dwa centymy z sumy wyznaczonej na dzienny wydatek na cukier. Zaprowadzając tak tysiączne oszczędności, oszacowano potrzeby rodziców na pięćset piędziesiąt parę franków, co wielce zmartwiło wieśniaków, którzy uparli się nie przekroczyć sumy pięciuset franków.

Ale Fanny dokuczyły już te targi. Nie była to zła dziewczyna, miała więcej litości niż bracia; serce jej i skóra nie stwardniały jeszcze w ciężkiej pracy pod gołem niebem. Naglila więc, by kończyć sprawę, okazywała się nawet gotową do pewnych ustępstw. Hyacynt, hojny w kwestyach pieniężnych, wzruszał ramionami, oświadczał się nawet z zamiarem dopłacania rodzicom od siebie, o czem zresztą nie pamiętałby ani razu.

— Koniec końcem —zapytała Fanny—czy przystajecie na sumę pięćset piędziesięciu franków?

— Ale tak, tak — odpowiedział Hyacynt — trzeba przecież, aby i starzy użyli trochę!

Matka spojrzała na starego syna wzrokiem pełnym czułości i rozrzewnienia, podczas, gdy ojciec toczył dalej walkę z Kozłem. Zmuszony do ustępstw, stary opierał się na każdym kroku, bronił każdego grosza, obstawał przy swoich żądaniach. Uporczywość jego wydawała się obojętną na pozór, chociaż w głębi jego serca wrzał gniew tłumiony, wobec chciwości tych ludzi, którzy będąc ciałem jego ciała, kością jego kości, wysysali gorącą krew z żył jego i radziby napaść się jego ciałem. Zapomniał, że i on podobnie względem ojca swojego postąpił. Ręce mu drżały, zawołał z wyrzutem:

— Ach! podłe nasienie! Czy po to was wychowałem, abyście mnie dzisiaj chleb z gęby wyrywali?... Już mi to wszystko obrzydło, Bóg mi świadkiem! Wolałbym gnić w ziemi, niż zależeć od waszej łaski... Niema zatem sposobu nakłonić was do zgody! Nie chcecie dać więcej nad pięćset pięćdziesiąt franków?

Gotów był przystać na sumę, ale żona pociągnęła go znów za bluzę i wyszeptała błagalnie:

— Nie przyjmuj! nie przyjmuj!

— To jeszcze nie wszystko — z pewnem wahaniem odezwał się Kozioł — a pieniądze odłożone przez ojca?... Jeżeli ojciec ma swoje własne

pieniądze, to nic od nas nie potrzebuje, nieprawdaż?

Patrzył ojcu prosto w oczy, wymierzając ten cios, który rozmyślnie zostawił na koniec.

Stary zbladł.

— Jakie pieniądze?—zapytał.

— Pieniądze, od których ojciec procenty pobiera.

Kozioł, który podejrzewał tylko istnienie ukrytego skarbu, pragnął upewnić się w tym względzie. Pewnego wieczoru zdawało mu się, że widział ojca, wyjmującego ze skrzyni zwitek banknotów; zaciekawiony śledził go nazajutrz i przez kilka dni następnych, ale napróżno.

Silne rumieńce wystąpiły teraz na bladą twarz starego, gniew, tłumiony w piersiach, wybuchnął wreszcie. Zerwał się z krzesła i z piorunującym gestem zawołał:

— Cóż u dyabła! myślicie teraz plądrować po moich kieszeniach! Nie mam żadnych kapitałów, nikt mi nie płaci grosza procentu... Za dużo kosztowaliście mnie, nicponie. Zresztą co wam do tego? Czy ja nie jestem panem i ojcem?

W tej chwili zdawało się, że stary urósł i odmłodniał. Przez długie lata żona i dzieci drżały przed nim, nie śmiejąc nigdy stawić czoła brutalnemu despotyzmowi, tego przedstawiciela najwyższej władzy w rodzinie. Omylili się, sądząc, że zapomniał on już rozkazywać.

— Och! mój ojcze — przerwał szyderczo Kozioł.

— Milcz, pókiś cały! — zawował Fouan, podniósłszy do góry zaciśnięte pięści — milcz, bo cię stłukę!

Kozioł zamilkł i skulił się na krześle. Zrozumiał on na co się zanosi, przypomniał sobie, jak niegdyś dzieckiem będąc, obawiał się ojca i zasłaniał się łokciem od grożących mu ciosów.

— A ty, Hyacyncie, nie uśmiechaj się! Fanny, spuść oczy! Ja was rozumu nauczę! zobaczycie!... jak Bóg na niebie!

W groźniej postawie stał na środku pokoju. Matka drżała... dzieci pokonane, upokorzone, bały się odetchnąć lub poruszyć z miejsca.

— Czy słyszycie, żądam sieściuset franków?.. Nie chcecie, to sprzedam ziemię i wydam wszystkie pieniądze co do grosza.. Zjem wszystko, ani okruszyny wam nie zostawię... Czy dajecie sześćset franków?

— Ależ, ojcze — wyjąkała Fanny — damy tyle, ile od nas zażądasz.

— Zgoda na sześćset franków — potwierdził Delhomme.

— Co do mnie — oświadczył Hyacynt — przystaję na to, co wszyscy postanowią.

Kozioł, zacisnąwszy gniewnie zęby, milczał na znak przyzwolenia. Ojciec spoglądał na nich wzrokiem nieubłaganego zwycięzcy, który żąda

posłuszeństwa. Po chwili usiadł, mówił łagodniejszym już głosem.

— No! teraz jesteśmy w zgodzie.

Pan Baillehache, niewzruszony tem, co się działo, drzemał, czekając końca kłótni. Wreszcie otworzył oczy i rzekł:

— Skoroście się już umówili, nie mamy co radzić dłużej. Teraz, kiedy już znam wasze warunki, muszę sporządzić akt... Wy zaś każcie zrobić pomiar i powiedzcie geometrze, aby mi przysłał wykaz rozległości każdego udziału. Potem będziecie ciągnąć na losy, ja zaś wpiszę przy każdem nazwisku numer odpowiedniego udziału i podpiszecie akt.

Wstał z fotela, aby ich odprawić. Ale wieśniacy nie zabierali się do odejścia, wahali się, niepewni, czy wszystko zostało obmyślonem, lub czy o czem nie zapomnieli. Może zły to interes, który dałby się cofnąć jeszcze?

Trzecia wybiła: narada trwała blizko dwie godziny.

— No, rozejdźcie się teraz—rzekł notaryusz. — Inni czekają...

Musieli już odejść. Notaryusz wyprowadził ich do sąsiedniego pokoju, w którym istotnie czekało kilku wieśniaków, siedzących nieruchomo, jakby przykuci do krzeseł. Młody dependent przyglądał się ciekawie walce dwóch psów na ulicy, podczas gdy dwaj drudzy skrzypieli wciąż piórami po papierze stemplowym.

Wyszedłszy od notaryusza, wieśniacy postali chwilę na środku ulicy.

— Jeżeli chcecie—oświadczył ojciec—zrobimy pomiar pojutrze, w poniedziałek.

Wszyscy przyzwolili skinieniem głowy, poczem ruszyli dalej, idąc jedno za drugim.

Ojciec i matka skręcili następnie na drogę do kościoła prowadzącą, Fanny i Delhomme udali się na ulicę Wielką. Kozioł zatrzymał się na placu świętego Łukasza, myśląc wciąż o pieniądzach schowanych przez ojca. Hyacynt, zostawszy sam, zapalił ogryzek cygara i zataczając się, podążył do kawiarni „Dobrego rolnika“.

III.

Domek rodziny Fouan, stał w Rognes, przy drodze przecinającej wioskę a prowadzącej z Cloyes do Bazoches-le-Doyen. W poniedziałek, o siódmej rano, ojciec wyszedł z domu, by—stosownie do umowy—zejść się z dziećmi przed kościołem, gdy wtem we drzwiach sąsiedniego domu, spostrzegł siostrę swoją, Maryannę, która pomimo osiemdziesięciu lat wieku, już była na nogach.

Rodzina Fouan powstała tu i wyrosła w ciągu wieków, jak pełna siły żywotnej roślina, której nic wyplenić nie zdoła. Niegdyś poddani magnackiego rodu Rognes Bouqueval, po których nie pozostało prawie śladu, prócz kilku wrosłych w ziemię kamieni—szczątków zrujnowanego pałacu — uzyskali oni wolność za Filipa pięknego. Z biegiem czasu stali się oni posiadaczami jednego lub dwóch—co najwyżej—morgow ziemi, kupionych od zadłużonego dziedzica a spłaconych krwawą pracą w dziesięćkroć wyżej ich wartości. Następnie rozpoczęła się długa, cztery wieki

trwająca walka, podjęta w celu obrony i zaokrąglenia tej posiadłości, walka prowadzona z namiętną niemal zaciekłością a obowiązek której ojciec przekazywał synom.

Tracono i odkupowano zagony; nadmierne obciążenie podatkami zdawało się nieraz obracać w niwecz to mienie włościańskie a jednak rozległość łąk i obszarów ziemi ornej powiększała się stopniowo, dzięki żądzy posiadania, której wytrwałość w końcu uwieńczoną została zwycięztwem. Całe pokolenia poległy w tej walce; ziemia użyźniała się kosztem życia wielu ludzi, ale już w epoce rewolucyi, owoczesny przedstawiciel rodziny, Jan Kazimierz Fouan, posiadał dwadzieścia jeden morgów gruntu, oderwanych w ciągu czterech wieków od dawnej majętności możnowładzców.

W 1793 roku Jan Kazimierz miał dwadzieścia siedem lat w dniu, w którym resztki dóbr pańskich ogłoszono, jako mienie narodowe i wystawiono na sprzedaż przez licytacyę; zapałał on chęcią nabycia dla siebie bodajby kilku hektarów. Zrujnowani i zadłużeni potomkowie rodu Rognes Bouqueval, doczekawszy się chwili, w której ostatnia wieżyca ich zamku runęła w gruzy, zostawili na pastwę wierzycielom dochody z majątku Borderie, gdzie trzy czwarte ziemi ornej leżało odłogiem. Najwięcej nęciło wieśniaka nabycie kilku pól, leżących o miedzę od jego gruntów. Ale w tym roku urodzaje za-

wiodły oczekiwania, oszczędności schowane w starym garnku za piecem wynosiły zaledwie sto dukatów a chociaż nawet przyszła mu chwilowo myśl, zaciągnięcia pożyczki u lichwiarza z Cloyes, to przecież przezorność nakazywała odstąpić niezwłocznie od tego zamiaru; te posiadłości szlacheckie wzbudzały w nim obawę; kto wie, czy wkrótce odebranemi nie zostaną? Tak więc miotany chciwością i niedowierzaniem, z boleścią w sercu widział, jak majątek Borderie nabytym został za dziesiątą część swej wartości przez mieszczanina z Châteaudun, Izydora Hourdequin, pracującego dawniej w warzelniach soli.

Doszedłszy później starości, Jan Kazimierz Fouan podzielił swoje dwadzieścia jeden morgów gruntu na trzy równe części między troje dzieci: najstarszą córkę Maryannę oraz dwóch synów Ludwika i Michała; młodsza córka Laura pracująca w szwalni w Châteaudun, otrzymała przypadającą jej część w gotówce. Równość majątkowa między dziećmi zachwianą została w późniejszym czasie: Maryanna Fouan, zwana Wielką albo Olbrzymką, wyszła za sąsiada Antoniego Pécharda, posiadającego około osiemnastu morgów własnego gruntu; starszy syn Michał, zwany Muchą, ożenił się z ubogą dziewczyną, której ojciec zostawił w spadku zaledwie dwa morgi winnic, młodszy zaś Ludwik, ożeniony z Różą Maliverne, właścicielką dwunastu morgów, stał

się tym sposobem posiadaczem dziewięciu i pół hektarów ziemi, którą obecnie zamierzał rozdzielić między troje swoich dzieci.

Olbrzymka otoczoną była w rodzinie wielkiem poważaniem, nie tyle ze względu na jej wiek podeszły, ile raczej dla posiadanego przez nią majątku. Prosto się trzymająca, wysoka bardzo i koścista, miała długą, pomarszczoną szyję i wychudzoną twarz, co ją czyniło podobną do drapieżnego ptaka. Podobieństwo to uwydatniał jeszcze spiczasty nos rodzinny, zakrzywiony jak dziób ptasi, oraz okrągłe i przenikliwe oczy. Nie miała ani jednego włosa na głowie, okrytej żółtą fularową chustką, której nie zdejmowała nigdy; gdy otworzyła usta, widać było dwa rzędy zębów tak dużych, że kamienie nawet gryźćby mogła.

Nie wychodziła nigdy bez kolczastej laski, która służyła jej tylko do bicia zwierząt i ludzi. Owdowiawszy młodo, wypędziła z domu jedyną córkę, która ośmieliła się wyjść wbrew jej woli za ubogiego chłopca, Wincentego Bouteroue; i teraz nawet, choć córka i zięć umarli z nędzy, zostawiając dwoje dzieci: trzydziestoletnią Palmyrę i dwudziestoczteroletniego Hilariona, pomimo winy ich matki, pozwalała wnuczętom zdychać z głodu, zakazawszy wspominać sobie o ich istnieniu. Od śmierci męża zajmowała się sama gospodarstwem, miała trzy krowy, jedną świnię i jednego parobka, którzy

jadali z wspólnego cebra i słuchali jej ślepo, drżąc ze strachu na jej widok.

Fouan, spostrzegłszy siostrę, zbliżył się do niej z uszanowaniem. Starszą była od niego o lat dziesięć, a nieugiętość jej charakteru, jej sknerstwo i nienasycona chciwość wzbogacenia się, wzbudzały w nim — zarówno jak we wszystkich mieszkańcach wioski — wysoki szacunek i uwielbienie.

— Słuchaj, Olbrzymko — rzekł — chciałem właśnie pomówić z tobą. Wiesz, zdecydowałem się już, idę dopilnować podziału gruntów.

Nieodpowiedziała ani słowa, podniosła do góry laskę i wymachiwała nią w powietrzu.

— Tamtego wieczoru przychodziłem tu, chcąc poradzić się ciebie.. stukałem do drzwi, ale nikt mi nie otworzył...

Teraz wybuchnęła gniewem i cierpkim głosem zawołała:

— Niedołęgo! Słyszałeś już, jaką jest moja rada!... Trzeba być tchórzem i głupcem, żeby wyrzekać się swej własności, póki jeszcze człowiek włóczy się po ziemi... Choćby mi nóż na gardle położyli, nie przystałabym na coś podobnego!... Widzieć, że moja własność przeszła w cudze ręce, wyzuć się ze wszystkiego dla tych podłych dzieciaków, o! nie! nie!

— Ale — zauważył Fouan — ziemia cierpi na tem, kiedy człowiek straci siły do pracy.

— A to niechaj cierpi. Wolałabym widzieć chwasty i oset na polach, niż dać sobie zabrać choć grudkę ziemi! ..

Stała wyprostowana, podobna do jastrzębia oskubanego z pierza. Potem, uderzając go laską po ramieniu, jak gdyby dla dokładniejszego wytłómaczenia mu swych słów, dodała:

— Słuchaj, wiesz co ci powiem... Kiedy stracisz wszystko, kiedy oddasz wszystko dzieciom, one wyrzucą cię z domu; pójdziesz z torbami jak ostatni żebrak... Niech ci się wtedy nie marzy prosić mnie o pomoc, ostrzegałam cię nieraz, nie słuchałeś, tem gorzej dla ciebie! Czy chcesz wiedzieć co zrobię wtedy?

Czekał pokornie, pełen uległości dla starszej siostry, która weszła do domu i zatrzasnęła drzwi za sobą, wołając:

— Ot! co zrobię!... Zdychaj sobie na dworze!

Fouan stał chwilę, patrząc z osłupieniem na drzwi zamknięte. Potem machnął ręką na znak pogodzenia się z losem i poszedł dalej ścieżką, prowadzącą na plac przed kościołem. Tu bowiem stał domek, który był oddawna rodzinną siedzibą Fouanów a dostał się w udziale bratu Michałowi, zwanemu Muchą; dom zaś zajmowany przez Ludwika, należał właściwie do żony jego, Róży. Michał, owdowiawszy oddawna, mieszkał z dwoma córkami, Lizą i Franciszką. Był to człowiek cierpki, zgryźliwy, niezadowolony z losu i z ubogiego ożenienia się; dziś jeszcze, po upływie lat

czterdziestu, wyrzucał bratu i siostrze, że go oszukali przy ciągnieniu losów; opowiadał wszystkim, jak używszy podstępu, zostawili mu najgorszą część gruntów ojcowskich, co poniekąd wydawało się prawdopodobnem, bo wskutek jego lenistwa i ociężałości, posiadał obecnie zaledwie połowę ziemi otrzymanej po ojcu. „Człowiek robi ziemię"—jak powiadają w Beaucyi.

Tego ranka Michał stał przed domem, czekając na brata, którego dostrzegł wkrótce na zakręcie placu. Ten podział, budząc w nim dawne urazy, drażnił go i gniewał, chociaż dla siebie nie spodziewał się żadnych korzyści. Ale chcąc okazać zupełną obojętność, on także odwrócił się od brata i zamknął mu drzwi przed nosem.

Poszedłszy dalej, Fouan spostrzegł Delhomme'a i Hyacynta, którzy czekali na niego, przechadzając się po dwóch przeciwległych bokach placu. Podszedł do pierwszego, drugi sam zbliżył się ku nim. Wszyscy trzej, nie przemówiwszy słowa do siebie, patrzyli uważnie na ścieżkę ciągnącą się wzdłuż kraju wyniosłości.

— Ot, idzie nareszcie! — zawołał Hyacynt.

Nowoprzybyły był to geometra Grosbois, wieśniak z sąsiedniej wioski Magnolles. Umiejętność czytania i pisania przywiodła go do zguby. Jeżdżąc po całej okolicy dla czynienia pomiarów, zostawiał żonie prowadzenie gospodarstwa, sam zaś w ciągłych wycieczkach rozpił się tak, że nigdy prawie nie widywano go trzeźwym. Otyły,

zdrów i czerstwy na swoje lat sześćdziesiąt, miał dużą, czerwoną twarz, obsypaną fioletowemi krostami. I tego ranka, pomimo wczesnej godziny, był już pijany jak bela, gdyż wieczór poprzedni spędził na weselu u znajomych w Montigny. Ale nikt na to nie zważał, im więcej był pijanym, tem lepiej wykonywał swoją robotę: nigdy niedokładności w pomiarze lub omyłki w rachunku! Słuchano go i poważano, uchodził bowiem za wielce sprytnego i złośliwego człowieka.

— No, jesteśmy już! — rzekł. — Chodźmy zatem do roboty! Za nim szedł dwunastoletni wyrostek, w brudnem i obszarpanem ubraniu, niósł on pod pachą łańcuch mierniczy, na ramieniu miał przewieszoną miarę i tyczkę, w drugiem zaś ręku trzymał ekierkę w podartym tekturowym futerale.

Wszyscy razem ruszyli w drogę, nie czekając na Kozła, którego dostrzegli stojącego opodal przed polem, największem z całej posiadłości rodzinnej. Pole to, mające około dwóch hektarów, graniczyło z temi właśnie zagonami, na których przed kilkoma dniami krowa przewróciła Franciszkę. Kozioł, uważając widocznie za zbyteczne iść dalej, stanął tu pogrążony w zadumie. Po chwili schylił się, wziął w rękę garść ziemi i przesypywał ją powoli przez palce, jak gdyby badał jej ciężar i zapach.

— Patrzcie — zagadnął Grosbois — wyjmując z kieszeni zatłuszczony notes — zrobiłem już do-

kładny plan każdego kawałka ziemi, jakeście o to prosili, ojcze Fouan. Teraz trzeba tylko podzielić wszystko na trzy równe części a to uczynimy razem... No, powiedzcie mi, jak chcecie to zrobić?...

Rozwidniło się zupełnie, mroźny wiatr pędził po bladem niebie gęste i czarne chmury a Beaucya chłostana tym podmuchem, rozciągała w dal ponure swe płaszczyzny. Ale żadne z nich nie zdawało się uczuwać wichury, która nadymała im bluzy i groziła zerwaniem kapeluszy. Na skraju tego pola, wpośród bezgranicznej przestrzeni, stali odziani odświętnie z powodu ważności sprawy, zadumani, podobni do żeglarzy przyzwyczajonych do samotności na łonie przyrody. Ta Beaucya płaska, urodzajna, łatwa do uprawy ale ciągłej pracy wymagająca, wyrobiła w mieszkańcach swych charakter zimny i rozważny, nie wlała w serca ich innej miłości prócz przywiązania do ziemi.

— Trzeba podzielić cały grunt na trzy równe części — odezwał się wreszcie Kozioł.

Grosbois pokiwał głową i wdał się w spór z wieśniakami. Nabywszy więcej postępowych pojęć w obcowaniu z właścicielami większych własności, pozwalał on sobie częstokroć stawiać opór swym mniej zamożnym klientom i powstawał przeciw nadmiernemu rozkawałkowaniu ziemi. Czyż stawianie budynków i zaprowadzenie inwentarza może się opłacić, gdy się będzie obrabiać pola

wielkości chustki do nosa? Cóż to za gospodarstwo na maleńkich grządkach—a nie zagonach—gdzie niepodobna zaprowadzić płodozmianu, ani używać maszyn rolniczych? Nie, jedynym punktem wyjścia jest wzajemne porozumienie się... pole — to nie bochenek chleba... krajać je na kawałki — to zbrodnia prawdziwa! Jeżeli jeden zadowolni się ziemią orną a drugi weźmie ogrody, można będzie zrównoważyć wartość udziałów, a potem los zdecyduje, co komu przypadnie.

Kozioł, który dzięki swemu młodzieńczemu usposobieniu, skłonnym był do śmiechu, odparł żartobliwie:

— A jeżeli mnie dostaną się same łąki, cóż będę jadł? trawę chyba... Nie, nie, chcę mieć wszystkiego potrosze: siana dla krowy i dla konia, zboża i wina dla siebie.

Fouan, który przysłuchiwał się uważnie, potrząsnął głową na znak przyzwolenia. Całe pokolenia przodków w ten sposób zawsze dokonywały podziałów: późniejsze nabytki i posagi zaokrąglały następnie udziały.

Bogatszy od innych, bo posiadający dwadzieścia pięć hektarów ziemi, Delhomme, miał pod tym względem rozleglejsze pojęcie, ale nie stawiał oporu; przybył tu w imieniu żony dla tego jedynie, aby go nie okradziono przy pomiarze. Hyacynt tymczasem, nazbierawszy kamyków, polował na przelatujące stado skowronków. Gdy które z ptasząt, opierając się wichurze, zawisło

chwilę w powietrzu z rozpostartemi skrzydełkami, rzucał weń kamykiem ze zręcznością dzikiego człowieka. Trzy skowronki upadły na ziemię, podniósł je i schował do kieszeni zbroczone krwią ptaki.

— No, dosyć już gadania, dalejże do roboty! Pokraj nam to na trzy części a nie na sześć przypadkiem — zawołał wesoło Kozioł, zwracając się poufale do geometry — bo coś mi się zdaje przyjacielu, że masz dzisiaj trochę zamglone oczy.

Grosbois, zrozumiawszy przymówkę, wyprostował się i odparł z godnością.

— Mój kochany, sprobój wypić tyle, co ja, a oczu nawet nie otworzysz... Kto z was czuje się na siłach zastąpić mnie i stanąć przy ekierce?

Ale nikt nie śmiał odpowiedzieć na to wyzwanie.

Tryumfujący geometra zawołał surowo na chłopca, który oniemiały z podziwu przyglądał się łowom Hyacynta. Już ustawiono ekierkę i zatknięto tyczki, gdy wszczęła się nowa sprzeczka co do kierunku podzielenia gruntu. Geometra, zgodnie z życzeniem ojca i Delhomme'a, chciał dzielić ziemię na trzy pasy, równolegle od doliny Aigry, podczas gdy Kozioł żądał, aby pasy szły prostopadle do doliny, ponieważ warstwa czarnoziemu była najcieńszą u stóp wyniosłości. Tym sposobem każdy otrzymałby po równym kawałku gorszego gruntu, w przeciwnym zaś razie jeden z udziałów składać się będzie wyłącznie

z ziemi pośledniejszego gatunku. Ale Fouan gniewał się, przysięgał, że ziemia jest wszędzie jednakową, przypominał, że ojciec dzielił ich niegdyś tymże gruntem we wskazanym przezeń kierunku, czego dowodem jest, że dwa hektary ziemi, należącej do Michała, ciągną się wzdłuż tego trzeciego udziału. Delhomme ze swej strony uczynił uwagę, która ostatecznie spór rozstrzygnęła: gdyby nawet ten trzeci udział składał się z gorszej ziemi, właściciel może osiągnąć zeń większe zyski w przyszłości, gdy ukończoną zostanie droga, którą przeprowadzano właśnie wzdłuż tego pola.

— Ach! tak — zawołał Kozioł — owa sławna droga z Rognes do Châteaudun przez Borderie! Wiem coś o tem.. długo na nią czekać będziecie!

Wreszcie widząc, że nikt nie zważa na jego opór, zamilkł, gniewnie zacisnąwszy zęby.

Nawet Hyacynt przybliżył się teraz; wszyscy z natężoną uwagą przyglądali się geometrze, robiącemu pomiar, jak gdyby podejrzewali go o chęć oszukania chociażby o centymetr na korzyść jednego z udziałów. Delhomme trzy razy przykładał oko do ekierki, by się upewnić, czy sznur przecina tyczkę. Hyacynt klął siarczyście, wyrzucając chłopcu, że źle trzyma łańcuch. Najuważniej jednak pilnował roboty Kozioł, który liczył metry i drżącemi ustami sprawdzał w pamięci rachunki. A razem z żądzą posiadania, z radością jakiej doznawał na myśl, że ta ziemia

stanie się wreszcie jego własnością, rosła w sercu jego głucha wściekłość i gorycz, że nie może wszystkiego zagarnąć dla siebie. Jakże pięknem było to pole, mające przeszło dwa hektary rozległości! Obstawał przy podzieleniu go, aby nie dostało się nikomu, skoro on całości mieć nie może, teraz wszakże rzeź ta doprowadzała go do rozpaczy! Zaczął więc znów szukać pozorów dla przeszkodzenia podziałowi.

Fouan wymachiwał rękoma, przyglądając się w milczeniu, jak szarpano i krajano jego mienie.

— Robota skończona — rzekł Grosbois.— Możecie przemierzyć każdy udział, przekonacie się, że cala nawet różnicy między niemi niema!

Wyżej nieco znajdowało się jeszcze około czterech hektarów ornej ziemi, podzielonej na oddzielne cząstki, nie przenoszące wielkości jednego morga; jedna z cząstek wynosiła zaledwie dwanaście akrów. Geometra zapytał z ironią, czy i ten także kawałek na trzy części rozkroić trzeba, co dało powód do nowych sporów.

Kozioł machinalnie schylił się, podniósł garść ziemi, zbliżył ją do twarzy, powąchał i skosztował. Następnie z miną znawcy oświadczył, że kawałek ten składa się z najlepszej ziemi i że pozwoli zostawić go w całości, jeżeli na jego część przypadnie, w przeciwnym zaś razie żąda podziału Oburzeni tem Delhomme i Hyacynt, opierali się, żądając i dla siebie równych części. Tak! tak! niech każdy weźmie po cztery akry!

tak nakazuje sprawiedliwość! Rozdzielono więc kawałek pola, co ich upewniło w przekonaniu, że jedno z trojga niedostanie nic, czegoby i inni nie mieli także.

— Chodźmy do winnicy — rzekł Fouan.

Wracając w stronę kościoła, Fouan rzucił raz jeszcze wzrokiem na rozległą płaszczyznę i na widniejące w dolinie zabudowania gospodarskie majątku Borderie. Przypomniał sobie epokę rewolucyi i straconą przez ojca sposobność nabycia tych gruntów i zawołał głosem, w którym dźwięczał żal nieukojony.

— Ach! gdyby mój ojciec był chciał, miałbyś teraz więcej roboty, Grosbois!

Synowie i zięć obejrzeli się po za siebie i stanęli, przyglądając się z zadrością trzystu hektarom gruntu, należącego do Borderie, a rozciągającego się przed ich oczyma.

— Ba! — mruknął pod nosem Kozioł, ruszywszy dalej w drogę — dużo wam przyjdzie z przypominania sobie dawnych dziejów. Wiadoma to rzecz, że mieszczanie zawsze nam nogę podstawią.

Dziesiąta wybiła, ukończono już większą część roboty. A jednak wieśniacy przyspieszyli kroku, bo wiatr ucichł nieco, a gęste czarne chmury groziły ulewnym deszczem. Winnice, należące do ojca Fouan, znajdowały się po za kościołem, na pochyłości wzgórza, u stóp którego płynęła Aigra. Niegdyś wznosił się tu pałac dziedziców;

pół wieku zaledwie upłynęło od chwili, kiedy wieśniacy, zachęceni obfitemi plonami zbierami z winnic w Montigny, wpadli na myśl zasadzenia winnej latorośli na południowym stoku wzgórza. Wytłaczane z jagód wino posiadało przyjemny kwaskowaty smak, przypominający wino orleańskie. Zresztą nikt tu nie miewał więcej nad kilka beczek, nawet Delhomme, najbogatszy z okolicznych wieśniaków, posiadał zaledwie sześć morgów winnic, bo natura gruntu nadawała się przeważnie do uprawy zbóż i roślin pastewnych.

Skręciwszy koło kościoła, minęli dawną plebanię którą gmina oddała była na mieszkanie polowemu i schodzili bokiem góry pomiędzy wązkiemi polami, wyglądającemi jak szachownica. Przechodzili właśnie przez ugór, porosły nędznemi krzakami, gdy usłyszeli w pobliżu głos jakiś, wychodzący ze szczeliny skały:

— Ojcze! deszcz wisi nad nami, pędzę moje gęsi.

Była to córka Hyacynta, zwana ogólnie Flądrą, dwunastoletnia dziewczyna, cienka i wysmukła jak gałązka ostrokrzewu. Małą jej głowę okrywały jasne, kędzierzawe włosy, usta miała szerokie i skrzywione zielone jej oczy patrzyły śmiało i wyzywająco przed siebie. Zdawała się podobniejszą do chłopca niż do dziewczyny, zamiast kaftana i spódnicy, miała na sobie starą bluzę ojca, przepasaną sznurkiem. Właściwe jej

imię było Olimpia, nazywano ją zaś Flądrą, bo ojciec, z zędząc na nią od rana do wieczora, wymyślał jej za każdem prawie słowem:

— Oj, poczekaj przebrzydła Flądro, poczekaj!

Matką tego dziecka, wyrosłego jak dzika płonka była jakaś dziewczyna przybłęda, którą Hyacynt znalazł kiedyś nazajutrz po jarmarku śpiącą nad rowem i którą wziął do siebie ku wielkiemu zgorszeniu całej wioski. Podczas trzech lat wspólnego pożycia kłócili się oni nieustannie, wreszcie pewnego wieczoru, podczas żniw, kobieta uciekła z domu, zostawiwszy dziecko zaledwo odłączone od piersi. Dziewczynka rosła jak chwast na polu bez żadnej opieki i ledwie chodzić zaczęła, już gotowała jedzenie ojcu, którego uwielbiała i obawiała się bardzo. Nadewszystko jednak kochała swe gęsi. Z początku miała tylko parę, ukradzioną z podwórza sąsiedniego folwarku. Potem, dzięki jej macierzyńskim staraniom, stadko powiększało się stopniowo i obecnie składało się już z dwudziestu gęsi, które żywiła kradzionem ziarnem.

Z załamu skały ukazała się twarz Flądry, podobna do pyska kozy; trzymała w ręku pręt, którym popędzała gęsi. Ujrzawszy ją Hyacynt, zawołał ze złością:

— Wracaj mi natychmiast i gotuj strawę! Ach! ty przebrzydła Flądro, pewnie nie zamknęłaś domu, wszystko nam pokradną!

Kozioł roześmiał się szyderczo, inni także nie mogli wstrzymać się od śmiechu, tak zabawnem wydało im się przypuszczenie, że Hyacynt może się obawiać złodziei. Dom jego, zasługujący raczej na nazwę lisiej nory, była to dawna pałacowa piwnica, której trzy ściany zapadły się na wpół w ziemię, otoczona stosami kamieni, porozrzucanych wśród starych, wyniosłych topoli. Gdy Hyacenty, pokłóciwszy się z ojcem, zamieszkał w tym skalistym zakątku, należącym obecnie do gminy, ułożył z kamieni czwartą ścianę, zamykającą wejście od piwnicy, zostawiwszy w niej dwa otwory, które zastępowały miejsce drzwi i okna. Ciernie i osty rosły w około, krzak głogu zasłaniał okno. W okolicy znano to miejsce pod nazwą pałacu.

Deszcz lunął. Na szczęście winnica znajdowała się tuż obok i bez nowych sporów podzielono ją na trzy części. Pozostały jeszcze do podziału trzy hektary łąki w dolinie nad brzegami Aigry, ale ulewa wzmogła się tak silnie, że geometra podsunął myśl schronienia się do domu, przed bramą którego przechodzili właśnie.

— Słuchajcie, wejdźmy na chwilę do pana Karola!

Fouan stanął, niepewny co odpowiedzieć, pełen szacunku dla siostry i szwagra, którzy dorobiwszy się majątku, osiedli w tem spokojnem, wiejskiem zaciszu.

— Nie, nie— wyrzekł wreszcie— przeszkodzimy im, o tej porze jadają zwykle śniadanie.

Ale pan Karol, który stojąc na balkonie, osłoniętym markizą, przyglądał się ulewie, poznał ich i zawołał:

— Proszę, wejdźcie do mnie.

Ponieważ woda spływała strumieniami z ich odzieży, kazał im obejść naokoło i pójść do kuchni, gdzie też sam nadszedł niebawem. Był to wysoki sześćdziesięcio-pięcio letni mężczyzna, z suchą, żółtą i wygoloną twarzą emeryta, z obwisłemi powiekami na zmęczonych, przygasłych oczach. Miał na sobie niebieskie barchanowe spodnie, wygodne, ciepłe pantofle i okrągłą czapeczkę na głowie. Wyniosła i pełna godności postawa jego zdawała się świadczyć, że życie nie upłynęło mu w ciężkiej pracy, zabijającej ciało i duszę.

Mając dwadzieścia pięć lat, Laura Fouan, pracująca w jednym z magazynów w Châteaudun, wyszła za Karola Badeuil, właściciela drugorzędnej kawiarni przy ulicy d'Angoulême. Po ślubie, młodzi małżonkowie, trapieni ambitną żądzą zrobienia majątku w jak najkrótszym czasie, przenieśli się do Chartres. Ale z początku nic im się nie udawało, wszystko wyślizgało im się z rąk: założyli kawiarnię, restauracyę, wreszcie sklep z solonemi rybami,—żadne zajęcie nie przynosiło spodziewanych zysków. Stracili już nadzieję posiadania kiedykolwiek własnego grosza,

gdy Karol, człowiek niezwykle przedsiębiorczy, wpadł na myśl kupienia domu publicznego, który zbankrutował w skutek niestarannej obsługi gości i nieporządnego urządzenia. Jednym rzutem oka ocenił on położenie, potrzeby mieszkańców i konieczność urządzenia w mieście zakładu z komfortem, odpowiednim wymaganiom nowoczesnego postępu. W następnym już roku zakład przy ulicy Żydowskiej pod Nr. 1?, świeżo odmalowany, przyozdobiony firankami i zwierciadłami, stał się tak uczęszczanym, że trzeba było powiększyć ilość utrzymywanych w nim dziewczyn. Oficerowie, urzędnicy, słowem wszyscy do towarzystwa należący, nie zachodzili już do innych zakładów. A powodzenie to utrwaliło się, dzięki żelaznej ręce pana Karola i jego ojcowskiej a ścisłej administracyi; pani Karolowa gorliwie dopomagała mężowi a niedopuszczając żadnej straty, musiała przecież patrzeć przez spary na drobne kradzieże, popełniane przez bogatych klientów.

Zebrawszy trzykroć sto tysięcy franków w przeciągu niespełna dwudziestu pięciu lat, małżonkowie Badeuil postanowili urzeczywistnić zamiar, o którym całe życie marzyli: spędzić starość na łonie przyrody, wśród drzew, kwiatów i śpiewu ptasząt. Dwa lata jednak musieli czekać jeszcze z powodu trudności znalezienia kupca, któryby zapłacił za zakład postawioną przez nich cenę. Serce mu się krajało na myśl, że za-

kład, nad urządzeniem którego całe życie strawił, który przynosił dochody większe niż niejeden majątek ziemski, przejdzie w obce ręce i zmarnowanym zostanie. Wkrótce po przybyciu do Chartres, pan Karol umieścił jedyną swą córkę, Estellę, w klasztorze Wizytek w Châteaudun. Pensyonat ten słynął z pobożności i surowego przestrzegania moralności uczennic. Chciał on uchronić córkę od wszelkiego zepsucia, na wakacye nawet wywoził ją w dalekie strony z obawy, aby nie dowiedziała się, jakie rzemiosło jest źródłem bogactwa jej rodziców. Natychmiast po opuszczeniu klasztoru, dwudziestoletnia Estella wydaną została za młodego urzędnika z akcyzy, Hektora Vacuogne, którego wielkie zdolności marnowały się w próżniaczem życiu. Estella dobiegała już trzydziestki i miała siedmioletnią córeczkę Elodyę, gdy dowiedziała się nareszcie, jakiem jest zajęcie ojca i że pragnie obecnie odstąpić swój zakład. Zgłosiła się do niego z prośbą o zostawienie pierwszeństwa. Dlaczegóżby wypuszczać z rąk tak pewny i korzystny interes? Spisano kontrakt; małżonkowie Vaucogne stali się właścicielami zakładu i rodzice z radością w sercu ujrzeli, że córka ich — jakkolwiek wychowywana w innych pojęciach— umiała od pierwszej chwili odpowiedzieć godnie stanowisku gospodyni i pani domu, co zdarzyło się tem szczęśliwiej, że mąż jej nie posiadał zupełnie administracyjnych zdolności. Przeszło od pięciu lat

mieszkali już w Rognes, opiekując się wnuczką Elodyą, która także oddaną została do klasztoru Wizytek w Châteaudun, gdzie pobierać miała wychowanie religijne, zgodne z najsurowszemi przepisami moralności.

Gdy pan Karol wszedł do kuchni, w której kucharka biła pianę z jaj i oblewała masłem ptaszki, piekące się na rożnie, wszyscy wieśniacy— nawet Fouan i Delhomme — zdjęli kapelusze i zdawali się dumni z zaszczytu uściśnięcia jego dłoni.

— Ach!—zawołał Grosbois, chcąc mu się przypodobać — cóż pan za śliczne masz gniazdko, panie Karolu! A przytem dostało się to panu za bezcen. Tak, tak, możnaby panu pozazdrościć szczęścia!

Pan Karol wyprostował się z dumą:

— Ha! nadarzyła mi się szczęśliwa sposobność. Ten domek podobał mi się, zresztą żona moja chciała koniecznie spędzić ostatnie lata życia w rodzinnych swych stronach... Spełniłem jej życzenie, bo umiem uszanować wymagania uczucia.

Biała Róża, jak nazywano tę posiadłość, była pańskim kaprysem jakiegoś mieszczanina z Cloyes, który włożywszy w nią około pięćdziesięciu tysięcy franków, umarł rażony apopleksyą, zanim wyschły malowane ściany domu. Uroczy domek, stojący na stoku góry, otoczony był dużym ogrodem, ciągnącym się w dół aż do Aigry. W zapa-

dłej tej krainie, tuż po nad granicą ponurej Beauoyi nikt nie stanął do kupna posiadłośoi, za którą pan Karol zapłaoił dwadzieścia tysięcy franków. Zadawalniał on tu wszystkie swe upodobania: łowił w rzece pstrągi i węgorze, posiadał w ogrodzie piękne róże i gwoździki, których hodowli oddawał się z zamiłowaniem a wreszcie urządził dużą ptaszarnię, pełną śpiewających ptaków, któremi sam się zajmował. Niemłodzi już lecz kochający się czule małżonkowie, przeżywali tutaj dwanaście tysięcy franków rocznego doohodu, widząc w szczęściu swem nagrodę, należną im za trzydzieści lat usilnej pracy.

— Nieprawdaż? — dodał pan Karol — że naszą obecność znać tu na każdym kroku.

— Zapewne, wszyscy was znają — odparł geometra. — Macie dosyć pieniędzy, by zwrócić na siebie uwagę.

Wszyscy byli tego samego zdania.

— O tak! bezwątpienia! bezwątpienia!

Pan Karol rozkazał służącej przynieść kieliszki, sam zaś poszedł do piwnicy po dwie butelki wina. Wieśniacy stali obróceni do komina, z którego rozchodziła się przyjemna woń upieczonego drobiu. Potem, zasiadłszy koło stołu pili z powagą, smakując stare wino.

— Oho! to nie krajowe wino!... Doskonałe!...

— Jeszcze kieliszek... Za twoje zdrowie!

— Za wasze zdrowie!

Stawiali właśnie puste kieliszki na stole, gdy do kuchni weszła pani Karolowa, sześćdziesięciodwuletnia kobieta, w śnieżnobiałym czepku na głowie. Podobnie, jak cała rodzina, miała duży, spiczasty nos, tylko cera jej była delikatniejszą i więcej przejrzystą. Była to cera zakonnicy, która spędziła życie w ocienionych murach; jakiś spokój klasztorny wiał od jej postaci. Tuż za nią stała Elodya, która przyjechała na dwa dni do Rognes, chowała się za babkę, jak gdyby zmieszana swą nieśmiałością i niezręcznością ruchów. Wycieńczona blednicą, zbyt wybujała na swoje lat dwanaście, miała nabrzmiałą twarz i rzadkie bezbarwne włosy wskutek ubóstwa krwi. Wydawała się ogłupioną wychowaniem, którego głównym celem było rozciągnienie czujnej opieki nad jej dziewiczą nieświadomością.

— Ach! to wy?—odezwała się pani Karolowa, zwracając się do brata i do siostrzeńców. Podała im rękę z godnością, jakby od niechcenia, dla zaznaczenia różnicy stanowiska

I odwróciwszy się, nie zwracając uwagi na tych ludzi:

— Proszę, niech pan wejdzie, panie Patoir—mówiła dalej.—Zwierzę leży tutaj.

Był to weterynarz z Cloyes, krępy i nizki mężczyzna, z twarzą czerstwą i gęsto obrośniętą; przyjechał podczas największej ulewy, bryczka

ochlapana błotem, czekała na niego przed gankiem.

— Ten biedny pieszczoszek—mówiła dalej pani Karolowa, wyciągając z po za pieca koszyk, w którym dogorywał stary kot—ten biedny pieszczoszek dostał wczoraj silnych dreszczów i dla tego napisałam do pana... Zestarzał się już biedaczek, ma pewno z piętnaście lat. Tak, mieliśmy go dziesięć lat w Chartres a w przyszłym roku córka moja musiała przysłać go tutaj, bo zanieczyszczał sklep cały.

Wzmianka o sklepie uczynioną była ze względu na obecność Elodyi, której powiadano, że rodzice jej mają w Chartres cukiernię i są tak przeciążeni pracą, że nie mają czasu nią się zajmować. Ale wieśniacy nie uśmiechnęli się nawet z tego kłamstwa, które wiadomem było wszystkim; w Rognes powiadano, że „Hourdequin ma mniej dochodu z majątku niż pan Karol ze swego sklepu“. Patrzyli oni obojętnie na starego, żółtego kota, który niegdyś wypieszczony pulchnemi rękoma wesołych kobiet, wylegiwał się we wszystkich łóżkach zakładu. Przez długie lata pędził on spokojny żywot ulubieńca pani domu, miał wolny wstęp do salonu i do zamkniętych gabinetów, wylizywał resztki pomady ze słoików i przyglądał się wszystkiemu w niemem rozmarzeniu, mrużąc podłużne swe źrenice, okolone złotawą szerścią.

— Błagam pana, panie Patoir, niech pan go wyleczy—prosiła pani Karolowa.

Weterynarz wytrzeszczył oczy, zmarszczył nos i czoło, wykrzywił twarz podobną do pyska poczciwego, lecz rozzłoszczonego buldoga. Wreszcie zawołał:

— Jakto? więc po to tylko mnie pani wzywała?... O! wyleczę go więcej niż pewno! Niech pani kamień do szyi przywiąże i wrzuci go do wody.

Elodya wybuchnęła głośnym płaczem, pani Karolowa trzęsła się z oburzenia.

— Ależ to kocisko śmierdzi już! Czy godzi się trzymać takie paskuctwo, które zapowietrza cały dom? Wrzućcie go do wody!

W końcu jednak, widząc, że pani Karolowa gniewa się nie na żarty, usiadł przy stole i mrucząc jeszcze pod nosem zapisał receptę:

— Widać, że pani lubi mieć zarazę w domu... Co mnie to obchodzi, bylem dostał moje pieniądze?... Ot! recepta na lekarstwo, które trzeba mu wlewać do pyska po łyżeczce co godzinę; prócz tego da mu pani dwie lewatywy, jedną dziś wieczór, drugą jutro.

Od jakiegoś czasu pan Karol niecierpliwił się już, w obawie, że ptaszki spalą się na węgiel; kucharka, zmęczona biciem jaj, stała z założonemi rękoma. Pożegnał prędko weterynarza, wsunąwszy mu w rękę sześć franków, należnych za poradę

i naglił wieśniaków do prędszego wychylenia kieliszków.

— Musimy już siadać do śniadania... No! Do miłego widzenia! Deszcz już nie pada.

Wieśniacy wyszli, żałując, że dłużej zostać nie mogą.

Weterynarz wsiadł do rozklekotanej bryczki, zrzędząc jeszcze:

— Przebrzydłe kocisko nie warte nawet kawałka sznura, aby go utopić... Ale jak kto ma pieniądze!

— Pieniądze zarobione na małpach... jak przychodzą tak też idą—zawołał szyderczo Hyacynt.

Ale wszyscy, nawet Kozioł, który aż zbladł z zazdrości na widok bogactw pana Karola, zaprzeczali tym słowom a Delhomme, najrozumniejszy z rodziny, wyrzekł uroczyście:

— Gdyby był próżniakiem, albo głupcem, nie miałby dzisiaj dwunastu tysięcy franków rocznego dochodu.

Weterynarz zaciął konia, inni poszli w dół ku rzece ścieżką, na której stały kałuże błota. Dochodzili właśnie do łąki, którą jeszcze podzielić należało, gdy znów rozpoczęła się ulewa. Ale tym razem nie zważali na deszcz, głód im dokuczał, chcieli zakończyć jak najprędzej. Przy pomiarze znów zaczęła się kłótnia, bo w trzecim udziale nie było ani jednego drzewka, podczas, gdy w każdym z dwóch pierwszych znajdował się mały lasek.

Wkrótce jednak przyszło do zgody. Geometra obiecał udzielić notaryuszowi objaśnień potrzebnych do sporządzenia aktu; postanowiono odłożyć do przyszłej niedzieli ciągnienie losów, które miało się odbyć u ojca o dziesiątej rano.

Wracali już do Rognes, gdy wtem Hyacynt zaklął w złości:

— Ej! poczekaj, przebrzydła Flądro, poczekaj, sprawię ja ci!

Po nad drogą zarosłą chwastami, Flądra, pędząc przed sobą gęsi, szła wolnym krokiem pomimo ulewy. Na czele zmokniętego stada kroczył poważnie gąsior, a w którąkolwiek stronę zwrócił dziób swój długi, w tęż samą stronę zwracały się wszystkie żółte dzioby. Dziewczyna, przeląkłszy się ojca, pobiegła pędem do domu ugotować jedzenie; za nią sunął się sznur gęsi pod przewodnictwem gąsiora, który szedł z wyciągniętą szyją.

IV.

W następną niedzielę wypadał pierwszy listopada, był to dzień Wszystkich Świętych. Dziewiąta biła właśnie, gdy ksiądz Godard, proboszcz z Bazoches le-Doyen, pełniący także obowiązki proboszcza w Rognes, stanął na szczycie wzgórza, u stóp którego znajdował się kamienny most, rzucony na Aigrze. Wioska Rognes, licząca zaledwie trzystu mieszkańców, od lat wielu nie miała dawnego proboszcza i jak się zdawało—przywiązywała do tego mało wagi, że gmina oddała polowemu na mieszkanie dawne, na wpół rozwalone probostwo.

Co niedziela zatem ksiądz Godard przychodził tu pieszo z Bazoches-le Doyen, miejscowości odległej od Rognes o trzy kilometry. Gruby i nizki, z czerwonym karkiem, z szyją tak krótką, że głowa jego zdawała się być przechyloną w tył, zmuszał się do tej przechadzki ze względów hygienicznych. Późno już było, to też ksiądz przyśpieszał kroku, sapiąc jak miech, pot kroplami spływał mu z czoła i z tłustej twarzy, w której

niknął prawie mały płaski nos i małe szare oczy. Chociaż powietrze oziębiło się silnie po deszczach, padających przez cały tydzień, chociaż gęste chmury, grożące śniegiem, zasłaniały niebo, ksiądz trzymał w ręku kapelusz i szedł z odkrytą głową, na której wiły się gęste kędziory rudych, siwiejących włosów.

Droga stromo spuszczała się na dół. Ksiądz minął szybko kilka domów, stojących na lewem wybrzeżu Aigry przed mostem. Nie rzucił wzrokiem ani w górę, ani na dół, ani na rzekę, toczącą powoli przejrzyste swe wody, wrzynające się głęboko w łąki, w pośród klombów wierzb i topoli. Na prawym brzegu rzeki rozpoczynała się wioska: jedne domki stały rzędem po obu stronach drogi, inne jak od niechcenia porozrzucane wisiały na stokach wzgórza. Tuż po za mostem znajdował się dom mera i szkoła—stara stodoła, którą wybielono wapnem i podwyższono o jedno piętro. Ksiądz stanął na chwilę i wsunął głowę do pustej sieni. Potem odwróciwszy się, przyglądał uważnie dwom karczmom, stojącym naprzeciw siebie, jak gdyby chciał wzrokiem przeniknąć ich wnętrze nad jedną z nich; wisiał żółty drewniany szyld, na którym zielonemi literami wypisanym był napis: „Macqueron, sklep korzenny“; po nad drzwiami drugiej wisała tylko gałązka ostrokrzewu z boku zaś, na nieotynkowanym murze, widniał nakreślony węglem napis: „Lengaigne, skład tytoniu“. Przyjrzawszy się

się karczmom, ksiądz skręcił na wązką uliczkę, prowadzącą wprost do kościoła, ale znów po chwili stanął na widok nadchodzącego starego wieśniaka.

— Ach! to wy, ojcze Fouan... Spieszę się bardzo... miałem zamiar was odwiedzić... Cóż się tam dzieje u was?... Słuchajcie, ojcze, powiedzcie waszemu synowi, że to niepodobna, aby zostawił Lizę z wielkim brzuchem, który jej rośnie pod same gardło... Dziewczyna należy do bractwa Maryi, to wstyd! to hańba!

Wieśniak słuchał tych słów z uszanowaniem, schyliwszy głowę.

— Ha! cóż ja poradzę, proszę księdza proboszcza, kiedy Kozioł ani słuchać o tem nie chce.. Zresztą, prawdę powiedziawszy, chłopak ma słuszność, za młody jest jeszcze, by żenić się z dziewką, która nic nie ma.

— Ależ dziecko...

— Et! Dziecko się jeszcze nie urodziło... Kto to może wiedzieć? A gdyby nawet tak było, to tem mniej namawiałbym go do ożenienia się, kiedy nie ma za co sprawić dzieciakowi koszuli.

Mówił powoli, z namysłem, jak człowiek, który zna życie. Po chwili, tym samym miarowym głosem, dodał:

— Zresztą jakoś to się wszystko ułoży. Oddałem dzieciom grunt, dziś właśnie po mszy będą

ciągnąć losy... Może otrzymawszy swoją część, Kozioł pomyśli o ożenieniu się z krewniaczką.

— Niech tak będzie! — odparł ksiądz. — W każdym razie liczę na wasz rozsądek, ojcze Fouan..

Odgłos dzwonów kościelnych rozległ się w powietrzu.

Dalszy ciąg rozmowy zamarł księdzu na ustach, spytał z przerażeniem:

— Wszak to drugi dzwonek nieprawdaż?

— Nie, proszę księdza proboszcza, to już trzeci raz dzwonią.

— Ach! przeklęty Bécu! to bydlę dzwoni zawsze, nie czekając na mnie!

I klnąc, ruszył dalej w drogę. Tchu mu brakło, piersi jego podnosiły się, jak miech kowalski.

Dzwony biły wciąż; kruki zaniepokojone tym hałasem latały, krakając naokoło dzwonnicy zbudowanej w stylu piętnastego wieku i świadczącej tem samem o starożytności wioski Rognes. Przed rozwartemi na oścież drzwiami kościoła czekała gromadka wieśniaków; karczmarz Lengaigne, człowiek wolnomyślnych pojęć, siedział na kamieniu, paląc fajkę; nieco dalej, koło muru cmentarnego, Hourdequin — właściciel Borderie a zarazem mer wioski—wysoki i przystojny mężczyzna, rozmawiał ze swym pomocnikiem, sklepikarzem Macqueron. Gdy ksiądz nadszedł, wszyscy udali się za nim do kościoła, prócz Len-

gaigne'a, który lekceważąco odwrócił się od księdza i palił dalej fajkę.

W kościele, na prawo od kruchty, człowiek jakiś — zawieszony u sznura, dzwonił z całych sił

— Dosyć już, Bécu — zawołał ksiądz Godard, nie posiadając się z gniewu.—Sto razy już mówiłem ci, abyś nie dzwonił trzeci raz, póki ja nie przyjdę.

Polowy, pełniący zarazem obowiązki dziada kościelnego, puścił sznur i zeskoczył na ziemię, przerażony swem nieposłuszeństwem. Byłto nizki pięćdziesięcioletni człeczyna, wyraz jego twarzy. okolonej szpakowatym zarostem, znamionował starego wojskowego, trzymał się sztywno, jak gdyby zbyt ciasny kołnierzyk krępował mu swobodne ruchy szyi. Pijany od samego rana stał pokornie, nie śmiejąc usprawiedliwiać się ani słowem.

Tymczasem ksiądz wszedł do kościoła i dążąc do zakrystyi, rozglądał się po wszystkich ławkach. Ludzi było jeszcze niewiele. Na lewo siedział jeden tylko Delhomme, który będąc członkiem zarządu gminy, czuł się w obowiązku dawać dobry przykład. Na prawo, w ławkach, zajmowanych zwykle przez kobiety, siedziało ich ze dwanaście, ksiądz poznał między niemi Celinę Macqueron, chudą i zuchwałą kobietę, Florę Lengaigne, otyłą babę, nadzwyczaj łagodną, po-

tulną oraz wysoką, rozczochraną i nieumytą żonę polowego Bècu.

Ale do ostatecznego oburzenia doprowadził go sposób zachowania się dziewcząt z bractwa Maryi, siedzących w pierwszej ławce. Prócz Franciszki, były tam Berta Macqueron, ładna brunetka wychowana na pensyi w Cloyes i Zuzanna Lengaigne, brzydka, zepsuta dziewczyna, którą rodzice zamierzali umieścić w szwalni w Châteaudun. Wszystkie trzy rozmawiały, śmiejąc się nieprzyzwoicie. A obok nich biedna Liza, gruba jak dynia, rozpostarła wielki swój brzuch na wprost ołtarza, jak gdyby chciała popisać się przed wszystkimi ze swą hańbą.

Wreszcie ksiądz Godard doszedł do zakrystyi, gdzie zastał dwóch chłopców, którzy bili się, nalewając wino do ampułek. Jeden z nich, Delfin, syn polowego, jedenastoletni wyrostek, opalony i silny, rzucił szkołę dla pomagania ojcu przy roli, podczas gdy rówieśnik jego Ernest, zwany pieszczotliwie Nénesse, syn Delhomme'a ładny, jasnowłosy chłopaczek, spędzał całe dnie bezczynnie, myśląc najwięcej o lusterku, które zawsze nosił w kieszeni.

— Ach! nieznośne urwisy—zawołał ksiądz.— Cóż to? w stajni jesteście?

I zwróciwszy się do młodego, chudego mężczyzny, na którego bladej twarzy sterczało zaledwie kilka rudawych włosów, a który stojąc

przed otwartą szafą, układał książki na półkach:

— Prawdę powiedziawszy — rzekł — mógłbyś pan zwrócić na nich uwagę, podczas mojej nieobecności!

Był to pan Lequeu, nauczyciel wiejski, syn włościanina, który wraz z nauką wyssał z książek nienawiść dla swojego stanu. Obchodził się grubiańsko z uczniami, wymyślał im od bydląt a pod pozorami zimnej grzeczności, jaką okazywał w stosunku z merem i z proboszczem, ukrywał w głębi serca krańcowo-republikańskie zasady. Śpiewał na chórze podczas nabożeństwa, utrzymywał w porządku księgi kościelne, ale—wbrew przyjętemu zwyczajowi — odmówił stanowczo spełniania obowiązków dzwonnika, twierdząc, że podobne zajęcie nie przystoi wykształconemu człowiekowi.

— Cóż to ja jestem stróżem kościelnym? — odparł oschle.—Ach! gdyby to było w szkole, sprawiłbym ja im cięgi!

A gdy ksiądz, nie odpowiadając ani słowa, kładł pospiesznie albę i stułę, nauczyciel zapytał jeszcze:

— Msza będzie cicha, nieprawdaż?

— Naturalnie, tylko prędko... Muszę wrócić do Bazoches na wpół do jedenastej, czekają tam na mnie z summą.

Pan Lequeu wyjął z szafy stary mszał i wyszedł do kościoła położyć księgę na ołtarzu.

— Spieszcie się! spieszcie się!—wołał ksiądz na chłopców, zwijających się po zakrystyi.

I spocony, zasapany jeszcze wszedł do kościoła z kielichem w rękę i rozpoczął mszę, do której usługiwali mu obaj chłopcy, spoglądający na siebie ukradkiem z figlarnym uśmiechem.

Kościół składał się z jednej tylko nawy; z okrągłego sklepienia, opadał tynk, skutkiem skąpstwa gminy, która odmawiała wszelkiej zapomogi; strugi deszczu przeciekały przez połamany łupek, dach pokrywający; na ścianach widać było wielkie plamy, zdradzające, że drewniane wiązania oddawna już gnić zaczęły a na chórze, oddzielonym kratą, zielonawa pleśń pokrywała freski i przecinała na dwoje oblicze Ojca przedwiecznego, otoczonego wieńcem uwielbiających go aniołów.

Gdy kapłan obrócił się do wiernych ze słowami błogosławieństwa, ochłonął nieco z gniewu, ujrzawszy więcej ludzi w kościele: przybył jeszcze mer, członkowie zarządu gminy, stary Fouan i kowal, który zwykle grywał na trąbie podczas mszy śpiewanych. Koło samego ołtarza stał Lequeu, z miną uroczystą i pełną godności, nieco dalej pijaniuteńki Béou wyprostowany jak drąg, oparł się o filar! Na prawo szczególniej ławki kobiet zapełniały się coraz bardziej, nadeszła Fanny, Róża, ciotka Olbrzymka i wiele innych jeszcze, tak iż dziewczęta z bractwa Maryi musiały przysunąć się do siebie i zachowywały się teraz

wzorowo, pochyliwszy głowy nad książkami do nabożeństwa. Najbardziej jednak pochlebiało księdzu przybycie państwa Karolów z wnuczką Elodyą: on w czarnym sukiennym tużurku, ona w zielonej, jedwabnej sukni, modlili się w skupieniu ducha, dając dobry przykład innym parafianom.

Ksiądz jednak śpieszył się ze mszą, trzepał i opuszczał modlitwy. Gdy przyszła kolej na kazanie, nie wszedł na ambonę, ale usiadłszy na krześle przed ołtarzem, rozpoczął naukę, jąkając się i połykając sylaby. Krasomówstwo było jego słabą stroną, bąkał wyrazy, nie umiejąc związać ich w zdania, co było przyczyną, iż biskup pozostawiał go od dwudziestu pięciu lat na stanowisku proboszcza w nędznej mieścinie Bazoches-le-Doyen. Z równym pospiechem odprawiał dalej nabożeństwo dzwonek na podniesienie zadźwięczał przeraźliwie, jak sygnał elektryczny. Wreszcie pożegnał wiernych słowami: „Ite missa est“, które brzmiały jak klaśnięcie z bicza.

Zaledwie kościół opróżniać się zaczął, gdy ksiądz Godard wyszedł już z zakrystyi, w krzywo włożonym kapeluszu. Przed bramą stały Celina, Flora, Bécu i kilka i innych kobiet, oburzonych szalonym pośpiechem, z jakim ksiądz odprawił nabożeństwo. Czy to się godzi skąpić im słowa Bożego w tak uroczyste święto?

— Proszę księdza proboszcza — zagadnęła go najśmielsza ze wszystkich Celina — czy to my

jesteśmy jakie gałganiarki, żeby się nas pozbywać co prędzej?

— Dajcie mi święty spokój! — odparł ksiądz— moi parafianie czekają na mnie... Nie mogą być jednocześnie w Bazoches i w Rognes... Trzymajcie sobie własnego proboszcza, jeżeli wam się zachciewa uroczystego nabożeństwa.

Był to powód nieustannych sprzeczek między księdzem i mieszkańcami Rognes: ci ostatni domagali się większych ceromonij przy nabożeństwie, on zaś spełniał to tylko, co było koniecznie niezbędnem, lekceważąc gminę, która nie chciała odnowić kościoła i w której wiecznie działy się skandale. To też wskazując ręką na gromadkę idących razem dziewcząt z bractwa Maryi, dodał pogardliwie:

— Zresztą to tylko obraza Pana Boga, odprawiać uroczyste nabożeństwo wobec takich dziewczyn, które nie znają poszanowania dla przykazań Boskich!

— Przecież ksiądz proboszcz nie może tego powiedzieć o mojej córce? — spytała Celina, gniewnie zacisnąwszy zęby.

— Ani o mojej?—dodała Flora.

Rozdrażniony ksiądz wybuchnął gniewem:

— Mówię to o tych, którym się to należy. W oczy się rzuca każdemu... Aż wstyd doprawdy spojrzeć na ich białe suknie! Nie pamiętam ani jednej procesyi, żeby która z nich nie była

ciężarna... Nie, nie, sam Pan Bóg nie dałby sobie rady z wami.

Odszedł od nich a Bécu, która w milczeniu słuchała rozmowy, musiała teraz godzić obie matki, z których każda oburzona wymówkami księdza, zrzucała winę na córkę drugiej, ale pośrednictwo to, czynione ze złośliwemi przymówkami, zaostrzało tylko sprzeczkę. Zobaczymy na co wyrośnie Berta, kiedy dziś już nosi aksamitne staniki i grywa na fortepianie! A i Zuzanna nie lepsza! co za pomysł oddawać ją do magazynu w Châteaudun, aby się tam puściła na złą drogę.

Odzyskawszy wreszcie swobodę, ksiądz Godard pędem prawie biegł do domu, gdy w tem spotkał się oko w oko z państwem Badeuil. Uprzejmy uśmiech rozpromienił szeroką twarz jego, uchylił kapelusza na powitanie.

Pan Karol od kłonił się majestatycznie, pani nizko dygnęła. Ale widocznie sądzonem było księdzu spóźnić się dnia tego na sumę, bo uszedłszy kilka kroków zaledwie, musiał się znów zatrzymać Naprzeciw niego szła chwiejnym krokiem, trzydziestoletnia może, lecz wyglądająca na lat pięćdziesiąt, zgarbiona, wycieńczona pracą, uginała się pod ciężarem wiązki gałęzi, którą niosła na plecach.

— Palmyro—zapytał ksiądz—dlaczego nie byłaś w kościele? To bardzo źle, dziś dzień Wszystkich Świętych.

Kobieta jęknęła boleśnie.

— Wiem o tem, proszę księdza proboszcza, ale cóż robić?... Mojemu bratu zimno, marzniemy w domu... Musiałam więc pójść nazbierać trochę gałęzi...

— Czy babka nie dała się przebłagać?

— Aha! ona wolałaby zdechnąć niż dać nam kawałek chleba albo polano drzewa.

I płaczliwym głosem po raz setny może powtarzała księdzu, jak babka wypędziła ich od siebie, jak musiała schronić się z bratem do stajni. Biedny Hilarion miał twarz potwora, skrzywione nogi i był zupełnym idyotą, to też choć skończył już lat dwadzieścia, nigdzie nie mógł znaleźć roboty. Ona więc w pocie czoła pracowała dla niego, otaczając tego kalekę iście macierzyńską opieką.

Pod wrażeniem słów Palmyry, tłusta i spocona twarz księdza Godard opromieniła się wyrazem bezgranicznej dobroci, w złośliwych jego oczach zabłysła łza rozrzewnienia i współczucia. Ten człowiek gwałtowny i popędliwy miał tkliwe serce dla nędzarzy, którym oddawał wszystko: pieniądze, bieliznę i ubranie. W całej Beaucyi nie było chyba księdza, któryby chodził w takiej, jak on wytartej sutannie.

Sięgnął wreszcie do kieszeni i wsunąwszy Palmyrze w rękę sto sous:

— Masz—rzekł—schowaj to, nie mam więcej przy sobie... A muszę też pogadać jeszcze z babką, kiedy taka nieubłagana.

Tym razem wreszcie udało mu się umknąć. Biegł szybko pod górę, tchu mu już brakło w piersiach, gdy na szczęście rzeźnik z Bazoches-le-Doyen, wracający do domu, wziął go na swój wózek. I długo jeszcze pod chmurnem niebem widać było podskakującą postać, w okrągłym kapeluszu, która oddalała się powoli, aż wreszcie znikła zupełnie po za linią horyzontu.

Tymczasem ludzie rozeszli się z placu przed kościołem; Fouan z żoną poszedł do domu, gdzie Grosbois czekał już na nich.

Około dziesiątej Delhomme i Hyacynt przybyli także, napróżno tylko czekano na Kozła. Przeklęty ten dziwak nie umiał nigdy stawić się na słowie! Pewnie zatrzymał się gdzie po drodze, albo wstąpił na śniadanie.

Zniecierpliwieni wieśniacy chcieli z początku nie czekać już na niego, ale po namyśle, obawiając się jego gniewu, postanowili ciągnąć losy koło drugiej dopiero, po śniadaniu. Tymczasem Grosbois, którego częstowano winem i słoniną, wypróżnił jedną butelkę i napoczął drugą, wpadłszy znów w zwykły sobie stan pijackiego odrętwienia

Druga wybiła a Kozła jeszcze nie było! Wtedy Hyacynt, tęskniąc za hulanką, której cała wioska, korzystając z dnia świątecznego, oddawa

ła się w tej chwili, wysunął się z domu i pobiegłszy przed sklep Macquerona, wsunął głowę przez okno. To poskutkowało. Drzwi otwarły się z hałasem a Bécu stanąwszy na progu, zawołał:

— Chodźno, stary żołdaku, spróbujemy razem szczęścia!

Polowy trzymał się teraz jeszcze sztywniej niż w kościele, w miarę jak się upijał, stawał się coraz uroczystszym. Wspomnienie lat, spędzonych razem w służbie wojskowej i razem wychylonych kieliszków, wzbudzało w nim serdeczną życzliwość dla włóczęgi Hyacynta, to też ilekroć był na służbie, udawał, że go nie poznaje, unikał sposobności schwytania go na gorącym uczynku polowania w cudzym lesie; w sercu jego toczyła się walka między obowiązkiem i uczuciem. W karczmie, upiwszy się, częstował go jak brata.

— Utnijmy partyjkę, dobrze? A do kroć set stu tysięcy! Jeżeli beduini nam przeszkodzą, obetniemy im uszy!

Macqueron, niemłody już mężczyzna, z wielką twarzą, o sumiastych wąsach, siedział w kącie izby, kręcąc młynka palcami. Odkąd zebrał trochę grosza na sprzedaży wina z Montigny, stracił ochotę do pracy, polował, łowił ryby, udając bogatego mieszczanina. Chodził w brudnej, obszarpanej odzieży, podczas gdy jego córka Berta zamiatała podłogę ogonem szeleszczącej jedwabnej sukni. Gdyby nie opór żony, dawno już byłby zamknął sklep i przestał sprzedawać wódkę,

bo się stawał próżnym, trawiła go jakaś ambicya, z której zresztą sam sobie sprawy zdać nie umiał. Ale kobieta, niezmiernie chciwa na grosz, słuchać o tem niechciała, on zaś sam nie zajmując się niczem, pozwalał jej szynkować wódkę, w chęci zrobienia na przekór sąsiadowi Lengaigne, który miał skład tytoniu i także sprzedawał napoje. Współzawodnictwo to trwało od lat wielu, nie wygasająo nigdy, gotowe wybuchnąć płomieniem przy lada sposobności.

Czasami jednak pokój trwał całe tygodnie i teraz oto wszedł do izby Lengaigne z synem swym Wiktorem, dużym, niezgrabnym chłopcem, który za rok miał stawać do wojska. On sam wysoki i silny, miał twarz pomarszczoną i małą sowią głowę, osadzoną na szerokich kościstych ramionach zajmował się uprawą roli, podczas gdy żona ważyła tytoń i schodziła do piwnicy. Używał wielkiej powagi w okolicy, bo umiał strzydz i golić; rzemiosła tego wyuczył się w pułku i uprawiał je—stosownie do życzenia klientów—bądź u siebie w sklepie wpośród gości pijących za stołem, bądź też u nich w domu.

— No cóż, kumie, kiedy się weźniemy do waszej brody?—zapytał, stojąc jeszcze na progu.

— Ach prawda! kazałem w s prosić—zawołał Macqueron. — Bierzcie się zaraz do roboty, jeżeli chcecie.

Zdjął z półki starą tackę, przyniósł mydła i letniej wody, podczas, gdy Lengaigne wyjmo-

wał z kieszeni brzytwę dużą, jak nóż myśliwski i ostrzył ją na skórzanym pasku, przymocowanym do futerała. W tem z sąsiedniej izby dał się słyszeć piskliwy głos Celiny:

— Jeszcze czego! będziecie rozkładać te świństwa na stołach, przy których goście piją!... O! nie! nie mam ochoty, żeby ludzie znajdowali u mnie włosy w kieliszkach!

Była to przymówka do nieporządku w sąsiedniej karczmie, w której—jak powiadano—ludzie znajdowali w kieliszkach więcej włosów niż wina.

— Pilnuj tam soli i pieprzu a daj nam święty spokój!—ofuknął Macqueron, oburzony, że żona śmiała dać mu nauczkę wobec gości.

Bécu i Hyacynt parsknęli głośnym śmiechem! Dobrze jej tak! dostała przynajmniej po nosie. Kazali sobie podać kwartę wina, kobieta przyniosła je i postawiła przed nimi, trzęsąc się ze złości. Oni zaś tasowali karty, rzucając je na stół z dziką jakąś zaciętością, jak gdyby walczyli o śmierć i życie. Atut! atut! wciąż atut!

Lengaigne namydlił był właśnie twarz swego klienta i trzymał go za nos, gdy na progu izby stanął pan Lequeu, nauczyciel wiejski.

— Jak się macie, przyjaciele.

Przysunął się do pieca i stał w milczeniu, grzejąc sobie plecy, podczas, gdy Wiktor siedział obok graczy i z gorączkową ciekawością przyglądał się ich grze.

— Och! przypomniało mi się — odezwał się Macqueron, korzystając z chwili, w której golarz obcierał mu o plecy zamydloną brzytwę,—przed samą właśnie mszą pan Hourdequin mówił ze mną o tej drodze... Trzebaby raz wreszcie zgodzić się na coś.

Chodziło to o przeprowadzenie bitej drogi z Rognes do Châteaudun, która miała skrócić odległość przeszło o dwie mile, bo obecnie trzeba było objeżdżać przez Cloyes. Mieszkańcom wioski zależało wiele na przeprowadzeniu nowej drogi, a mer chcąc zjednać członków zarządu gminy, rachował na wpływ swego pomocnika, który osobiście zyskiwał na pomyślnem rozstrzygnięciu kwestyi. Trzeba było połączyć drogę z gościńcem na dole, co ułatwiało wozom przystęp do kościoła, do którego obecnie prowadziła wązka ścieżka, pnąca się stromo pod górę. Otóż według wytkniętego planu, droga miała iść wzdłuż ciasnej uliczki pomiędzy obiema karczmami a wskutek rozszerzenia uliczki i złagodzenia spadku, wartość gruntów Macquerona wzrosłaby w dziesięćnasób.

— Tak—ciągnął dalej—zdaje się, że rząd chce, abyśmy sami coś uchwalili, zanim nam przyjdzie z pomocą. Cóż ty na to?

Lengaigne, który należał również do członków zarządu, ale nie posiadał ani zagona własnego gruntu, odparł z gniewem:

— Ja drwię sobie z tego! Cóż mnie twoja droga odchodzić może?

I zabrawszy się do drugiego policzka, skrobiąc go niemiłosiernie po skórze, zaczął wymyślać na mera. Ach! ci dzisiejsi mieszczanie stokroć gorsi jeszcze od dawnych panów! Przy podziale gruntów, wszystko zagarnęli dla siebie i dbają tylko o własną korzyść, wzbogacając się kosztem nędzy ubogich ludzie! Wszyscy słuchali go onieśmieleni na pozór, lecz radzi w głębi serca, że ktoś śmie wypowiedzieć głośno odwieczną, niczem nieprzejednaną nienawiść chłopa do posiadaczy większej własności ziemskiej.

— Chwała Bogu, żeśmy tu sami swoi!—szepnął Macqueron, spoglądając znacząco na nauczyciela wiejskiego. — Co do mnie, staję po stronie rządu... Nasz deputowany, pan de Chédeville, który — jak powiadają — jest przyjacielem cesarza...

Lengaigne, wymachując brzytwą w powietrzu, zawołał:

— Taki sam łajdak jak i inni!... Czy taki bogacz, posiadający przeszło tysiąc hektarów ziemi w okolicy Orgères, nie mógłby darować nam tej drogi, zamiast wyciągać grosze od gminy... podłe bydlę!

Ale Macqueron, przerażony nie na żarty śmiałością słów kolegi karczmarza, przerwał ten wybuch:

— O! nie, to bardzo uczciwy człowiek i w cale nie dumny... Gdyby nie on, nie miałbyś dzisiaj składu tytoniu. Cóżbyś powiedział, gdyby ci odebrano prawo sprzedaży.

Lengaigne ochłonął w jednej chwili i znów spokojnie skrobał go po podbródku. W samej rzeczy, posunął się za daleko w gniewnie: żona miała słuszność ostrzegając go, że przez swoje dziwaczne pojęcia nabawi się jeszcze biedy! W tej chwili wszczęła się kłótnia pomiędzy Hyacyntem i Bècu. Ten ostatni złościł się zawsze po pijanemu i szukał zaczepki, podczas, gdy Hyacynt rozczulał się coraz bardziej po każdym kieliszku, stawał się łagodnym i potulnym jak baranek. Prócz sprzeczności usposobień, dzieliła ich jeszcze radykalna różnica przekonań: Hyacynt, republikanin, „czerwony“—jak go nazywano—przechwalał się nieraz, że w 48 r. nawarzył piwa mieszczanom z Cloyes; polowy zaś, zapalony bonapartysta, pałał uwielbieniem dla cesarza, dowodząc, że go znał osobiście.

— A ja gotów jestem przysiądz że tak! Jedliśmy razem sałatę z solonych śledzi. Wtedy on mi powiedział: „Masz słuszność, bracie, ja jestem cesarz!“ Oto! poznałem ja go odrazu, nieraz przecie na monetach widywałem jego portret:

— Być może!.. W każdym razie był to lichy człowiek: bił żonę, nie kochał nigdy swej matki..

— Milczże, do dyabła! bo ci dam w pysk!

Ktoś bliżej stojący, wyrwał polowemu z rąk kwartę, którą zamierzył się na przeciwnika, podczas, gdy Hyacynt z wilgotnemi oczyma, z pokornym uśmiechem, czekał spełnienia pogróżki. po chwili znów grali dalej, w jak najlepszej zgodzie. Atut! atut! wciąż atut!

Macqueron, nie ufając zbytecznie niewzruszonemu spokojowi nauczyciela wiejskiego, zapytał go wreszcie:

— Cóż pan na to wszystko powiadasz, panie Lequeu?

Lequeu, który rozgrzewał przy rurze od pieca swe duże, zmarznięte ręce, uśmiechnął się z miną człowieka, któremu wyższość stanowiska nie pozwala wtrącać się do rozmowy:

— Nic nie powiadam, to mnie wcale nie obchodzi.

Po skończenem goleniu, Macqueron zanurzył twarz w misce wody, pryskał, kaszlał, wreszcie obcierając się, rzekł:

— Słuchajcie, co zrobię!... Tak! klnę się na Boga! jeżeli gmina zgodzi się na przeprowadzenie drogi, ja dam darmo kawał gruntu.

Wszyscy oniemieli ze zdziwienia, usłyszawszy tę wiadomość. Nawet Hyacynt i Bécu, chociaż nieprzytomni już prawie, podnieśli głowy. Nikt nie przerywał milczenia, przyglądano mu się, jak człowiekowi, który nagle zmysły postradał. Wtedy on podniecony wywartem wrażeniem,

tłumiąc w sercu żal, jakiem przejmowało go to zobowiązanie, dodał jeszcze:

— Będzie tam zawsze z pół morga .. Słowo się rzekło! Kiep, kto nie dotrzyma obietnicy!

Lengaigne wyszedł z synem, doprowadzony do rozpaczy hojnością sąsiada: mógł nie dbać o ziemię, niemiłosiernie obdzierając gości! Macqueron, nie zważając na zimno, zdjął ze ściany fuzyę i poszedł zobaczyć, czy nie spotka znów królika, którego spostrzegł w przeddzień koło winnicy. W karczmie zostali tylko obaj gracze i Lequen, który spędzał tu całe dnie świąteczne, nic zresztą nie pijąc. Godziny upływały powoli; coraz to nowi wieśniacy wchodzili do karczmy i wychodzili z niej.

Około piątej drzwi rozwarły się z trzaskiem, Kozioł i Jan weszli do kaczmy. Kozioł, zobaczywszy Hyacynta, zawołał:

— Byłbym się założył, że cię tu zastanę... Cóż to drwisz sobie z ludzi? Czekamy na ciebie.

Pijak, roześmiawszy się na całe gardło, aż ślina pociekła mu po brodzie, odpowiedział:

— Ach! ty przeklęty dziwaku, to ja czekam na ciebie! Od samego rana włóczysz się, Bóg wie gdzie!

Kozioł bawił się do tej pory w Borderie, gdzie Jakóbka, z którą od lat piętnastu przewracał się po sianie, zatrzymała jego i Jana i częstowała ich grzankami. Pan Hourdequin poszedł po mszy na śniadanie do Cloyes, bawiono się więc swobo-

dnie na folwarku, zkąd obaj wieśniacy teraz dopiero wracali.

Tymczasem Bécu wrzeszczał, że zapłaci za wypite pięć kwart wina pod tym wszakże warunkiem, żeby nie kończyć jeszcze partyi, ale Hyacynt, potulny, do łez wzruszony, z trudnością oderwał się od krzesła i wyszedł za bratem.

— Poczekaj tutaj — rzekł Kozioł do Jana — a za jakie pół godziny przyjdź do mnie... A pamiętaj, że obiecałeś przyjść dziś na obiad do ojca.

Gdy obaj bracia przyszli do domu, cała rodzina znalazła się w komplecie. Ojciec chodził po izbie ze spuszczoną głową. Matka siedziała przy stole, stojącym na środku pokoju i machinalnie robiła pończochę. Naprzeciw niej Grosbois, wypiwszy i zjadłszy za wiele, drzemał z nawpół otwartemi oczyma, nieco dalej Fanny i Delhomme, czekali cierpliwie, siedząc na dwóch nizkich krzesełkach. Prócz kilku ubogich sprzętów i wytartych od ciągłego czyszczenia naczyń kuchennych, stanowiących zwykłe umeblowanie zadymionej tej izby, znajdował się teraz na stole arkusz białego papieru, kałamarz i pióro. Tuż obok leżał czarny, zrudziały kapelusz geometry, noszony od lat dziesięciu zarówno w słotę jak i w pogodę. Zmrok zapadał, ostatnie promyki dziennego światła wpadały przez wązkie okienko, a w tym półcieniu dziwne fantastyczne kształty przybierał kapelusz o szerokiem rondzie.

Grosbois, chociaż pijany nie zapominał o interesie, ocknął się i wybełkotał:

— No! jesteśmy już wszyscy.. Mówiłem wam już, że akt jest gotowy. Zachodziłem wczoraj do pana Baillebache i widziałem papier na własne oczy... Brak tylko numeru udziałów przy nazwisku każdego z was. Ciągnijcie że teraz losy, notaryusz wpisze numery i w sobotę będziecie mogli pójść do niego dla podpisania aktu.

Otrząsnął się, podniósł głos:

— A zatem, przygotuję bilety.

Wieśniacy prędko podbiegli do stołu, nie tając bynajmniej swej nieufności. Śledzili każdy ruch geometry, pilnowali go jak kuglarza, zdolnego popełnić oszustwo. Grosbois trzymał arkusz papieru w grubych swych palcach, drżących od nadużycia spirytusu, potem rozciął go na trzy równe kawałki i na każdym kawałku wypisał krzywemi, olbrzymiemi cyframi: 1, 2, 3. Wszyscy przechyleni przez jego ramię przyglądali mu się uważnie; nawet rodzice kiwali głowami z zadowoleniem, przekonali się naocznie, że żadne nadużycie popełnionem nie zostało Następnie geometra poskładał bilety i wrzucił je do kapelusza. Uroczysta cisza zaległa izbę.

Po upływie kilku minut Grosbois odezwał się pierwszy.

— Trzeba się raz już zdecydować... Kto zaczyna?

Nikt się nie ruszył z miejsca. Ciemność zwiększała się, kapelusz zdawał się coraz większym.

— Może według starszeństwa, dobrze? — zaproponował geometra. — Zaczynaj więc Hyacyncie, jesteś najstarszy!

Hyacynt, skłonny zwykle do zgody, postąpił kilka kroków, ale straciwszy równowagę o mało nie upadł. Z całej siły wepchnął zaciśniętą pięść do kapelusza, jak gdyby kazano mu wyciągnąć odłam skały. Wybrawszy bilet, poszedł z nim do okna:

— Dwa! — zawołał głośno i parsknął śmiechem, jak gdyby liczba ta wydawała mu się nadzwyczaj dziwną.

— Teraz kolej na Fanny! — ozwał się Grosbois.

Fanny, włożywszy rękę do kapelusza, nie śpieszyła się wcale. Brała w rękę każdy kawałek papieru, znów go odrzucała, zdawała się chcieć porównać ich ciężar.

— Nie wolno wybierać! — ofuknął ją Kozioł, który aż zbladł ze złości, usłyszawszy, który los padł w udziale jego brata.

— A to dlaczego? — odparła Fanny. — Nie patrzę przecie, mogę więc pomacać bilety.

— Daj pokój! — szepnął ojciec — wszystkie są jednakowe, nawet piędzi ziemi niema więcej w jednym niż w drugim.

Wybrała wreszcie i takie pobiegła do okna.

— Jeden!

— A zatem Kozłowi zostaje trzeci udział—zauważył Fouan. — Wyciągnij swój bilet, mój chłopcze.

Pomimo wzmagającej się ciemności, dostrzedz było można okropną zmianę na twarzy młodego wieśniaka. Szalony gniew dźwięczał w jego głosie:

— Za nic w świecie!

— Jakto?

— Myślicie może, że ja się zgodzę na to? o nie! nigdy! Mam brać trzeci udział, najgorszy ze wszystkich! Mówiłem Bóg wie ile razy, że żądam innego podziału. Ale nie! drwiliście ze mnie!.. A zresztą, czy to ja nie rozumiem waszego krętactwa! Ciągnienie powinno było zacząć się od najmłodszego! Nie! ani myślę ciągnąć, kiedy mnie oszukujecie!

Ojciec i matka, przyglądali się z przerażeniem synowi, który tupał nogami i walił pięściami w stół.

— Oszalałeś chyba, mój ty biedaku!— odezwała się Róża.

— O! niby to ja nie wiem, że mnie matka nigdy nie kochała! Chciałaby zedrzeć skórę ze mnie i oddać ją swemu gagatkowi... Wy wszyscy, radzibyście mnie w łyżce wody utopić...

Fouan przerwał mu ostro:

— Dość już tych głupstw, rozumiesz! Czy będziesz ciągnął?

— Chcę, żeby wszyscy ciągnęli po raz drugi.

Ale wieśniacy jednogłośnie oparli się temu żądaniu.

Hyacynt i Fanny ściskali w ręku bilety, jak gdyby obawiając się, by im kto nie wyrwał papieru.

Delhomme oświadczył, że ciągnienie odbyło się uczciwie a obrażony Grosbois, chciał odchodzić, skoro posądzano go o oszustwo.

— Albo też niech ojciec dołoży do mojej części tysiąc franków z pieniędzy, które schował przed nami.

Stary zaskoczony z nienacka, nie mógł w pierwszej chwili zdobyć się na odpowiedź. Wreszcie wyprostowawszy się, zbliżył się do syna, trzęsąc się z gniewu.

— Co ty gadasz? Czy chcesz zamordować mnie, niecny hultaju? Gdybyś nawet przewrócił cały dom, nie znajdziesz w nim ani grosza... Bierz bilet do dyabła! albo nic nie dostaniesz!

Uparty Kozioł nie cofnął się ani kroku, chociaż ojciec stał przed nim z podniesioną pięścią:

— Nie!

I znów zrobiło się cicho; wszyscy stali zakłopotani. Zdawało się, że olbrzymie rozmiary kapelusza przejmowały ich strachem, nikt bowiem nie chciał dotknąć się biletu. Geometra, chcąc raz temu koniec położyć, poradził, aby ojciec wyciągnął za syna.

Stary z powagą wsunął rękę do kapelusza i wyjąwszy bilet, poszedł z nim do okna, jak

gdyby nie wiedział jaką cyfrę znajdzie na papierze.

— Trzy!... Masz trzeci udział, rozumiesz?... Akt jest już gotów, pan Baillehache pewnie nic w nim nie zmieni, to co raz się stało, odstać się nie może... Zostawiam ci noc do namysłu... No! skończyliśmy już, niema co gadać o tem dłużej!

Kozioł nie odpowiedział ani słowa. Inni potakiwali słowom ojcowskim, podczas gdy matka zapaliła wreszcie świecę i nakrywała do stołu.

W tymże czasie Jan, wyszedłszy na spotkanie towarzysza, spostrzegł w ciemnościach dwie, trzymające się w pół postacie, które stojąc na czarnej i pustej drodze podglądały, co się działo w domku Fouanów. Z ołowianego nieba zaczynały spadać płatki śniegu, lekko jak piórka:

— Ach!—odezwał się łagodny głos—przestraszyliście nas, panie Janie.

Teraz dopiero Jan poznał Franciszkę. Z pod nasuniętej na twarz chustki, widział dokładnie jej grube wargi i długi, chudy nos. Objąwszy wpół siostrę, szła z głową opartą na ramieniu. Obie siostry kochały się bardzo, spotykano je też często razem jak szły, trzymając się wpół. Liza wyższa od siostry, przystojna, rozmawiała wesoło, nie martwiąc się widocznie swem nieszczęściem.

— A ładnie! podglądacie przez okno!—zawołał Jan żartobliwie.

— Cóż w tem złego? — odparła śmiało Liza, przyznając się otwarcie do swych zamiarów— ciekawa jestem, co się tam dzieje... Chciałabym wiedzieć, czy Kozioł zgodzi się teraz!

Franciszka klepała pieszczotliwie ręką po grubym brzuchu siostry:

— I czy mu na to pozwolą!... Pewnie teraz, dostawszy kawał gruntu, będzie szukał bogatej dziewczyny.

Ale Jan natchnął ich nadzieją: podzielono już ziemię—to najważniejsza, reszta ułoży się jakoś. Franciszka, dowiedziawszy się, że Jan idzie na obiad do rodziców Kozła, powiedziała mu jeszcze na pożegnanie:

— No! to zobaczymy się niedługo, bo my przyjdziemy dziś na wieczornicę.

Jan długo patrzył za niemi, gdy oddalając się, niknęły w ciemnościach. Śnieg padał coraz gęściej, osiadając jak delikatny, biały puszek na odzieży odchodzących dziewcząt.

V.

O siódmej rodzice Fouan, Kozieł i Jan, wstawszy od stołu, poszli do obory, służącej za mieszkanie dwom krowom, które Róża oddawna już chciała sprzedać. Zwierzęta, uwiązane w głębi koło żłobu ogrzewały wnętrze budynku wyziewami swego ciała i podściółki, w kuchni zaś zimno już było wieczorem po wygaśnięciu kilku polan, rozpalonych dla ugotowania obiadu. Dlatego też, podczas zimy, odbywano tu wieczornicę bez innego zachodu, prócz przyniesienia małego, okrągłego stolika i kilkunastu starych krzeseł. Wygodnie tu było, obszernie, plecy rozgrzewał im ciepły oddech krów, które leżały w słomie, przeżuwając. Każdy z sąsiadów przynosił po kolei świecę; wielkie cienie migały po gołych, zakurzonych ścianach, dochodząc aż do pajęczyny, zawieszonej u wiązań pułapu.

Olbrzymka przyszła najpierwsza z pończochą i z drutami. Nadużywając praw, przysługujących jej sędziwemu wiekowi, nie przynosiła nigdy świecy a wieśniacy obawiali jej się do tego

stopnia, że nawet brat nie śmiał nigdy przypomnieć tego zwyczaju. Zajęła natychmiast najwygodniejsze miejsce i przysunęła do siebie lichtarz, nie troszcząc się o zebranych sąsiadów. Obok krzesła postawiła laskę, z którą nie rozstawała się nigdy. Połyskujące kryształki śniegu topniały na rzadkich włosach, sterczących gdzieniegdzie na jej głowie.

— Czy pada jeszcze?—zapytała Róża.

— Pada— odparła krótko.

Rzuciła przenikliwie spojrzenie na Kozła i na Jana, potem zacisnąwszy wązkie usta, pochyliła głowę nad robotą.

Wieśniacy schodzili się powoli; wkrótce przyszła Fanny, którą przyprowadził syn jej Nénesse, bo Delhomme nie bywał nigdy na wieczornicach; tuż za nią weszły Liza i Franciszka i śmiejąc się otrzepywały śnieg, który pokrywał ich odzież. Liza zarumieniła się lekko, spostrzegłszy Kozła. On zaś śmiało i spokojnie patrzył na nią:

— Jak się miewasz, Lizo, od czasu, jakeśmy się nie widzieli?

— Nieźle, dziękuję.

— Chwała Bogu!

Tymczasem Palmyra wśliznęła się cichaczem przez na wpół rozchylone drzwi, usiadła w kącie, skulona, usiłując ukryć się przed wzrokiem babki. Nagle zerwała się na równe nogi, posłyszawszy jakiś hałas na drodze. Słychać było

śmiechy, krzyki, gwizdania, głośne łkanie i rozpaczliwe wzywanie pomocy.

— Ach! pewnie te podłe dzieciaki znów znęcają się nad nim!—wykrzyknęła.

Skoczyła do drzwi, otworzyła je i mrucząc jak lwica, wybiegła na drogę, by oswobodzić brata od złośliwych żartów Flądry, Delfina i Ernesta. Ten ostatni przyłączył się przed chwilą do dwojga pierwszych, którzy ścigali biednego kalekę, rzucając w niego gałkami śniegu. Hilarion zadyszany, zmęczony wszedł do obory, kołysząc się jak kaczka na swych krzywych nogach. Ślina mu ciekła z potwornie wykrzywionej gęby, bełkotał i jąkał się, nie mogąc wytłomaczyć siostrze, co się stało. Trząsł się ze złości, że nie miał siły schwycić którego z tych urwisów i obić ich należycie. Skarżył się ze łzami, że go obili gałkami śniegu!

— Ach! jak on kłamie! — powiedziała Flądra, udając niewiniątko—patrzcie, jak mnie ugryzł w palec!

Hilarion chciał coś odpowiedzieć ale nie mógł wykrztusić ani słowa, dławił się, bełkotał, podczas, gdy Palmyra uspokajała go, obcierała mu twarz chustką i nazywała go swym pieszczoszkiem.

— No skończcie już raz,—odezwał się wreszcie Fouan.—Gdybyś nie był takim niedołęgą, nikt by cię nie prześladował... Posadź że go przynajmniej i niech siedzi spokojnie!... A wy, smarka-

cze, ani mi się ruszyć! Jak które słowo piśnie, wezmę za uszy i odprowadzę do rodziców.

Ale gdy idyota wciąż bełkotał, chcąc, żeby mu słuszność przyznano, Wielka, której oczy iskrzyły się gniewem, schwyciła swą laskę i uderzyła nią tak silnie w stół, że aż wszyscy podskoczyli. Palmyra i Hilarion oniemieli z trwogi, przysiedli na gołej ziemi, nie śmiejąc poruszyć się nawet.

Wieczerza zaczęła się wreszcie. Kobiety zasiadłszy koło stołu, przy jednej świecy robiły pończochę, przędły i naprawiały odzież, nie patrząc wcale na robotę. Dalej nieco usiedli mężczyzni i paląc fajki, rzadko kiedy wtrącali się do rozmowy, dzieci zaś schowały się w kąt obory, gdzie biły się, szczypały jedne drugie, zatykając sobie usta, aby nie parsknąć śmiechem.

Czasami opowiadano rozmaite bajki: to o czarnej świni, która, trzymając czerwony klucz w ryju, pilnowała wielkich skarbów; to o jakiejś bestyi z Orleanu, która miała twarz człowieka, skrzydła nietoperza, włosy do samej ziemi, dwa rogi i dwa ogony: jeden do wieszania się na drzewach, drugi do zabijania. Potwór ten pożarł jakiegoś podróżnego z Rouen, pozostawiwszy z niego tylko buty i kapelusz. Innym znów razem rozpoczynano nieskończenie długie historye o żarłocznych wilkach, które niegdyś przez całe wieki wyniszczały Beaucyę. Dawnemi czasy, gdy Beaucya — dziś naga i ogołocona z drzew, posiadała jeszcze resztki dawnych swych nie-

przebytych lasów, stada wilków, pędzonych głodem, wychodziły w zimie z tych zarośli i rzucały się na bydło. Wilki owe pożerały nawet kobiety i dzieci. Starzy ludzie przypominali sobie, jak podczas wielkich zawiei śnieżnych, stada wilków przychodziły nieraz do wiosek i miasteczek: w Cloyes słyszano ich wycie na placu Świętego Jerzego; w Rognes wdzierały się pod drzwi niedomkniętych owczarń i obór. Dalej też same przypowiastki powtarzały się z nieskończonemi odmianami: to o jakimś młynarzu, napadniętym przez pięciu wilków, który odstraszył ich, zapaliwszy zapałkę; to o jakiejś dziewczynce, która uciekała przeszło dwie mile przed zgłodniałą wilczycą i została pożartą dopiero na progu swojego domu, gdy upadła; to wiele innych jeszcze historyj o wilkach, o wilkołakach, o ludziach, którzy przemienili się w dzikie zwierzęta, o potworach, które wskakiwały na plecy ludzi włóczących się w nocy po drogach. Potwory te — według słów legendy — zmuszały nieszczęsnych do biegania ile sił starczy, tak długo... tak długo, aż zmęczeni, zdyszani, padali martwi na ziemię.

Z pomiędzy wszystkich historyj, opowiadanych przy cienkiej łojówce, najbardziej jednak wdzierały się w pamięć i wyobraźnię dziewcząt, bywających na wieczornicach, opowiadania o zbrodniach „Przypiekaczy“, słynnej bandy zbójeckiej z okolic Orgères. Dziś jeszcze po sześćdziesięciu latach, cała okolica drżała na samo ich wspom-

nienie, a dziewczęta, po takiem opowiadaniu, uciekały jak szalone do domu, oglądając się ze strachem, czy zbójcy nie kryją się gdzie w cieniu drzew. Owych „przypalaczy“ setki były całe; bandy ich składały się z włóczęgów, z rozbójników, żebraków, dezerterów, ludzi udających handlarzy, z dzieci i z kobiet żyjących z kradzieży, zbrodni i z rozpusty. Jak wojska regularne, dobrze uzbrojone i karne — wedle dawnego autoramentu — korzystając z zamieszek Rewolucyi, przychodzili oni oddziałami całemi, oblegali domy, stojące na ustroniu dokąd wpadali „jak bomby“, wybijając taranami drzwi i okna. Gdy noc zapadła, jak wilcy wychodzili z lasu Dourdan, to znów z zarośli w la Conie i z innych niedostępnych kryjówek swoich; razem z ciemnościami strach ogarniał wszystkie folwarki Beaucyi od Etampes aż do Châteaudun i od Chartres aż do Orleanu. Z pomiędzy popełnionych przez nich okrucieństw, najczęściej przypominano sobie w Rognes rabunek folwarku Millouard, odległego o parę mil tylko. Piękny Franek, słynny herszt bandy, następca Kwiatu Cierniowego, wziął ze sobą tej nocy najodważniejszych i najzręczniejszych towarzyszy. Był więc z nimi słynny Rak z Auneau, jego zastępca, Wielki Smok, Breton Przetrącony, Bliźniak, Janek Bez palca i z pięćdziesięciu innych; wszyscy mieli twarze pomazane sadzami. Najprzód zepchnęli bagnetami do piwnicy wszystkich ludzi folwarcznych,

sługi, parobków i pastuchów, potem dopiero „przypiekli“ właściciela folwarku, ojca Fousset, którego tylko jednego zatrzymali w pośród siebie. Wyciągnęli mu nogi po nad węglami, żarzącemi się w kominie i zapalili mu włosy na brodzie i na całem ciele pochodniami, skręconemi ze słomy. Potem wrócili do nóg i ponacinali je nożami, aby go płomień głębiej dopiekał. Dopiero gdy stary zdecydował się powiedzieć gdzie ukrywa pieniądze, puścili go i uciekli, zabrawszy ze sobą znaczne łupy. Fousset miał jeszcze dość siły, by się dowlec do sąsiedniego domu i umarł dopiero w parę lat później... Zawsze i niezmiennie opowiadania te kończyły się historyą procesu i stracenia w Chartres całej bandy „przypiekaczy“, którą Jednooki Jouy, przekupiony przez władze, wydał w ręce sprawiedliwości. Proces to był potworny, samo śledztwo trwało półtora roku, a podczas śledztwa sześćdziesięciu czterech z pomiędzy oskarżonych umarło w więzieniu w skutek zarazy, jaką ich własne nieczystości wyrodziły. Po ukończeniu śledztwa, pozwano przed sąd przysięgłych stu piętnastu winnych, z których trzydziestu trzech zdołało umknąć. Przysięgłym postawiono siedm tysięcy ośmset pytań, a odpowiedzi ich, spowodowały ogłoszenie dwudziestu trzech wyroków śmierci. Po wykonaniu wyroków, kaci w Chartres i z Dreux pobili się przy dymiącem krwią rusztowaniu, dzieląc się szatami ściętych zbrodniarzy!...

Zabójstwo popełnione niedawno około Janville, przywiodło im raz jeszcze na pamięć okropny rabunek folwarku Millouard. Fouan opowiadał właśnie o skardze, jaką Łak z Auneau napisał w więzieniu, gdy nagle kobiety wzdrygnęły się, usłyszawszy jakiś niezwykły hałas na drodze, jakby krzyki, szamotania się i przekleństwa. Wszystkie zbladły i natężyły słuch, drżąc ze strachu, czy za chwilę nie wpadnie tu „jak bomba“ gromada czarnych rozbójników. Kozieł, najodważniejszy ze wszystkich, poszedł otworzyć drzwi.

— Kto tam idzie?

W tej chwili zobaczono Hyacynta i polowego, którzy, pokłóciwszy się z Macqueron'em wyszli z karczmy, zabrawszy z sobą karty i świecę, aby gdzieindziej skończyć rozpoczętą partyę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, przekonawszy się, kto stał się powodem ich strachu.

— Wejdźcie, tylko sprawiajcie się cicho — rzekła Róża, uśmiechając się do swego syna.— Dzieciaki wasze są tu oddawna, zabierzecie je z sobą do domu!

Hyacynt i Becu usiedli na ziemi, tuż przy krowach, postawili świecę między sobą i grali dalej: atut! atut! i wciąż atut! Ale rozmowa skierowała się teraz na inny temat: zaczęto mówić o Wiktorze Lengaigne i o dwóch innych chłopcach, którzy w lutym mieli stawać do wojska. Kobie-

ty spoważniały, mówiły powoli, smutnie kiwając głowami.

— O! nie! to wcale niezabawne! — westchnęła Róża.

— Ach! ta wojna!—ubolewał Fouan—ile nam ona złego robi. Rolnictwo przez nią upada!... Tak... tak... zabierając chłopców, pozbawiają nas najsilniejszych rąk do pracy... A później wróciwszy z wojska, są już zupełnie inni, ani chcą patrzeć na pług... Wolałbym cholerę niż wojnę!

Fanny przestała robić pończochę.

— Nie pozwolę nigdy na to—oświadczyła stanowczo—żeby Ernest miał iść do wojska. Pan Baillehache tłómaczył mi, w jaki sposób można się uwolnić: wszyscy się zbierają, każdy składa pewną ilość pieniędzy, za które potem wykupuje się tych, co wyciągnęli zły bilet.

— Trzeba być bogatym na to—wtrąciła sucho Olbrzymka.

Bécu, który tasował właśnie karty, pochwycił te słowa w przelocie:

— Ach! do kroćset stu tysięcy! nic tak nie wyrabia człowieka jak wojna! Kto nie był nigdy na wojnie, nie może mieć o niej pojęcia. To jedyna rzecz! patrzeć spokojnie na kule latające w powietrzu! Ot! tam naprzykład, u murzynów....

Przymrużył lewe oko, Hyacynt spoglądał na niego znacząco, uśmiechając się ironicznie. Obydwaj byli niegdyś z wojskiem w Afryce: polowy

w pierwszych latach po zawojowaniu, Hyacynt znaczniej później—podczas ostatnich rozruchów. Jakkolwiek nie w jednym czasie służyli, mieli przecież wiele wspomnień wspólnych: przypominali też sobie, jak nawlekali na sznurek—niby paciorki—uszy obcięte beduinom, jak wysmarowawszy oliwą skórę jeńców, przywiązywali ich do płotu i zatykali im wszystkie otwory. Szczególniej Hyacynt powtarzał nieraz historyę, słuchając której wieśniacy pokładali się od śmiechu: schwytawszy kiedyś jakąś kobietę, wielką jak kobyła, zdarli z niej ubranie, wetknęli jej z tyłu zapaloną fajkę i puścili ją nagą do wsi.

— Cóż u dyabła! —zawołał Bécu, zwracając się do Fanny, czy chcesz zrobić babę z twego Ernesta? Ja tam z pewnością oddam Delfina do pułku, zobaczycie!

Dzieci przestały się bawić, Delfin, który zasmakował już w pracy około roli, podniósł na ojca swą dużą okrągłą głowę.

— Nie pójdę do wojska!—odparł stanowczym głosem.

— Co gadasz? poczekaj, ja cię nauczę odwagi, ty niedobry francuzie!

— Nie pójdę do wojska, chcę zostać w domu.

Polowy podniósł rękę i zamierzył się na syna, ale Kozioł go powstrzymał.

— Zostawże tego dzieciaka w spokoju... On ma słuszność. Albo oni go tam potrzebują? Inni pójdą bez niego... Człowiek nie po to na świat

przychodzi, aby rzucał swoją chatę i szedł jak bydlę na rzeź dla jakichś bredni, o które nikt nie dba. Ja tam nigdy nie wychodziłem z kraju i dobrze mi z tem.

Istotnie, wyciągnąwszy niegdyś dobry bilet, spędził on całe życie w tych stronach, znając tylko Orlean i Chartres, nie wychodząc nigdy po za granice płaskiej Beaucyi. Zdawał się szukać w tem chluby, że wyrósł na swojej ziemi,— bo stanął dumnie, rozglądając się w około, wszystkie kobiety patrzyły na niego.

— Tacy chudzi, mizerni, wracają zawsze z wojska—nieśmiało wtrąciła Liza.

— A wy, kapralu, czy byliście daleko?—spytała stara Róża.

Jan dotąd przysłuchiwał się rozmowie, nie odzywając się wcale. Teraz powoli wyjął fajkę z ust:

— Dosyć daleko — odparł. — Ale jednak nie w Krymie. Już miałem tam wyruszyć, kiedy wzięto Sewastopol.... Potem znowu we Włoszech ...

— A co to takiego te Włochy?

Pytanie to zdziwiło go widocznie, zawahał się, odgrzebywał w pamięci dawne wspomnienia.

— We Włoszech to tak samo, jak u nas; są tam i pola i lasy i rzeki....

— Więceście się tam bili?

— O! i to jak jeszcze!

I znów włożył fajkę do ust, nie spiesząc się wcale, chociaż Franciszka, która nie spuszczała z niego oka, czekała niecierpliwie dalszego ciągu opowieści. Inne kobiety również były zaciekawione a Olbrzymka raz jeszcze uderzyła laską o stół by uciszyć Hilariona, który jęczał żałośnie, bo Flądra dla zabawki kłuła go szpilką w ramię.

— W strasznych byliśmy opałach pod Solferino, a przytem deszcz lał jak z cebra... Suchej nitki na mnie nie zostało, woda lała się za kołnierz i wyciekała z butów. Bez przechwałki powiedzieć mogę, żeśmy straszliwie zmokli!

Czekano wciąż, ale on nic więcej nie dodał, bo tyle tylko pamiętał z bitwy. Po chwili milczenia znów się odezwał:

— Prawdę powiedziawszy, nie tak to trudno być żołnierzem, jak się wam wydaje... Los padnie... cóż robić? Każdy musi spełniać swój obowiązek. Co do mnie, rzuciłem służbę, bo wolę robić co innego. Ale dobry to zawód dla tych, którzy nie lubią swego rzemiosła i trzęsą się z niecierpliwości, gdy nieprzyjaciel wpadnie do kraju.

— Et! świństwo w każdym razie!—zawyrokował ojciec Fouan. — Każdy powinien bronić tylko swojego domu i basta!

I znów wszyscy umilkli. W oborze rozchodziło się wilgotne ciepło oddechu tylu piersi ludzkich, spotęgowane jeszcze przez silne wyziewy przegniłej słomy. Jedna z krów podniosła się ..

po chwili słychać było rytmiczne spadanie gnoju na ziemię. Z pułapu coraz głośniej odzywał się świerszcz; szybko migające palce kobiet, robiących pończochę, rysowały się na ciemnych ścianach, jak olbrzymie nogi pająków.

Palmyra wzięła ze stołu szczypce, by objaśnić świecę i ścisnęła knot tak silnie, że świeca zgasła Podniósł się krzyk i hałas, dziewczęta śmiały się Flądra coraz silniej kłuła szpilką biednego Hilariona. Na szczęście świeca graczy, drzemiących już nad kartami, posłużyła do zapalenia łojówki, której długi knot rozczepił się u góry w kształcie czerwonego grzyba Przerażona swą niezgrabnością, Palmyra trzęsła się ze strachu jak dzieciak, obawiający się rózgi.

— A zatem dla zakończenia wieczornicy, może kto z was poczyta nam trochę—rzekł Fouan— kapralu, wy podobno dobrze czytacie drukowane?

Mówiąc to, wyjął z kieszeni małą zatłuszczoną książeczkę, jedną z tych jakie za czasów cesarstwa, bonapartyści w celach propagandy rozrzucali po wioskach. Książka ta, kupiona od wędrownego kramarza, była gwałtowną napaścią na stary porządek rzeczy i nader malowniczo skreślała dzieje chłopa z czasów przed-i po rewolucyjnych. Tytuł sam dźwięczał bolesną skargą: „Nieszczęścia i tryumf poczciwego Kuby“.

Jan nie kazał prosić się długo: wziął książkę i zaczął czytać bezdźwięcznym, jednostajnym gło-

sem, bąkając się, nie zwracając uwagi na znaki pisarskie. Słuchano go z natężoną uwagą.

Najpierw była tam mowa o wolnych gallach, wziętych do niewoli przez rzymian a następnie podbitych przez Franków, którzy zaprowadziwszy urządzenia feudalne, uczynili ze zwyciężonych niewolników, przykutych do ziemi. Od tej chwili rozpoczęło się męczeństwo poczciwego Kuby, tego pracownika ziemi, którego wyzyskiwano i tępiono przez długie wieki. Podczas gdy mieszczanie podnosili bunt, zakładali gminy, wywalczali dla siebie prawa miejskie, nieszczęśliwy wieśniak, pozbawiony własności i swobody, znacznie później dopiero zdołał wyzwolić się i kupić sobie prawo nazywania się człowiekiem. Ale jakże pozorną i zwodniczą była ta wolność! Gnębiono go, krępowano podatkami, które go do nędzy doprowadzały, nakładano nań ciężary, pochłaniające wszystko, co ziemia przynosiła. Kamienie chyba gryść musiał, by nie umrzeć z głodu! Potem rozpoczął się szereg okropnych praw, uderzających jak gromy w nieszczęsnego Kubę! Nikt nie był w stanie określić zupełnego i całkowitego ich spisu: mnożyły się one bez końca. Król, biskup i pan pastwili się nad wieśniakiem, podobni do trzech drapieżnych kruków, pożerających jednego trupa: król naznaczał podatki, biskup nakładał dziesięciny, pan obciążał wszystko opłatami! Nic już nie należało do wieśniaka! ani ziemia, ani woda, ani ogień, ani nawet po-

wietrze, którem oddychał. Musiał płacić ciągle i za wszystko: płacił rodząc się i umierając, płacił za prawo zawarcia ugody lub prowadzenie handlu, płacił za swe trzody i swe przyjemności. Płacił za prawo osuszenia swych gruntów, płacił za kurz, który podczas długotrwałej suszy, wzbijał się kłębami z pod nóg owiec jego, pędzonych gościńcem.

Kto nie miał czem płacić dawał w zamian swój czas i swoją pracę: musiał orać, żąć, kosić, uprawiać winnice, karczować lasy i szlamować rowy, otaczające pałac pana. A czynsz płacony w naturze... a młyny i piekarnie, gdzie trzeba było zastawiać czwartą część zebranych plonów!... a obowiązek odbywania warty, który przetrwał jako opłata pieniężna, nawet po zniesieniu straży, czuwającej nad zamkiem!... a obowiązek dawania noclegu i żywności orszakowi przejeżdżającego króla lub pana, którego dworzanie rabowali mienie wieśniaka, zabierali kołdry i sienniki, wypędzali go z domu, wyłamywali drzwi i okna, jeżeli ośmielił się stawić im opór. Ale najuciążliwszy podatek, wspomnienie którego dziś jeszcze przejmowało wieśniaków przerażeniem, była to sól, której pewną ilość obowiązani byli pod przymusem kupować od króla. Nie dziw, że cały szereg tych oburzających zdzierstw i nadużyć doprowadził do rozruchów i zalał kraj potokami krwi.

— Jeszcze za czasów mojego ojca — przerwał Fouan — kupowano funt soli po osiemnaście groszy! Ach! ciężkie to były lata!

Hyacynt uśmiechał się pod wąsem. Gniewało go, że w książce wspomniano tylko mimochodem o innych jeszcze prawach panów:

— To jeszcze nie wszystko — rzekł.— Wiecie przecież, że pan miał prawo wpakować się do łóżka każdej ze swych poddanek i zaraz pierwszej nocy zabierał się do...

Kazano mu milczeć, wszystkie dziewczęta— nie wyłączając nawet Lizy — zarumieniły się po same uszy.

Flądra i dwaj jej towarzysze upadli plackiem na ziemię, zatykając sobie usta, aby nie parsknąć śmiechem.

Hilarion siedział z roztwartemi ustami i przysłuchiwał się uważnie każdemu słowu, jak gdyby wszystko rozumiał.

Jan czytał dalej:

Teraz była mowa o wymiarze sprawiedliwości przez króla, biskupa i panów, którzy niemiłosiernie znęcali się nad biedakami, uprawiającym ziemię w pocie czoła. Gnębiło ich prawo zwyczajowe i prawo pisane, lecz najokrutniejszem było prawo silniejszego, to jest zachcianki panów. Żadnej rękojmi bezpieczeństwa, nigdzie pomocy ni schronienia, wszędzie wszechwładne panowanie oręża.

Nawet w późniejszych wiekach frymarczono sprawiedliwością i kupowano urzędy. Gorzej jeszcze było ze służbą wojskową — z tym podatkiem krwi, który przez długie czasy ciężył jedynie na ludności wiejskiej: uciekali oni do lasów, zkąd ich przyprowadzano okutych w kajdany; szli do wojska jak złoczyńcy do więzienia. Pozyskanie stopni wojskowych było im wzbronionem. Pan frymarczył oddziałem wojska, jak towarem, stanowiącym jego własność, sprzedawał przez licytacyę różne stopnie, wysyłał wieśniaków na plac boju, jak bydlęta na rzeź. Dalej znów przepisy tyczące się polowania, gołębników i królikarni, przepisy które dziś jeszcze—w tyle lat po ich zniesieniu — odzywają się echem nienawiści w sercach wieśniaków Prawo to — pochodzące jeszcze z epoki feudalnej—dawało panu przywilej polowania wszędzie, karano zaś śmiercią biedaka, który ośmielił się zabić zająca na swem własnem polu.

Lasy pełne zwierzyny i dzikiego ptactwa, były to klatki należące do pana; właściciel gruntu nie miał prawa strzelić do zwierzęcia, które wyrządzało mu szkody w polu.

— To łatwo zrozumieć — wtrącił Bécu, który mawiał nieraz, że do człowieka, polującego na cudzym gruncie, każdy ma prawo strzelić jak do zająca.

Ale Hyacynt, zaciekawiony kwestyą polowania, nadstawił ucha i pogwizdywał z miną wy-

zywającą. Zwierzyna stanowi własność myśliwego.

— Ach! mój Boże!—zawołała Róża, westchnąwszy głęboko.

Wszyscy sposępneli, jakiś ciężar tłoczył im serca, opowieść ta przejmowała ich taką trwogą jak bajki o upiorach. Nie wszystko było dla nich zrozumiałem, co potęgowało ich niepokój. Jeżeli tak działo się niegdyś, dawnemi czasy, może znów będzie tak samo?!

„Nie trać odwagi, biedny Kubo — czytał dalej Jan, jąkając się jak dzieciak, nieumiejący składać sylab — pracuj w pocie czoła, nie dobiegłeś jeszcze kresu twych cierpień“...

Krzyżowa droga wieśniaka roztacza się dalej. Cierpiał ciągle, bez przerwy od złych ludzi i od niemiłosiernej przygody. Za czasów feudalnych, gdy szlachta zagarniała łupy dla siebie, on był ścigany, wypędzany z chałupy i brany do niewoli. Każdą wojnę dwóch panów, przypłacał zupełną utratę mienia, albo nawet i życiem: palono jego chatę, tratowano kopytami pola. Potem spadła nań jedna z najdokliwszych klęsk: grabieże dokonywane przez bandy uzbrojonych włóczęgów, będących na żołdzie możnych panów. Bandy te ogniem i mieczem znaczyły ślad swego przejścia, pustosząc wszystko w około. Dzięki swym obronnym murom, miasta opierały się najazdowi tych śmiałków, ale wioski ginęły bez śladu w tym szale zbrodni, który — podobny do

gwałtownego huraganu — zawichrzył kraj cały. Przez całe wieki gwałcono kobiety, mordowano dzieci, wieszano mężczyzn. Potem, gdy wojny przycichły, królewscy poborcy podatków gnębili w okrutny sposób nieszczęśliwych wieśniaków: ilość i wysokość podatków była jeszcze niewielkiem złem w porównaniu z niesprawiedliwym rozkładem opłat, ściąganych przez uzbrojone odziały, które grabiły, jak obcy najeźdźca wybierający kontrybucyę. Mała zaledwie cząstka tych pieniędzy dochodziła do skarbu publicznego, bo urzędnicy kradli niemiłosiernie a i poborcy wzbogacali się niemi. Nadto głód dawał się we znaki: bezlitośne okrucieństwo praw, uniemożebniając prowadzenie handlu, tamując sprzedaż zboża, sprowadzało straszne klęski głodowe—istne kary od Boga zesłane — ilekroć lato było skwarne lub też zbyt dżdżyste. Burza, wzdymająca wody rzek, wiosna bez deszczu, najlżejsza chmurka — niszcząc wszystkie zasiewy, stawała się powodem śmierci tysięcy ludzi; wskutek nagłego podrożenia najniezbędniejszych do życia produków, zapanowała okropna nędza, ludzie gryźli trawę jak zwierzęta. A jakby na domiar nieszczęścia po wojnach, po głodzie wybuchła morowa zaraza, zabijając tych, którzy nie zginęli jeszcze od miecza i głodu Zgniłe powietrze szerzyło się coraz dalej wskutek ciemnoty i nieporządku nieszczęsnych wieśniaków. Zaraza ta, zwana Czarną śmiercią, podobną była do olbrzy-

miego kościotrupa, ścinającego swą kosą znękaną i bladą ludność wieśniaczą.

Wtedy, nie mogąc już znieść tylu cierpień, poczciwy Kuba buntować się zaczął. Po za nim leżały całe wieki strachu i niewolniczej uległości, plecy jego stwardniały od uderzeń, serce nie czuło już własnego poniżenia. Dawał się bić, głodzić, okradać ze wszystkiego a nie miał siły otrząsnąć się z tego ogłupienia, z jakiem patrzał na otaczający go zamęt, sprawy sobie z niego nie zdając; aż wreszcie ostatnia niesprawiedliwość, ostatnie cierpienie przepełniło czarę: zerwał się nagle, rzucił się na panów jak wściekły pies, który przez długie lata znosił cierpliwie okrucieństwo swego właściciela. Żakierya uzbraja w kosy i w widły nieszczęśliwych rolników, którym nic już nie pozostaje, chyba tylko umrzeć męczeńską śmiercią! Po upływie czterystu lat krzyk gniewu i boleści Kuby rozlega się po spustoszonych polach, a na dźwięk tego głosu panowie drżą w warownych swych zamkach. Gdyby raz jeszcze powstali ci, którzy liczebnie większość stanowią?... gdyby upomnieli się wreszcie o część, należną im z prawa?... I widzenie to ściga ich jak zmora złowroga: wielcy, na wpół nadzy olbrzymi, pędzą w łachmanach, rozszalali, pijani chciwością i żądzą posiadania!... Na nich teraz przyszła kolej gwałcić cudze żony.

„Ukój swój gniew, pracowniku ziemi — czytał dalej Jan łagodnym lecz wzruszonym nieco głosem—godzina twego tryumfu wybije wkrótce na zegarze historyi“...

Kozioł wzruszył gniewnie ramionami: na co się zda wszelki opór! na to chyba, by wpaść w ręce żandarmów. Wszyscy zresztą, słuchając opowiadania o buntach swych praojców, siedzieli ze spuszczonemi oczyma, zakłopotani, nieufni, jakkolwiek nikogo obcego wśród nich nie było. O takich rzeczach nie należało mówić głośno, nikt nie potrzebował wiedzieć, jakim jest ich sposób myślenia w tym względzie. Jeden tylko Hyacynt odgrażał się, że przy pierwszej sposobności będzie bez miłosierdzia mordował panów. Ale Bécu przerwał mu gwałtownie, dowodząc, że każdy republikanin—to świnia. Fouan wystąpił jako rozjemca w tym sporze a słowa jego zdradzały, że smutny i poważny starzec mógłby dużo powiedzieć o tem, gdyby zechciał. Kobiety coraz niżej pochylały głowę nad robotami, Olbrzymka rzuciła zdanie, zdające się na pozór nie mieć żadnej styczności z treścią książki: „Niech każdy pilnuje swego“. Jedna tylko Franciszka bezwiednie upuściła robotę z rąk i przyglądała się kapralowi, zdziwiona, że mógł czytać tak długo bez błędu.

— Ach! mój Boże! mój Boże! — powtarzała Róża, wzdychając coraz głośniej.

Ton książki zmieniał się teraz, nastrajał się lirycznie; szumne frazesy głosiły sławę rewolucyi. Teraz dopiero rozpoczynał się trymf poczciwego Kuby, rok 89 był apoteozą jego doli. Gdy po wzięciu Bastylii, chłopi palili zamki, noc 4 sierpnia nadała prawomocność zdobyczom tylu wieków, uznała wolność jednostki i równość wszystkich w obliczu prawa. „W przeciągu kilku godzin rolnik stał się równym swemu panu, który dotąd poił się jego krwią i pożerał owoc jego trudów“. Zniesienie poddaństwa i wszystkich przywilejów szlachty, odebranie władzy sądowniczej z rąk duchowieństwa i panów, sprawiedliwy rozkład podatków, dopuszczenie wszystkich obywateli do zajmowania cywilnych i wojskowych urzędów... i dalej jeszcze ciągnął się nieskończony szereg dobroczynnych następstw rewolucyi, jak gdyby wszystkie nieszczęścia zniknęły już bezpowrotnie i nie miały nigdy gnębić ludzkości.

Był to radosny hymn, którym witano wiek złoty, rozpoczynający się dla rolników — tych królów i karmicieli świata. Niech więc każdy klęka w pokorze przed świętym pługiem! Następnie przedstawiwszy jaskrawemi barwy bezprawia 93 r. książka wychwalała pod niebiosa Napoleona, nazywając go dzieckiem rewolucyi i bohaterem, który położył koniec rozpasaniu żołdaków i poprawił dolę ludu wieśniaczego.

— Oj! to prawda! — wtrącił Béou, podczas, gdy Jan rozpoczynał czytać ostatnią stronnicę.

— Tak, to prawda! — potwierdził ojciec Fouan.—Zawsze lepsze były czasy za mojej młodości... Ot! ja sam widziałem kiedyś Napoleona w Chartres. Miałem wtedy dwadzieścia lat... Człowiek czuł się wolnym, miał własny grunt, dobrze mu było na świecie! Pamiętam jak ojciec mój mawiał nieraz, że sieje grosze a zbiera dukaty... Potem mieliśmy Ludwika XVIII, Karola X, Ludwika-Filipa. Działo się jeszcze jako tako było co jeść, nie można się było uskarżać... A teraz oto mamy Napoleona III, wszystko szło jakoś nieźle aż do przeszłego roku. Tylko...

Niechciał dokończyć tego zdania, ale słowa mimowoli cisnęły mu się na usta:

— Tylko ta wolność i ta równość na nic nam się nie zdała, ani Róży, ani mnie!... Czyśmy choć trochę utyli, pracując tak krwawo przez całe pięćdziesiąt lat?

W krótkich słowach, mówiąc powoli i z widoczną trudnością, bezwiednie niemal, streścił całą historyę chłopa: ziemia przez tyle wieków uprawiana wyłącznie dla pana przed tego niewolnika, którego okładano kijem i którego pozbawiono prawa rozporządzania nawet własną osobą; ziemia użyźniana jego pracą, gorąco pożądana i w tem codziennem zetknięciu się z nią pokochana uamiętnie, jak cudza żona, którą uwielbiać

i pielęgnować można w chorobie, lecz której nigdy posiąść nie wolno; ziemia ta—po długich wiekach bolesnych męczarni, stała się nakoniec jego własnością, jego rozkoszą, jedynym najdroższym celem życia. Ta żądza tłumiona przez wieków tyle, te ciągłe przeszkody w wywalczaniu jej dla siebie, tłomaczyły namiętną jego miłość do swojej ziemi, do swego pola, do pozyskania coraz większej ilości tych tłustych skib, których dotykał się z lubością i których ciężar ważył na swej dłoni. A jednak jakże niewdzięczną, jakże obojętną dla niego było ta ziemia! Próżno klękał przed nią z uwielbieniem, nie rozgrzewała się uczuciem, nie wydawała ani ziarna więcej. Ulewne deszcze psuły zasiewy, grad ścinał zboże, jak trawę piorun przewracał źdźbła, susza wyjaławiała kłosy a prócz tego szarańcza niszczyła pola, mróz warzył wschodzące roślinki. chwasty — jak trąd—grunt zanieczyszczały. Walka z żywiołami i z przyrodą nieustawała ani na chwilę, trzeba było żyć w ciągłej trwodze. A przecież nie szczędził trudu i nie raz pięściami bił z rozpaczy, widząc, że sama praca nie starczy za wszystko. Mięśnie jego ciała wyschły jak wióry, całą duszą i ciałem poświęcił się tej ziemi, która w zamian dawała mu tyle tylko, by nie umarł z głodu a dziś zostawiała go nędznym, nienasyconym, wstydzącym się—jak hańby — niedołęztwa i starości; przechodziła w cudze w ręce, nie mając, litości dla

jego starych kości, które wkrótce w jej łonie znaleźć miały wiekuisty odpoczynek.

— Tak! tak!—mówił dalej ojciec,—Póki człowiek jest młody, póty pracuje jak bydlę a wreszcie, kiedy z wielkim trudem uda mu się związać koniec z końcem, starzeje się i musi odchodzić... Nieprawdaż, Różo?

Matka pokiwała trzącą się głową. Ach! tak! ona także napracowała się dosyć, więcej może od niejednego mężczyzny! Wstawała najpierwsza, gotowała jedzenie, zamiatała izbę, szorowała statki, doiła krowy, dźwigała cebry z pomyjami dla świni a szła spać zawsze ostatnia. Widocznie dużo miała siły, jeżeli nie zdechła dotąd. A jedyną jej nadgrodą było to, że żyła: praca nie przynosiła nic, prócz zmarszczek na czole. Szczęśliwym jeszcze można nazwać tego, kto po tylu latach ciężkiej pracy, żyjąc chlebem i wodą, kładąc się spać bez światła, zaoszczędził choć tyle, by nie umrzeć z głodu na starość!

— Z tem wszystkiem nie powinniśmy się skarżyć—mówił dalej Fouan. — Opowiadano mi nieraz, że są kraje, w których ziemia nic nie rodzi. Tak naprzykład w Perche, całe pola zasiane są kamieniami... W Beaucyi grunt jest poczciwy, potrzebuje tylko ciągłej i porządnej pracy... Psuje się przecież z każdym rokiem, staje się coraz mniej urodzajnym; pola, z których zbierano dawniej dwadzieścia hektolitrów, dają dzisiaj zaledwie piętnaście. A i cena zboża zmniejsza się

już od roku, podobno przywożą zboże z daleka, od dzikich, coś złego się święci, nastają czasy przesilenia — jak to ludzie nazywają. Albo to kiedy jest koniec nieszczęściu?... Dali nam prawo głosowania, ale czy to dodaje mięsa do garnka? Podatki gniotą nas, jak dawniej, dzieci nasze idą jak dawniej do wojska... Co tam gadać! napróżno ludzie urządzają rewolucye, wszystko idzie na marne a chłop zawsze zostanie chłopem.

Jan, który lubił porządek we wszystkiem, czekał cierpliwie, by módz dokończyć czytania. Gdy wszyscy ucichli on czytał dalej.

„Szczęśliwy rolniku, nie porzucaj twej wioski dla miasta, gdzie będziesz musiał kupować wszystko, mleko, mięso i jarzyny, gdzie narażony na tysiączne pokusy wydasz wszystko do ostatniego grosza. Czy brak ci na wsi słońca i powietrza? Życie na wsi jest największą rozkoszą a ty zdala od złoconych gmachów posiadłeś szczęście prawdziwe. Przecież miejscy robotnicy uciekają na wieś w dni świąteczne. Mieszczanie również marzą tylko o tem, aby wyjechać na wieś i tam zrywać kwiaty, jeść owoce prosto z drzewa albo przewracać koziołki na trawie. Pamiętaj o tem zawsze, Kubo, że pieniądze nie dają szczęścia. Jeżeli masz sumienie spokojne, jesteś bogatym i szczęśliwym“.

Głos jego drżał, łamał się wzruszeniem, ogarniającem serce jego. On też wychowany w mie-

ście, nieraz doznał tęsknoty za rozkoszami wiejskiego życia. Wszyscy spochmurnieli, kobiety siedziały pochylone nad robotami, mężczyzni patrzyli przed siebie.

Autor książki żartował z nich widocznie! Za pieniądze wszystkiego dostać można a oni zdychali z nędzy. Milczenie to, świadczące wymownie o cierpieniu i tłumionych urazach, niepokoiło młodego parobka, przerwał je więc następującą uwagą:

— Z tem wszystkiem, kto wie, czy nie byłoby nam lepiej, gdybyśmy się uczyć zaczęli... Ludzie byli dawniej tak nie szczęśliwi, bo nic nie umieli. Dzisiaj uczą się już trochę, to też lepiej im się dzieje. Trzeba więc brać się do książki i w szkołach uczyć się jak uprawiać ziemię.

Ale stary Fouan, zagorzały zwolennik rutyny, przerwał mu z oburzeniem:

— Nie zawracaj że nam głowy z twoją nauką! Im więcej człowiek umie, tem mu gorzej, ponieważ pięćdziesiąt lat temu ziemia dawała dużo więcej. Oho! uparta to strasznie bestya! gniewa się jak ją męczą, daje tyle tylko, ile jej się podoba, patrzcie naprzykład na pana Hourdequin, Bóg wie ile pieniędzy wydał na różne nowe wynalazki i cóż mu z tego przyszło?! Oh! wszystko brednie! chłop zawsze chłopem zostanie!

Dziewiąta wybiła. Słowa starca, brzmiące, jak wyrok ostateczny, zakończyły rozmowę. Róża poszła do kuchni po garnek z kasztanami

które piekły się w gorącym popiele. Kasztany pieczone—to zwykła wieczerza wieśniaków francuzkich, w dzień Wszystkich Świętych. Uniesiona hojnością, przyniosła nadto dwie kwarty białego wina. Wtedy zapomniano zupełnie o smutnych opowiadaniach, wesołość wróciła, paznogcie i zęby pracowały zawzięcie nad wydobyciem złupin dymiących się jeszcze kasztanów. Olbrzymka schowała natychmiast swoją część do kieszeni, bo jadła wolniej od innych.

Bécu i Hyacynt połykali z łupinami, rzucając je sobie prosto w usta, podczas, gdy ośmielona nieco Palmyra, obierała je nader starannie i karmiła niemi brata. Dzieci „robiły kiszkę“. Flądra nadgryzała łupinę, potem ściskała kasztan w palcach a Delfin i Ernest zlizywali ciekący sok. Smakowało im to bardzo. Liza i Franciszka poszły też za ich przykładem. Po raz ostatni objaśniono świecę, trącono się kieliszkami za zdrowie wszystkich obecnych. Gorąco wzmogło się w oborze, cuchnący opar podnosił się z pościółki, z wielkich belek pułapu świerszcz odzywał się coraz głośniej; krowy rozcierały w zębach łupiny, które im rzucano, aby i one przyjęły udział w ogólnej uczcie.

Wreszcie o wpół do jedenastej zaczęto się rozchodzić do domów. Najpierw odeszla Fanny, zabrawszy z sobą Ernesta. Potem wyszli Bécu i Hyacynt, odurzeni mroźnem powietrzem zata-

czali się, nieprzytomni prawie; Flądra i Delfin podtrzymywali ich, popychając, klnąc, jak woźnica prowadzący narowistego konia, który zapomniał drogi do stajni. Ilekroć drzwi się otwarły, wpadał do obory ostry powiew z zasłanej śniegiem drogi. Ale Olbrzymka nie śpieszyła się wcale, obwiązywała szyję chustką i powoli naciągała rękawice bez palców. Nie spojrzała nawet na Palmyrę i Hilariona, którzy wymknęli się cichaczem, drżąc z zimna w swych łachmanach, wreszcie wyszła powoli, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. W oborze zostały jeszcze Liza i Franciszka.

— Słuchajcieno, kapralu—ozwał się Fouan—może odprowadzicie dziewczęta, wracając do domu? To wam po drodze.

Jan kiwnął głową na znak potwierdzenia, podczas, gdy obie siostry kładły chustki na głowę.

Kozioł wolnym krokiem przechadzał się po oborze z twarzą ponurą i zamyśloną. Odkąd przestano czytać, nie odezwał się on ani razu, jak gdyby przejęty do głębi dziejami tej ziemi, którą zdobywano z takim trudem. Dlaczegóżby nie miał zabrać wszystkiego dla siebie? Myśl o podziale stawała mu się nieznośną. Inne jeszcze, niejasne myśli cisnęły mu się do głowy: gniew, duma, zawsze obstawanie przy raz powiedzianem słowie, rozpaczliwa żądza, obawa, by go nie oszukano. Stanął wreszcie, powziąwszy stanowcze postanowienie:

— Idę spać, żegnam was.

— Jakto? dlaczego nas żegnasz?

— Bo przededniem wracam do la Chamade... Pewnie więc już was nie zobaczę.

Ojciec i matki stali przed nim osłupieni.

— No! a twoja część — zapytał Fouan — czy bierzesz swoje?

Kozioł zabierał się do wyjścia, stojąc już przy drzwiach odwrócił się:

— Nie!

Dreszcz wstrząsnął całem ciałem starego wieśniaka. Wyprostował się dumnie, raz jeszcze przypomniał sobie dawną swą przewagę w rodzinie:

— Jak chcesz! niegodziwy z ciebie syn! Oddam twemu bratu i siostrze, co im się należy, wydzierżawię im twoją część i postaram się, aby zatrzymali wszystko po mojej śmierci... Nic nie dostaniesz a teraz wynoś się!

Kozioł ani drgnął, stał spokojnie, sztywny jak drąg.

Teraz już Róża próbowała go rozczulić:

— Ach! ty niedołęgo! wiesz przecie, że cię kochamy tak, jak tamtych!... Jak żmija kąsasz rękę, która cię wyniańczyła. Przyjmijże!

— Nie!

Wyszedł z obory, poszedł spać

Liza i Franciszka, wracały w milczeniu do domu, wzruszone sceną, której były świadkami przed chwilą. Objęły się rękoma za szyję, wśród

nocnych ciemności, na białem tle śniegu, postacie ch zdawały się zlewać w jedno. Jan, który szedł za nimi i nie odzywał się także, posłyszał ich szlochanie. Zbliżył się, chcąc im dodać odwagi.

— Poczekajcie, on się namyśli, jutro zgodzi się na wszystko.

— Ach! wy go chyba nie znacie! — wykrzyknęła Liza.—Wolałby dać się porąbać w kawałki aniżeli ustąpić... Nie! nie! to się już nie naprawi!

I z rozpaczą w głosie dodała:

— Co ja będę robiła z tym jego dzieciakiem?

— Ha! musi przecie wyjść na świat—szepnęła Franciszka.

Roześmiały się obie. Ale smutek jakiś tłoczył im serce, po chwili znów płakać zaczęły.

Odprowadziwszy dziewczęta, Jan poszedł dalej.

Śnieg przestał padać, jasne i pogodne niebo iskrzyło się gwiazdami, mroźne powietrze przejrzystem było jak kryształ; płaszczyzny Beaucyi ciągnęły się w dal, w nieskończoność, białe, nieruchome jak morze lodami okryte. Najlżejszy wietrzyk nie powiewał z dalekiego widnokręgu; Jan nie słyszał nic prócz uderzania grubych swych butów o stwardniałą powierzchnię ziemi. Głęboka cisza panowała w koło, mróz—jak potężny władzca — uciszył wszystkie żywioły.

Jan szedł dalej, wszystko, co czytał wieczorem sprawiało mu zamęt w głowie, zdjął kaszkiet, aby ochłodzić rozpalone skronie, czuł potrzebę nie myśleć o niczem. Myśl o tej ciężarnej dziewczynie i o jej siostrze dręczyła go także. Ziemia jęczała wciąż pod dotknięciem jego grubych butów Mała gwiazdeczka oderwała się od firmamentu, lotem błyskawicy przemknęła się po niebie i zniknęła gdzieś daleko... daleko.

Na prawo zarysowywały się zabudowania folwarczne, wyglądające z daleka jak mały garb na tej białej, jednostajnej płaszczyźnie. Skręciwszy na ścieżkę prowadzącą do folwarku, Jan przypomniał sobie, że tu właśnie znajduje się pole, które obsiewał przed kilkoma dniami, obejrzał się dojrzał pole, okryte białym całunem. Z pod cienkiej warstwy, lekkiej i puszystej jak futro gronostaja, przeglądały linie graniczne zagonów, wyciągniętych sztywno jak zdrętwiałe członki ciała ludzkiego. Jakimż błogim snem spało tu ziarno! jakże spokojnie leżało w tem zmarzniętem łonie, oczekując ciepłego poranku, kiedy słońce wiosenne znów je powoła do życia!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Czwarta rano wybiła, rozwidniło się zaledwie, wiosenne majowe słońce rzucało na ziemię pierwsze promyki różowego światła. Cała przyroda była jeszcze pogrążoną w uśpieniu, drzemały też w Borderie zabudowania folwarczne, stojące wdłuż trzech boków wielkiego, czworokątnego podwórza: owczarnia w głębi, stodoły na prawo, chlewnia, stajnia i dom mieszkalny na lewo. Wielka brama, zasunięta sztabą żelazną, zamykała czwarty bok podwórza. Żółty kogut, stanąwszy na gnojowisku piał na powitanie dnia głosem dźwięcznym i donośnym jak granie trąbki. Po chwili odpowiedział mu drugi kogut, potem trzeci i czwarty. Pianie kogutów nie ustawało ani na chwilę, rozlegało się coraz dalej, dalej, aż do najodleglejszych krańców Beaucyi.

Stałym swoim zwyczajem, Hourdequin spędził noc w pokoju Jakóbki, w małej izdebce, którą dla przypodobania się kochance kazał przyozdobić obiciem w wielkie kwiaty, perkalowemi firan-

kami i mahoniowemi meblami. Jakóbka, pomimo, że z dniem każdym zyskiwała więcej przewagi, napotykała zawsze opór stanowczy, ilekroć próbowała zająć dla siebie pokój zmarłej jego żony, pokój małżeński, do którego Hourdequin bronił jej przystępu przez poszanowanie dla nieboszczki. Bolało ją to wielce, rozumiała bowiem, że póty nie będzie prawdziwą panią tego domu, póki nie będzie sypiać na starem dębowem łożu przysłoniętem czerwonemi kotarami.

Równo ze świtem Jakóbka obudziła się i otworzywszy oczy, leżała na wznak, obok niej Hourdequin spał jeszcze. Gorący jego oddech podniecał zmysły dziewczyny, ogień gorączki palił się w jej oczach, dreszcz żądzy wstrząsał jej ciałem. Wahała się chwilę, wreszcie zdecydowawszy się, prześliznęła się na drugą stronę łóżka tak lekko i zręcznie, że Hourdequin nie poczuł nawet je ciężaru i cichutko, rękoma drżącemi od żądzy namiętnej zarzuciła na siebie spódnicę. Wtem potrąciła nogą krzesło a na hałas ten Hourdequin otworzył oczy:

— Co ubierasz się już?... Gdzież idziesz?

— Idę dopilnować pieczenia chleba, boję się, żeby dziewki nie włożyły ciasta w piec za gorący.

Jakkolwiek zdziwiony tą gorliwością, Hourdequin ziewnął szeroko i zasnął po raz drugi. Ale niepokój dręczył go przez sen nawet. Dziwny pomysł! Zkąd jej przyszła ochota pilnować wy-

pieku chleba o tak wczesnej godzinie? Zerwał się nagle, różne posądzenia nie dawały mu chwili spokoju Zobaczywszy, że dziewczyna wyszła już, wodził bezmyśnie oczyma po całej izdebce, gdzie leżała jego fajka, brzytwa i pantofle. Przez chwilę nie mógł skupić myśli, potem cała jego przeszłość stanęła mu w oczach.

Ojciec jego. Izydor Hourdequin, był potomkiem starej, wieśniaczej rodziny z Cloyes, która doszedłszy do większego dobrobytu już w szesnastym wieku, przeniosła się do miasta. Wszyscy kolejno pracowali w zarządzie solnym: jeden z nich był dozorcą magazynu w Chartres, drugi pełnił tenże urząd w Châteaudun. Ojciec odumarł wcześnie Izydora, zastawiwszy mu około sześćdziesięciu tysięcy franków Młody, dwudziestosześcioletni chłopiec, straciwszy miejsce wskutek zamieszek rewolucyi, powziął myśl zrobienia majątku, korzystając z kradzieży republikaninów, którzy wystawiali na sprzedaż dobra narodowe. Znał on wybornie całą okolicę, węszył, obliczył, aż wreszcie kupił sto pięćdziesiąt hektarów ziemi w Borderie za trzydzieści tysięcy franków, czyli za piątą część rzeczywistej wartości folwarku, będącego ostatnim szczątkiem dawnej siedziby rodu Rognes-Bouqueval. Żaden wieśniak nie odważył się wydać na niepewne zaoszczędzonych dukatów, tylko mieszczanie, lichwiarze i kupcy ciągnęli zyski z postępków rewolucyonistów. Zresztą Izydor

kupił Borderie jedynie w widokach spekulacyi, nie miał on bynajmniej zamiaru obarczać się kłopotami gospodarstwa, chciał odprzedać ziemię i tym sposobem pięciokrotnie powiększyć swój majątek. Ale nastały czasy dyrektoryatu, ziemia wciąż spadała w cenie, nie można więc było odprzedać jej z wymarzonym zyskiem. Ziemia krępowała go, stał się jej niewolnikiem, postanowił zatem wyzyskać ją o ile możności i tym sposobem dorobić się znacznego majątku.

Jedyny syn jego, Aleksander Hourdequin urodzony w 1804 r. rozpoczął nauki w kolegium w Châteaudun. Nie czuł jednak pociągu do książki, tęsknił za wsią, wrócił więc wkrótce do domu, zawodząc marzenia ojca, który — znudzony powolnem wzrastaniem majątku — gotów był wszystko sprzedać, byle skierować syna na drogę naukową. Aleksander miał zaledwie dwadzieścia siedem lat, kiedy wskutek śmierci ojca wszedł w posiadanie majątku Borderie. Zwolennik pojęć postępowych, postanowił w małżeństwie szukać nie dobrej żony, ale pieniędzy, twierdził bowiem, że gospodarstwo nie opłacało się ojcu, jedynie skutkiem braku kapitału. Wkrótce też znalazł upragniony posag, ożeniwszy się z siostrą notaryusza Baillehache, za którą wziął pięćdziesiąt tysięcy franków. Była to dojrzała już panna, o pięć lat starsza od niego, ale nader cicha i łagodna. Wtedy rozpoczęła się pomiędzy nim a posiadanym przezeń gruntem długa walka, pro-

wadzona z początku rozważnie, potem z namiętnością, którą każde niepowodzenie podniecało; walka, nie ustająca ani na chwilę, która nie ziściwszy jego marzeń o wielkiem bogactwie, pozwalała mu przecież żyć wygodnie i dostatnio, z zaspokojeniem wszystkich upodobań. Od kilku lat jednakże powodziło mu się coraz gorzej.

Żona powiła mu dwoje dzieci: syn, nienawidząc gospodarstwa, zaciągnął się do wojska i po bitwie pod Solferino został kapitanem; córka — ładne choć wątłe dziewczątko— była oczkiem w głowie ojca i przyszłą spadkobierczynią Borderie, ponieważ niewdzięczny syn włóczył się po świecie. W przeciągu jednego roku stracił żonę i córkę. Nieszczęście to było strasznym dla niego ciosem. Kapitan nie przyjeżdżał nawet raz na rok do ojca, ojciec więc znalazł się nagle osamotnionym, bez celu w życiu bez bodźca w pracy, jakim jest myśl zabezpieczenia przyszłości rodzinie Ale choć rana krwawiła się w jego sercu, nie złamał się przecież, pozostał nadal surowym i despotycznym. Nie chciał ustąpić placu, wobec wieśniaków, którzy wyśmiewali się z jego maszyn i gorąco pragnęli doczekać się ruiny tego mieszczanina, który przywłaszczył sobie ich zawód.

Zresztą, cóż miał robić innego? Stawał się coraz więcej niewolnikiem ziemi: nagromadzona w niej praca, włożony kapitał przykuwały go do niej nierozerwalnemi więzy; sprzedaż majątku mogła go doprowadzić do ostatecznej nędzy.

Hourdequin, silny, barczysty jak chłop, był zawsze despotycznym władzcą dla swej służby. Nawet za życia żony zalecał się do wszystkich dziewek, uważając ich uległość za rzecz mu należną, nic zobowiązującą go do niczego. Wiejskie dziewczęta, oddane do miasta, zdołają niekiedy zachować swoją niewinność, ale żadna z tych, które przyjmują służbę we dworze nie uniknie natarczywości parobków lub samego dziedzica. Pani Hourdequin żyła jeszcze, gdy Jakóbka przez litość została wziętą do Borderie: przywlokła się tu zbita przez ojca, starego pijaka a tak chuda, że przez łachmany widać było jej kości. Wszyscy chłopcy we wsi wyśmiewali się z jej brzydoty, nazywając ją potworem. Chuda, niewyrośnięta—wyglądała zaledwie na lat piętnaście, chociaż kończyła już osiemnasty rok. Pomagała służbie dworskiej, używano ją do najcięższych posług, zmywała naczynia, wymiatała gnój, doiła krowy, wiecznie brudna, jakby rozmyślne posmolona.

Każdy parobek uważał ją za swą własność, raz nawet gdy schodziła do piwnicy, dziedzicowi, który dotąd nie raczył nigdy spojrzeć na nią, przyszła chętka podokazywania z tą brudną dziewuchą, ale ona drapała go, gryzła i broniła się tak mężnie, że zmuszony był puścić ją. Od tej chwili los jej zapewnionym został. Opierała się jeszcze przez pół roku, oddawała mu się stopniowo, odsłaniając

mu po kawałku swego ciała. Wkrótce wzięto ją do kuchni, potem najęła sobie pomywaczkę do pomocy, wreszcie stała się panią i miała służącę wyłącznie dla siebie. Z dawnego brudasa wyrosła teraz śniada, czarnowłosa dziewczyna, wysmukła i przystojna, z twardą, rozwiniętą piersią, z gibkiemi i silnemi członkami. Stała się teraz rozrzutną i zalotną, oblewała się perfumami, chociaż często chodziła niemyta i z roztarganemi włosami.

Mieszkańcy Rognes i okoliczni wieśniacy dziwili się wielce powodzeniu Jakóbki: czyż to podobna, aby taki bogacz zawrócił sobie głowę tym szurgotem, tą nieładną i chudą dziewczyną, córką Cogneta, starego pijaka, który od lat dwudziestu włóczył się po drogach?

Niema co mówić! to zaszczyt nielada mieć takiego teścia i taką kochankę! W ciemnocie swej nie rozumieli oni, że ta kochanka była ich mścicielką, odwetem wsi za okrucieństwa dworu, zemstą nędznego rolnika nad wzbogaconym mieszczuchem, który stał się właścicielem rozległych posiadłości! Zniewieściały i gnuśny Hourdequin, nie mógł się obejść bez Jakóbki; potrzebował jej pieszczot jak jadła lub napoju. Gdy dziewczyna chciała mu się przypodobać, tuliła się do niego z kociemi pieszczotami, podniecała jego zmysły w sposób tak wyuzdany i bezwstydny jak najgorsza rozpustnica a wtedy on pokorniał i błagał ją, by mu na zawsze wierną została. Czasami

jednak wybuchał gwałtownie, kłócił się z nią, groził, że ją kopnie nogą i za drzwi wyrzuci.

W przeddzień dnia tego o mało jej nie wybił wskutek sceny, jaką mu zrobiła, aby jej pozwolił sypiać w łóżku, na którem żona jego umarła; przez całą noc opierała mu się, bijąc go, ilekroć chciał się, zbliżyć. Chytra dziewczyna, która oddawała się bez wyboru wszystkim parobkom, postępowała z nim oględnie, drożyła się, aby wyzyskać swoją przewagę. To też tego ranka, Hourdequin, leżąc w łóżku, w którem czuł jeszcze jej oddech, zapłonął znów gniewem i żądzą. Oddawna już przeczuwał, że go zdradza. Zerwał się z łóżka i zawołał podniesionym głosem:

— Poczekaj, łajdaczko, niechno ja cię złapię!

Ubrał się prędko i wybiegł z pokoju.

Jakóbka prześliznęła się przez dom, cichy jeszcze i spokojny, oświetlony pierwszemi promykami wschodzącego słońca. Przechodząc przez podwórze, zawahała się chwilę, spostrzegłszy, że owczarz, stary Soulas, otwierał już drzwi od owczarni. Ale żądza owładnęła nią zbyt silnie, śmiało poszła dalej. Tem gorzej! Weszła do stajni, minęła ciuchutko czterech śpiących parobków i zatrzymała się w kącie, w którym sypiał Jan na wiązce słomy bez prześcieradła, przykryty derą. Nachyliła się nad śpiącym, pocałunkiem zamknęła mu usta, by stłumić jego okrzyk zdziwienia i drżąca, zadyszana, szepnęła mu do ucha:

— Nie bój się, chłopcze!... To ja...

Ale przerażony Jan, odpychał ją, obawiając się, by ich kto nie zastał razem. Tuż obok stała drabina, po której wchodzono do szopy z sianem, weszli więc po niej, zostawiając drzwi otwarte.

— Ach ty! głupcze ty niedołęgo!—powtarzała Jakóbka, zanosząc się od śmiechu.

Dwa lata minęło, odkąd Jan Macquart przyjął służbę na folwarku. Wyszedłszy z wojska, przybył do Bazoches-le-Doyen i tu zaczął pracować w warsztacie ojca jednego ze swych towarzyszów, majstra stolarskiego, który trzymał zwykle dwóch lub trzech czeladników. Ale nie czuł już chęci do rzemiosła, przez czas siedmioletniego pobytu w wojsku odzwyczaił się od hebla i piły, sam siebie nie poznawał. Niegdyś w Plassans z zapałem obciosywał drzewo, uciekał od książki, nauczywszy się zaledwie czytać i pisać. Był zawsze bardzo rozsądnym i pracowitym, wziął się do roboty, aby wytworzyć sobie byt niezależny i uwolnić się od swej rodziny.

Stary Macquart trzymał go w karbach, jak dziewczynę, sprzątał mu z pod nosa kochanki, chodził co sobota do warsztatu i zabierał należną mu zapłatę. To też po śmierci matki, która umarła z wycieńczenia, Jan poszedł za przykładem swej siostry, Gerwazyi, która umknęła do Paryża z kochankiem, on uciekł także, aby po-

zbyć się na zawsze ojca, starego próżniaka i niedołęgi. A teraz sam nie rozumiał, co się z nim stało: nie rozlenił się wprawdzie, ale pobyt w wojsku rozjaśnił mu w głowie; polityka naprzykład, która nudziła go niegdyś, dziś zajmowała go bardzo, rozmyślał często nad równością i braterstwem stanów. Zresztą przyzwyczaił się do życia koczowniczego, do bezczynnego stania na warcie, do drzemki w koszarach, do utarczek i bitew. I narzędzia wypadały mu z rąk, marzył o wyprawach do Włoch, ogarniała mu nieprzezwyciężona chęć wypoczynku i wyciągnięcia się na trawie.

Po niejakim czasie majster posłał go do Borderie, gdzie potrzebowano poprawek stolarskich. Było tam roboty na miesiąc czasu· trzeba było ułożyć podłogę w kilku pokojach, poprawić drzwi i okna. Jan, uszczęśliwiony z pobytu na wsi, ociągał się z robotą przez sześć tygodni. Podczas tego czasu, majster umarł a syn jego ożeniwszy się, przeniósł się do rodzinnej wioski swej żony. Jan został w Borderie, gdzie dawano mu ciągle nową robotę i pracował teraz na własną rękę; podczas żniw, pomagał w polu i został znowu przez sześć tygodni tak, że pan Hourdequin, widząc jego dobrą wolę i zamiłowanie do gospodarstwa, zatrzymał go na stałe. W rok niespełna, dawny rzemieślnik stał się pracowitym parobkiem: orał, siał, kosił, znalazłszy wreszcie pożądany spokój w błogiej ciszy wiejskiej. Tak więc,

na zawsze już porzucił hebel i piłę! Chłopiec ten, odziedziczywszy po matce temperament spokojny, rozważny — jak wół roboczy zamiłowany do pracy systematycznej, zdawał się stworzonym do życia na wsi. Odczuwał uroki wsi, co zwykle uchodzi uwagi wieśniaków a do zachwytu tego przyczyniały się naleciałości, zachwycone z sentymentalnych powieści, oraz pojęcia o prostocie, o cnotliwości, o szczęściu bezwzględnem, pojęcia jakie się zwykle zawierają w moralnych powiastkach dla dzieci.

Prawdę powiedziawszy, inna jeszcze przyczyna zatrzymywała go i uprzyjemniała mu pobyt na folwarku. Za czasów kiedy układał podłogi, Jakóbka przychodziła często gawędzić z nim i siadywała na stosie wiórów. Ona to pierwsza nauczyła go rozpusty; ulegając pokusie, jaką w niej wzbudzały silne członki tego rosłego chłopca, którego cała postawa zdradzała namiętnego samca. Uległ jej po raz pierwszy, potem sam spróbował kilkakrotnie, obawiając się uchodzić za niedołęgę, dręczony również żądzą posiadania tej przewrotnej dziewczyny, umiejącej podniecać zmysły mężczyzn. Ale uczciwy w gruncie chłopiec, wyrzucał sobie nieraz, że źle czyni, bawiąc się z kochanką pana Hourdequin, któremu tyle wdzięczności był winien. Wprawdzie usprawiedliwiał się sam przed sobą, że ona była utrzymanką nie żoną pana, że zdradza go ciągle ze wszystkimi, lepiej więc samemu użyć tej przyjemności

niż zostawić ją innym. A jednak pomimo tych rozumowań, niepokój jego wzmagał się w miarę, jak widział coraz większe przywiązanie pana Hourdequin do dziewczyny. Nie ulegało wątpliwości, że to się kiedyś źle skończyć musi.

Jan i Jakóbka schowani w sianie, wtrzymywali oddech, gdy pan Hourdequin, stojący na dole, usłyszał trzeszczenie drabiny. Jednym skokiem był już na górze: z narażeniem życia wskoczył w dziurę, przez którą spuszczano paszę. Po chwili ostrożnie wychylił głowę przez otwór i ujrzał cień uciekającego mężczyzny. Wściekły z gniewu, nie pomyślał nawet zejść na dół i dopędzić uciekającego parobka, silnem uderzeniem pięści, powalił na siano Jakóbkę, która podniosła się na jego widok.

— Bezwstydna małpo!

Wrzasnęła z bólu i z gniewem zawołała:

— To nieprawda!

Hourdequin zacisnął zęby, siłą woli panował nad sobą, aby nie kopnąć w brzuch tej dziewczyny, podobnej w tej chwili do rozszalałego zwierzęcia.

— Widziałem go... Przyznaj się natychmiast, bo cię zatłukę.

— Nie!... nie... nieprawda!

Podniósłszy się wreszcie, stanęła przed nim harda, wyzywająca, ufna w swoją nad nim przewagę.

— Zresztą, co ci do tego?... Czy to ja jestem twoją żoną?... Skoro nie pozwalasz mi sypiać w dużem łóżku, zostaw mi więc swobodę sypiania tam, gdzie mi się podoba.

Zaśmiała się na całe gardło a w śmiechu tym dźwięczało lubieżne naigrawanie się.

— Wynoś się ztąd, muszę zejść...

— Wyniosę się ztąd dziś wieczór.

— Ruszaj precz natychmiast!

— Nie, pójdę wieczorem... Chcę ci zostawić czas do namysłu.

Hourdequin nie posiadał się z gniewu, trząsł się cały, nie wiedząc, na kim wywrzeć swoją wściekłość. Chociaż zabrakło mu odwagi wyrzucenia jej natychmiast za drzwi, z jakąż przecie radością byłby wypędził obrzydłego gacha! Ale gdzież go znaleźć teraz? Idąc tu, zdążał prosto do szopy, spostrzegłszy drzwi otwarte, nie rzucił okiem na posłania służących; teraz zaś, gdy zeszedł do stajni, czterej parobcy i Jan kończyli ubierać się. Który z tych pięciu? ten równie dobrze jak i tamten... a może każdy z nich po kolei?... Nie tracił jednak nadziei, że winny sam się zdradzi, wydzielił każdemu robotę, żadnego z nich nie wysłał w pole, sam także nie poszedł, lecz kręcił się po folwarku z zaciśniętemi pięściami, spoglądając na wszystkich z ukosa, gotów zabić każdego, kto mu się sprzeciwi.

O siódmej wszyscy poszli na śniadanie; cały dom drżał ze strachu wobec gniewu pana.

Do stałych mieszkańców Borderie należało pięciu fornali, chodzących za pługami, trzech parobków, dwóch pastuchów, owczarz i chłopak od świń — ogółem zatem dwunastu ludzi dworskich, nie licząc kucharki. Pan Hourdequin zaszedł najpierw do kuchni, gdzie wyłajał dziewkę, że nie schowała łopaty po wyjęciu chleba z pieca. Następnie zajrzał do śpichlerza z owsem, poszedł do ogromnej stodoły, wysokiej jak kościół, z drzwiami mającemi pięć łokci wysokości i tu rozpoczął kłótnię z parobkami, wymyślając im, że cepami łamią słomę jak sieczkę. Ztamtąd przeszedł do obory, gdzie — na nieszczęście swoje — zastał wszystko w porządku: krowy wydojone, żłoby czysto wymyte, podłoga starannie wymieciona. Wyszedł zły, że nie może znaleźć pretekstu do wyłajania pastuchów, gdy w tem, rzuciwszy okiem na cysternę, której dozór także do nich należał, zauważył, że otwór jednej z rynien zatkany jest przez gniazdo wróble. W Borderie, podobnie jak we wszystkich folwarkach Beaucyi, zbierają starannie wodę deszczową z dachów za pomocą nader skomplikowanego systemu rur i rynien. Zapytał ich więc szorstko, czy chcą aby wszystkie zwierzęta pozdychały z pragnienia. Najgwałtowniejsza jednak burza spadła na fornali. Chociaż wszystkim koniom w stajni podesłano świeżą słomę, zaczął krzyczeć, że to obrzydliwie, by zwierzęta stały w przegniłym gnoju. Potem zawstydzony swą niesprawiedliwo-

ścią, jeszcze więcej rozjątrzony zwiedził komórki, służące za skład narzędzi rolniczych i z pewnem zadowoleniem, ujrzał, że złamano lemiesz u jednego z pługów. Znowu więc wybuchnął gniewem na fornali. Ach! te darmozjady rozmyślnie chyba łamią i psują jego dobytek! Potrąci on im tę szkodę przy obrachunku! Potrąci wszystkim pięciu, aby sobie niezazdrościli wzajemnie! A podczas gdy klął i wymyślał, śledził ich od stóp do głowy oczyma, rzucającemi błyskawice gniewu, czekając aby winowajca zdradził się bladością twarzy lub dreszczem przestrachu. Ale żaden z nich nie drgnął, pan Hourdequin odszedł więc, załamawszy ręce z rozpaczy.

Obszedłszy wszystkie zabudowania, zajrzał wreszcie do owczarni i tu przyszło mu na myśl wybadać owczarza Soulas. Ten sześćdziesięciopięcioletni starzec, przeszło od pół wieku służył na folwarku, ale dotąd nic jeszcze nie zaoszczędził, okradany przez żonę — pijaczkę i kobietę złego prowadzenia — którą z prawdziwą radością złożył do grobu przed kilkoma miesiącami. Owczarz obawiał się, by go nie odprawiono wkrótce z powodu podeszłego wieku, śpieszył się więc odłożyć teraz trochę grosza na stare lata. Przypuszczał wprawdzie, że pan zatrzyma go może na łaskawym chlebie, ale kto mógł przewidzieć, czy pan nie umrze przed nim, albo też czy da tyle, aby wystarczyło na tytoń i kieliszek wódki? Przytem owczarz miał śmiertelnego

wroga w Jakóbce, której również nienawidził, zazdroszcząc tej przybłędzie szybkiego wyniesienia się. Ilekroć wydawała mu jakiekolwiek rozkazy, trząsł się z oburzenia na myśl, że przed niedawnym czasem widział ją w łachmanach, wymiatającą gnój ze stajni. Jakóbka oddawna już pragnęła odprawić owczarza, obawiała się jednak nadużywać swej władzy; stary miał się więc na ostrożności, nie chciał stracić miejsca i unikał wszelkich zatargów, chociaż czuł się pewnym poparcia pana.

Owczarnia, stojąca w głębi podwórza, zajmowała duży budynek, mający osiemdziesiąt metrów długości. Stało osiemset owiec, pooddzielanych od siebie tylko przegródkami: na prawo matki, na lewo jagnięta, w środku zaś barany. Co dwa miesiące kastrowano samców, przeznaczonych na sprzedaż; nie ruszano zaś samic, aby pomnażać ilość matek, z których co roku sprzedawano najstarsze, o stałych epokach krzyżowano barany rasy dishley z młodemi merynosami i starannie pielęgnowano jagnięta, mające głupowatą lecz łagodną minę i ogrągłą głowę z wielkim nosem jak namiętni ludzie. Przy wejściu do owczarni uderzała silna woń amoniakalnych wyziewów podściółki, do przegniłej słomy dorzucano wciąż świeżej, wskutek czego warstwa gnoju stawała się tak grubą, że od czasu do czasu podnoszono wyżej drabinki żłobów. Nie brak tam jednak było powietrza, dochodziło ono przez

szerokie okna i przez podłogę szopy, zrobioną z ruchomych tarcic, które wysuwano w miarę jak zmniejszała się ilość nagromadzonej tam paszy. Gospodarze utrzymywali, że to ciepło istot żywych i wilgotne wyziewy fermentującej warstwy wpływają korzystnie na chów owiec.

Otwierając drzwi owczarni, Hourdequin spostrzegł Jakóbkę, wymykającą się drugiemi drzwiami. Ona również pomyślała o zaskarbieniu sobie łask owczarza, niespokojna, pewna prawie, że ją podpatrzył z Janem; ale stary pozostał obojętnym na jej czułe słówka, udając, że nie rozumie, dlaczego ona—wbrew swemu zwyczajowi—przemawia do niego tak grzecznie. Podejrzenia pana Hourdequin wzmogły się na widok dziewczyny, wychodzącej z owczarni, do której nigdy nie wchodziła.

— Jak, się macie, ojcze Soulas — zapytał —cóż tam? nic u was nowego nie słychać?

Wysoki owczarz, którego ściągła twarz, porana zmarszczkami przypominała kawał dębu porzniętego nożem ogrodniczym, odparł powoli:

— Nie, panie Hourdequin, nic nowego nie słychać, chyba to, że zaraz przyjdą ludzie strzydz owce.

Dziedzic porozmawiał z nim chwilę, aby nie zdradzić się z tem, że chciał go wybadać. Owce stały w owczarni od pierwszych listopadowych mrozów, miano je wypuścić na koniczynę zaledwie koło połowy maja. Krowy zaś wyprowadzano dopiero po żniwach. Pomimo zupełnego braku łąk na-

turalnych w Beaucyi, otrzymywano przecież dobre mięso i jedynie rutynie i lenistwu gospodarzy przypisać należało, że nie znano tam wcale chowu wołów. W żadnym folwarku nie tuczono więcej jak pięć lub sześć wieprzy na domowy użytek.

Rozpaloną dłonią Hourdequin głaskał owce, które przybiegły, podnosząc głowy i patrząc na niego jasnemi, łagodnemi oczyma; zamknięte nieco dalej jagnięta cisnęły się głośnem beczeniem do ścian zagrody.

— A zatem, niewidzieliście nic nowego dziś rano, ojcze Soulas?—zapytał raz jeszcze, patrząc mu prosto w oczy.

Stary widział coś wprawdzie, ale pocóż miał mówić? Postępowanie nieboszczki, rozpustnej pijaczki, nauczyło go, że kobiety są zepsute a mężczyzni głupi i słabi. Kto wie, może pan przebaczy Jakóbce choćby ją nawet schwytał na gorącym uczynku a jego zechce się pozbyć, jako niewygodnego świadka.

—Nic nie widziałem, nic a nic—oświadczył obojętnie, patrząc bezmyślnie zamglonemi oczyma.

Wyszedłszy na podwórze Hourdequin spotkał tam znów Jakóbkę, która nadsłuchiwała zaniepokojona, co owcarz mógł powiedzieć. Wydadawała się na pozór zajętą drobiem; sypała ziarno kurom, kaczkom i gołębiom, które gdakały, kwakały, fruwały, grzebały w gnoju, ale ręce jej drżały i chcąc ulżyć dręczącemu ją niepokojowi uderzyła kułakiem chłopca, który, niosąc ceber

z pomyjami dla świń, przewrócił się i wylał wszystko na podwórze. Ale rzuciwszy okiem na pana, odetchnęła swobodniej: on nic nie wie, widocznie stary trzymał język za zębami. To jej dodało śmiałości.

To też przy drugiem śniadaniu była wyzywająco wesołą. Ponieważ nie nadeszła jeszcze pora najcięższej pracy, jadano tylko cztery razy dziennie: zacierki na mleku o siódmej rano, wino z chlebem w południe, chleb z serem o czwartej, zupę i słoninę o ósmej wieczór. Do jedzenia zgromadzano się w kuchni, w obszernej izbie, w której stał długi stół, obstawiony dwiema ławkami. Jako objaw postępu, znajdowała się kuchnia angielska obok olbrzymiego komina. Wzdłuż ścian na półkach błyszczały rondle i inne naczynia, we wzorowym porządku. Z otwartego szabaśnika rozchodziła się przyjemna woń gorącego pieczywa, bo tego właśnie ranka, kucharka, tłusta i brzydka baba, chleb piekła.

— Cóżto! macie dzisiaj brzuch zatkany? — śmiało zwróciła się Jakóbka do pana Hourdequin, który wszedł ostatni.

Od śmierci żony i córki, dziedzic. nie chcąc jadać sam, siadał do stołu razem ze służbą tak, jak za dawnych czasów: siadywał zwykle na jednym końcu stołu, naprzeciwko niego siadywała Jakóbka. Ławki zajmowali ludzie dworscy, kucharka usługiwała.

Gdy pan Hourdequin usiadł, nie odpowiedziawszy ani słowa, Jakóbka zajęła się przygotowa-

niem jedzenia. Wrzuciła do wazy smażone grzanki z chleba i nalała na nie wina, osłodzonego. Jadła z ogromnym apetytem, gadała ciągle, zdawało się, że rozmyślnie chciała gorszyć parobków, bo rzucała wciąż tłuste żarty, które wywoływały śmiech ogólny. Każde jej zdanie było dwuznacznem, przypominała co chwila, że odjeżdża wieczorem. Ha! ludzie się schodzą i rozchodzą a kto ma się rozłączyć na zawsze niech żałuje, że po raz ostatni nie umaczał palca w sosie! Owczarz jadł z głupowatą miną, Hourdequin siedział milczący, udając, że słów tych wcale nie rozumie. Jan musiał się śmiać wraz z innymi z obawy, żeby sam siebie niezdradził, ale sumienie wyrzucało mu gorzko nieuczciwość, jakiej się dopuścił.

Po śniadaniu Hourdequin wydał rozporządzenia na popołudniową robotę. W polu nie wiele już było do zrobienia: kończono zaorywać pola leżące ugorem, czekając aż nadejdzie pora koszenia lucerny i koniczyny. Jan i drugi parobek mieli zostać w domu, żeby wyprzątnąć szopę na siano. Sam zaś przygnębiony, nieszczęśliwy, podniecony rozkoszą, jakiej użył niedawno, przechadzał się po folwarku, szukając zajęcia, któreby zagłuszyło jego smutek. Po pod ścianą jednego z budynków zasiedli ludzie strzygący owce, stanął przed nimi i przyglądał się ich robocie.

Było ich pięciu; chudzi, wyżółkli—siedli, przykucnąwszy, z wielkiemi błyszczącemi nożycami

w ręku. Owczarz przynosił owce związane na cztery nogi i kładł je jak worki, jedna przy drugiej na klepisku, gdzie nie mogąc się ruszyć, podnosiły tylko głowy i beczały. A kiedy który ze strzygących brał jedną z nich, to milkła, poddawała się, gruba w powłoce swojej wełny, której powierzchnię pot i kurz zamieniły w istny pancerz czarny.

Pod nożycami poruszającemi się szybko, zwierzę wydobywało się ze swego runa, jak biała ręka z rękawiczki ciemnej świeże, różowe, okryte śnieżnym puszkiem wełny wewnętrznej. Jedna z matek ściśnięta kolanami dużego suchego chłopa, przewrócona na grzbiet z rozpostartemi nogami, z głową podniesioną odsłaniała brzuch biały, jak drgająca skóra osoby, którą rozbierają. Od jednej owcy płacono trzy sous a dobry robotnik mógł ostrzydz dwadzieścia sztuk dziennie.

Hourdequin patrzył zamyślony i przyszło mu do głowy, że wełna spadła o osiem sous na funcie a więc trzeba się spieszyć ze sprzedażą, ażeby nie wyschła zbytecznie i nie straciła na wadze. Zeszłego roku motylica dziesiątkowała stada Beaucyi. Działo się coraz gorzej, od chwili zaś kiedy ceny zboża spadać zaczęły, groziła ruina, bankructwo. Pod wpływem powracającego niepokoju, dusząc się w podwórku, wyszedł z folwarku, ażeby rzucić okiem na swoje pola.

Tak się kończyły zawsze wszystkie jego kłótnie z Jakóbką: nahałasowawszy, naodgrażaw

szy się, zwykle ustępował, ogarnięty smutkiem, który łagodniał tylko na widok łanów żyta i owsa płynących zieloną falą w nieskończoność.

O, ta ziemia! jakże on ją kochał! nie miłością chciwie pożądającego ją chłopa, ale uczuciem tkliwem, prawie idealnem, bo widział w niej matkę, która mu dała życie, ciało i do której miał wrócić po śmierci. W dzieciństwie wychowany wśród tych pól, w przyzwyczajeniach swoich do swobody, zaczerpnął nienawiść do szkoły, a hasając po roli, upajając się powietrzem z czterech stron świata płynącem, pragnął popalić wszystkie książki i pozostać w domu.

Później kiedy, odziedziczył ją po ojcu, miłował ją jak kochanek; uczucie jego dojrzało, jak gdyby ją brał w małżeństwo, by ją uczynić płodną a przywiązanie to wzrastało w miarę, jak jej oddawał swój czas, swoje pieniądze, swoje życie całe, jakby oddawał kobiecie dobrej i płodnej, pobłażając jej kaprysom a nawet przebaczając zdrady. Gniewał się nieraz, kiedy nieuległa, zbyt mokra lub zanadto sucha psuła mu zasiewy, nie wydając zboża, ale często potem niepewny sam siebie oskarżał o niedołęztwo lub niezręczność: jego to musiało być winą, że nie wydała mu owocu. Od owej to epoki zaczęły go zajmować nowe systemy, popychając ku wszelkiego rodzaju nowościom, budząc w jego duszy żal, że nie uczęszczał na kursa którejkolwiek z tych szkół rolniczych, z których tak się wy-

śmiewali z ojcem. Ile usiłowań bezużytecznych, prób nieudanych, maszyn popsutych przez służbę, nawozów chemicznych, sfałszowanych przez sprzedających! Stracił na tem cały prawie majątek. Dochód z Borderie wystarczał mu zaledwie na utrzymanie, zanim kryzys rolniczy miał go doprowadzić do zupełnej ruiny! Mniejsza ztem, pozostanie więźniem własnej ziemi, w niej zagrzebie swoje kości, do końca wierny swej małżonce.

Tego właśnie dnia ścigała go uporczywie myśl o synu. Ach! jakżeby im było dobrze pracować we dwóch! Starał się jednak odpędzić od siebie myśl o tym niedołędze, który wolał włóczyć się z szablą niż chodzić za pługiem. Tak już być musi! Trzeba umierać samemu, bez żony, bez dziecka! Potem znów przyszli mu na myśl sąsiedzi szczególniej rodzina Coquart, właściciele folwarku Saint-Juste, uprawą którego zajmowali się własnoręcznie ojciec, matka, trzech synów i dwie córki. Im także nie lepiej się działo. Dzierżawca folwarku la Chamade, korzystając z tego, że termin dzierżawy zbliżał się do końca, wyniszczał majątek i przestał nawozić ziemię. Tak było wszędzie! nikomu się nie powodziło! trzeba było zabijać się pracą i nie uskarżać się. Szedł dalej przez pole, łagodny powiew wiatru muskał go po twarzy. Po ciepłych deszczach, które padały w kwietniu, rośliny pastewne wyrosły bujne. Widok czerwonej koniczyny zachwycił go, zapomniał o swych troskach. Szedł

teraz wzdłuż ornych gruntów, by rzucić okiem na robotę dwóch fornali: tłusta i rodzajna ziemia przylepiała się do nóg jego, jak gdyby chciała zatrzymać go w uścisku; w sercu jego odżyła dawna miłość, czuł się znów młodym, silnym i szczęśliwym.

Czyż można pokochać kobietę równie gorąco, jak ziemię? Cóż go może obchodzić Jakóbka lub która inna?... tyle co misa, z której wszyscy jadają chętnie, jeżeli jest czystą. Porównanie to, usprawiedliwiające żądzę, jaką wzbudzała w nim ta dziewczyna, rozweseliło go zupełnie. Chodził jeszcze przez trzy godziny, pożartował ze służącą Coquart'ów, którą spotkał wracającą z Cloyes. Jechała na ośle boso i czerwone jej nogi wyglądały z pod krótkiej spódnicy.

Wróciwszy do Borderie; Hourdequin zobaczył na podwórzu Jakóbkę, żegnającą się czule z kotami. Chowano ich zawsze mnóstwo na folwarku: dwanaście, piętnaście, dwadzieścia czy więcej, nikt tego nie wiedział dokładnie, bo kotki kociły się zwykle w jakichś kryjówkach na sianie i wracały po upływie kilku dni z pięciorgiem lub sześciorgiem kociąt. Podeszła potem do budy Nerona i Rozboja, dwóch psów owczarskich, ale te odskoczyły, warcząc; nie lubiły jej.

Pomimo czułych pożegnań ze zwierzętami obiad odbył się jak zwykle. Hourdequin jadł i rozmawiał wesoło. Po skończeniu dziennej roboty nie było już mowy o żadnym wyjeździe.

Wszyscy poszli spać, głęboka cisza zaległa na folwarku.

Tejże nocy Jakóbka zasnęła po raz pierwszy w pokoju nieboszczki pani Hourdequin. W głębi alkowy oklejonej czerwonym papierem stało wielkie łóżko, obok niego szafa i mały stoliczek; w pokoju wisiały nad biórkiem wielkie medale, otrzymane przez Hourdequina na wystawach rolniczych. Wskoczywszy do małżeńskiego łoża, Jakóbka wyciągnęła się w niem i śmiejąc się jak turkawka, rozkrzyżowała ręce i nogi na znak, że bierze je w wyłączne posiadanie.

Gdy nazajutrz rano rzuciła się Janowi na szyję, ten odechpnął ją od siebie. Odtąd stawało się to poważnem w jego przekonaniu. oparł się więc stanowczo.

II.

W kilka dni potem, nad wieczorem, Jan wracał piechotą, gdy o kilka kilometrów od Cloyes dojrzał na drodze wózek włościański. Zdziwił się w pierwszej chwili, bo zdawało mu się, że nikt na wozie nie siedzi a koń zostawiony sam sobie, wracał leniwym krokiem do stajni, znając dobrze drogę. Jan przyspieszył kroku, dopędził wózek i wspiąwszy się na palce, zobaczył na słomie leżącego na wznak wieśniaka, którego czerwono-fioletowa twarz dziwnie jakoś zczerwieniała.

Nie rozumiejąc, co to znaczy, Jan zawołał głośno:

— Hej! człowieku!... Czy śpi? czy się upił?... Patrzcieno! to stary Mucha, ojciec tych dwóch dziewcząt!... Święty Boże! zdaje mi się, że on nie żyje! To ci dopiero wypadek!

Ale Mucha, spiorunowany apoplektycznym atakiem oddychał jeszcze! Jan ułożył go wygodniej, podniósł mu głowę i usiadłszy na koźle, zaciął konia, śpiesząc do domu z obawy, aby wieśniak nie wyzionął ducha w drodze

Wjechawszy na plac przed kościołem, spostrzegł Franciszkę, która wychodziła właśnie z domu. Stanęła osłupiona, zobaczywszy parobka, jadącego na ich wozie.

— Co się stało?— zapytała.

— Twój ojciec jest trochę niezdrów.

— Gdzież jest?

— Tutaj, patrz.

Stanęła na kole i spojrzała. Przez chwilę jak skamieniała patrzyła bezmyślnie na zsiniałą twarz ojca, zakrwawioną konwulsyjnie, jak gdyby pościąganą gwałtownie z dołu do góry. Zmrok zapadał, wielki płowy obłok, żółciejący na niebie, oświecał konającego światłem czerwonem jak gdyby łuna pożaru.

Nagle Franciszka wybuchnęła głośnym płaczem, zeskoczyła z wozu i pobiegła do domu uprzedzić siostrę:

— Lizo! Lizo!... Ach! mój Boże!

Zostawszy sam, Jan wahał się, co dalej robić. Niepodobna było przecie zostawić tak starego na wozie. Dom stał trochę w dole, z placu prowadziły doń trzy stopnie, niewygodnie więc było znosić tędy chorego. Po chwili przypomniał sobie, że na lewo od strony gościńca można bramą wjechać na podwórze. Podwórze to dość obszerne, otoczone było żywopłotem, w głębi stała ogromna kałuża cuchnącej wody, po za nią znajdowało się pół morga ogrodu warzywnego i owocowego. Jan puścił cugle koniowi, który ruszył dalej

i zatrzymał się przed stajnią, tuż obok obory, w której stały dwie krowy.

W tej chwili Liza i Franciszka przybiegły z krzykiem i z płaczem. Liza karmiła właśnie czteromiesięcznego chłopczyka, gdy siostra uwiadomiła ją o nieszczęściu, wybiegła więc trzymając na ręku dziecko, które wrzeszczało przeraźliwie. Franciszka wskoczyła znów na koło. Liza wdrapywała się na drugie, obie płakały coraz głośniej a stary Mucha leżał na wozie, oddychając ciężko; jakieś głuche chrapanie wydobyło się z jego piersi.

— Ojcze, odezwij się do nas!... Powiedzże, co ci jest, co ci się stało?... mój Boże!... Ach! Boże! Boże!... widać głowę ci odjęło, kiedy nic mówić nie możesz!... Ojcze!... ojcze!... odezwijże się!

— Zejdzcie, trzeba go wyciągnąć ztamtąd — powiedział Jan po chwili namysłu.

Zamiast pomódz parobkowi, obie siostry zawodziły coraz boleśniej. Na szczęście jedna z sąsiadek, matka Frimat, usłyszawszy krzyki, nadeszła ku nim. Była to wysoka staruszka, chuda i koścista, od dwóch przeszło lat dozorowała sparaliżowanego męża i pracowała jak bydlę robocze, uprawiająo własnoręcznie kawałek gruntu, stanowiący jedyny ich dobytek. Nie straciła ona zimnej krwi, obojętnie spojrzała na umierającego i zaczęła pomagać Janowi. Jan wziął Muchę za ramiona, kobieta chwyciła go za nogi i ponieśli go razem do domu.

— Gdzie go położyć?—zapytała stara.

Ale dziewczęta, które szły z tyłu, straciły głowę, niewiedziały co odpowiedzieć. Ojciec sypiał w małej izdebce na strychu, trudno więc było tam go wnosić. Na dole zaś znajdowała się kuchnia i duża izba, którą ojciec im ustąpił i gdzie stały dwa łóżka. W kuchni ciemno było zupełnie; parobek i kobieta stanęli na progu a choć ręce im mdlały od ciężaru nie śmieli kroku naprzód postąpić z obawy, by nie potknąć się o jaki sprzęt.

— No! gadajcie wreszcie, gdzie go poło żyć?!

Nakoniec Franciszka zapaliła świecę. W tej chwili weszła stara Bécu, żona polowego, która widocznie przeczuła, co się stało, mocą tej siły tajemnej, sprawiającej, że każda niezwykła wiadomość natychmiast lotem błyskawicy obiega całą wioskę.

— Hę! cóż to się stało temu biedakowi?... Ach! widzę, krew zalała mu ciało... Prędko! posadzcie go na krześle!

Ale matka Frimat była przeciwnego zdania. Jakże można sadzać człowieka, który nie ma siły utrzymać się na krześle? Daleko lepiej położyć go na łóżku której z córek. Spór zajątrzał się, gdy weszła Fanny z Ernestem: dowiedziała się o wypadku od Macquerona, do którego poszła kupić makaronu i przybiegła tu zaniepokojona o kochane kuzynki.

— Mnie się także zdaje, że trzeba go posadzić — oświadczyła — może krew ścieknie trochę od głowy.

Usadowiono więc Muchę na krześle koło stołu, na którym paliła się świeca. Głowa opadła mu na piersi, ręce i nogi zwisły bezwładnie. Lewa połowa twarzy wykrzywiała się konwulsyjnie, lewe oko było nawpół otwarte, z ust wydobywało się coraz głośniejsze chrapanie. Wszyscy stali w milczeniu, śmierć weszła do wilgotnej izby, z zadymionemi ścianami i z wielkim czarnym kominem.

Jan czekał ciągle zakłopotany, podczas, gdy obie dziewczęta i trzy kobiety stały z założonemi rękoma przyglądając się staremu.

— Może ja pójdę jeszcze po doktora?—zapytał wreszcie parobek.

Bécu potrząsnęła głową, nikt nie odpowiedział: jeżeli nic mu już nie pomoże, po co wydawać pieniądze na doktora? Cóż doktór poradzi, jeżeli już staremu umrzeć sądzono?

— Dobrzeby było przyłożyć mu plaster gojący—odezwała się matka Frimat.

— Ja mam spirytus kamforowy — dodała Fanny.

— To także pomaga—wtrąciła stara Bécu.

Liza i Franciszka stały ogłupione, nie wiedząc co robić; pierwsza huśtała małego Julka, druga trzymała w ręku filiżankę wody, której ojciec pić nie chciał. Fanny widząc to, trąciła łokciem

Ernesta, który nie spuszczał oka z wykrzywionej twarzy wieśniaka.

— Biegaj do domu i powiedz, żeby ci dali flaszkę ze spirytusem kamforowym, która stoi w szafie na lewo... Czy rozumiesz? na lewo... A wstąp po drodze do dziadka Fouan i do ciotki Olbrzymki, powiedz im, że wuj Mucha jest bardzo chory. Tylko śpiesz się, biegnij prędko!

Gdy chłopiec wybiegł z izby, kobiety zaczęły znowu rozprawiać o tym wypadku. Bécu znała jakiegoś pana, którego wyratowano łaskocząc go w pięty przez trzy godziny. Matka Frimat przypomniawszy sobie, że musi jeszcze mieć w domu trochę kwiatu lipowego, który przeszłej zimy kupowała dla męża, poszła do domu. Po chwili wróciła, niosąc w ręku torebkę, Liza, oddawszy dziecko Franciszce, rozpalała ogień, gdy Ernest powrócił z butelką.

— Dziadek Fouan spał już... Ciotka Olbrzymka powiedziała, że gdyby wuj nie był się upijał, nie byłoby go nieszczęście spotkało...

Fanny oglądała butelkę, którą chłopiec przyniósł i zawołała z gniewem :

— Ach! ty niedołęgo! mówiłam ci przecie, że stoi w szafie na lewo!... Przyniosłeś wody kolońskiej.

— To także pomaga — powtórzyła stara Bécu.

Wlano staremu w usta filiżankę kwiatu lipowego, roztworzywszy mu łyżeczką zaciśnięte zęby. Potem nacierano mu skronie wodą kolon-

ską. Ale nic nie pomagało, kobiety traciły nadzieję. Twarz zczerniała mu jeszcze więcej, musiały podtrzymywać go na krześle, bo opadał bezwładnie, o mało nie upadł na ziemię.

— Ach! patrzcie! — zawołał Ernest, wychyliwszy się przez okno — pewnie deszcz będzie padał. Niebo jest jakiegoś dziwnego koloru.

— Tak — odrzekł Jan — widziałem, że się zbierają ogromne chmury.

Nagle, jak gdyby przypomniawszy sobie pierwszą myśl swoją:

— Mniejsza o to, pójdę po doktora, jeżeli chcecie.

Liza i Franciszka spojrzały na siebie, przerażone, zakłopotane. Wreszcie ta druga z hojnością właściwą młodemu wiekowi, zdecydowała się ponieść wydatek.

— Tak, tak, kapralu, jedźcie do Cloyes po pana Finet. Przynajmniej nie będziemy sobie miały do wyrzucenia,ześmy nie robiły wszystkiego, co można.

Z powodu ogólnego zamieszania, koń stał dotąd niewyprzągnięty, Jan wskoczył prędko na kozioł.

Po chwili słychać było tętent kopyt i turkot oddalającego się wozu. Matka Frimat napomknęła o sprowadzeniu księdza, ale inne machnęły ręką na znak, że i bez tego dosyć już mają zachodu, gdy Ernest oświadczył, że gotów jest pobiedz piechotą do Bazoches-le-Doyen, matka

ofuknęła go gniewnie: za nic świecie nie pozwoli mu pójść w taką noc ciemną, tembardziej, że deszcz lada chwila padać zacznie. Zresztą stary nic nie słyszy i wcale mówić nie może, ksiądz gadałby do niego jak do drąga.

Dziesiąta wybiła na drewnianym zegarze, wiszącym na ścianie. Kobiety spojrzały na siebie zdziwione: ani się obejrzały, jak przeszły dwie godziny a one stały tu nie przyniósłszy choremu żadnej ulgi! Ale żadna z nich nie pomyślała wracać do domu, zajęte były widowiskiem, chciały doczekać się końca. Na kominie leżał nóż i bochenek chleba. Dziewczęta, którym pomimo zmartwienia głód dokuczać zaczął, podeszły do komina i ukrajawszy po kawałku suchego chleba, jadły go łapczywie, potem starsze kobiety poszły za ich przykładem; bochenek malał: jedna po drugiej krajała i jadła. Nie zapalono drugiej świecy, nie obcięto knota ani razu, smutny też widok przedstawiała ta ciemna i uboga kuchnia, w której rozlegało się coraz głośniej chrapanie konającego wieśniaka!

Nagle, wpół godziny po odejściu Jana, Mucha zachwiał się i runął na ziemię. Nie oddychał już, wyzionął ducha.

— A nie mówiłam! czy warto było jeździć po doktora?—cierpko zauważyła stara Bécu.

Franciszka i Liza wybuchnęły znów głośnym płaczem. Instynktownym ruchem rzuciły się so

bie na szyję, tonąc w siostrzanym uścisku. I przerywanym głosem wołały.

— Ach! mój Boże! już my tylko dwie siostry na szerokim świecie!... Niema już ojca... sameśmy teraz zostały... Co się teraz stanie z nami? Boże mój! Boże!

Trzeba było jednak podnieść zmarłego z ziemi. Obie kobiety Frimat i Bécu, zakrzątnęły się koło porządku w izbie. Nie mając odwagi przenieść ciała, wyciągnęły z łóżka materac, przyniosły go i ułożyły na nim Muchę, przykrywszy go prześcieradłem aż po szyję. Tymczasem Fanny zapaliła świece w dwóch drugich lichtarzach i ustawiła je zamiast gromnic po obu stronach głowy zmarłego. Wszystko już było w porządku: napróżno tylko przymykały trzy razy lewe oko zmarłego, roztwierało się ono uparcie i zdawało przyglądać wszystkiemu, wyglądając z tej sino-fioletowej twarzy, odbijającej jaskrawo od białości płótna.

Liza uśpiła dziecko, poczem wszystkie usiadły na ławce. Trzy razy już Fanny i Bécu podnosiły się do wyjścia, ponieważ matka Frimat obiecała przenocować z dziewczętami; nie odchodziły jednak, rozmawiały po cichu, spoglądając z ukosa na zmarłego. Tymczasem Ernest, wziąwszy ze stołu butelkę wody kolońskiej oblewał nią sobie ręce i włosy.

Północ wybiła, Bécu odezwała się głośno:

— A to istne skaranie Boskie z tym panem Finet! Zdrowy nawet może umrzeć nie doczekawszy się go!... Czekamy już przeszło dwie godzin żeby raczył przyjechać z Cloyes!

Drzwi wchodowe zostały otwarte na oścież, powiew silnego wiatru wpadł do izby i zgasił obie świecie, stojące przy głowie zmarłego. Zdjęte przerażeniem kobiety zapalały świece na nowo, gdy znów wiatr silniej jeszcze zaświszczał w izbie a zdala, od strony wioski, pogrążonej w uśpieniu, dał się słysześć przeciągły grzmot. Łom i trzask gałęzi, głuche jęki dochodzące z pól przypominały zbliżanie się obcych wojsk, tratujących wszystko po drodze. Wybiegłszy na próg domu, kobiety ujrzały olbrzymią miedzianą chmurę zasłaniającą firmamet. Nagle dał się słyszeć jakby świst kartaczy, huk broni palnej... twarde, zimne kule zaczęły spadać na ziemię chłoszcząc je po twarzy i odskakująo od ziemi pod ich stopami. Wtedy z piersi kobiet wyrwał się krzyk przerażenia i rozpaczy.

— Grad! grad!

Zdjęte przestrachem i oburzeniem na widok klęski stały jak skamieniałe. Trwało to zalepwie parę minut. Piorun nie uderzył ani razu, ale wielkie niebieskawe błyskawice przerzynały niebo co chwila, znacząc na niem fosforyczne smugi; noc nie była już tak ciemną, bryły gradu połyskiwały bladem, niepewnem światełkiem, jak kule szklanne.

Hałas stawał się ogłuszającym, jak gdyby odgłos wystrzałów armatnich lub pociągu pędzącego po moście żelaznym. Wiatr świszczał i huczał, kule gradowe leciały ukosem, siekąc wszystko, nagromadziły się na ziemi, pokrywając ją białą warstwą.

— Patrzcie! grad! grad! mój Boże!... Ach! co za nieszczęście! Patrzcie tylko! jak kurze jaja!

Nie miały odwagi wyjść na podwórze i podnieść kul kilku. Wściekłość huraganu wzmagała się ciągle, szyby wylatywały z okien, jedna kula gradowa uderzyła o dzbanek i rozbiła go, inne padały aż na materac zmarłego.

— Ależ wielkie! pewnie nie więcej, jak pięć poszłoby ich na funt!—zawołała Becu, ważąc kulę na ręce.

Fanny i stara Frimat załamały ręce z rozpaczą.

— Wszystko pójdzie na marne! Straszna klęska.

Nagle burza ucichła. Niszczący żywioł popędził dalej, grobowa cisza zaległa w około. Ciepły, kroplisty deszczyk padał z cichym szmerem. Ziemia pokrytą była grubą warstwą kul gradowych, jakby białym obrusem, który świecił bladem i migotliwem światełkiem lamp nocnych.

Ernest wybiegł na podwórze i przyniósł do izby odłam lodu większy niż pięść, bezkształtny. wyzębiony dziwnie po brzegach. Matka Frimat

nie była w stanie oprzeć się dłużej pokusie obejrzenia szkód poczynionych.

— Idę po latarkę, muszę pójść obejrzeć pola.

Fanny walczyła z sobą, jeszcze przez chwilę. Wyrzekała boleśnie na cały głos: Ach! tyle pracy! i takie straszne szkody w jarzynach i w drzewach owocowych! Jęczmień, owies i żyto nie bardzo jeszcze wyrosły; pewnie więc nie ucierpiały tyle. Ale winnice, ach! winnice! I stojąc na progu usiłowała przeniknąć wzrokiem głębokie, nieprzejrzane ciemności, drżała z niepokoju, próbowała obliczyć szkody, rozpaczona, jak gdyby widziała przed sobą wieś spustoszałą, spaloną lub zasłaną trupami.

— Słuchajcieno, dziewczęta—rzekła wreszcie—pożyczcie mi latarki, pobiegnę do naszej winnicy.

Zapaliła latarkę i po chwili zniknęła z Ernestem.

Matka Bécu, nie posiadając własnego gruntu, nie martwiła się wielce tą klęską. Wzdychała głośno, podnosiła ręce i oczy do nieba—przyzwyczajona, jak w ogóle lud wiejski do jęczenia nad każdą niedolą. A jednak wiedziona ciekawością wracała wciąż ku drzwiom; patrzyła ze zdziwieniem jak cała wioska iskrzyła się jasnemi, migotliwemi światełkami.

Przez szczelinę w podwórzu pomiędzy stajnią a spichrzem widać było całą wioskę Rognes.

Widocznie burza gradowa przebudziła wieśniaków, którzy także pragnęli, co najrychlej obejrzeć swe pola, nie mając cierpliwości czekać, aż do świtu. To też co chwila ukazywała się nowa latarnia: jasne punkciki mnożyły się, skakały i migotały wśród tak nieprzejrzanych ciemności, że niepodobna było dostrzedz rąk, trzymających latarnie. Ale stara Bécu znała dokładnie położenie każdego domu, umiała odróżnić kto wychodzi ze światłem.

— Ot! teraz świeci się u Olbrzymki.. a teraz wychodzi stary Fouan... a tam dalej Macqueron... tu na prawo Lengaigne.... Wielki Boże! serce mi się kraje na myśl o nieszczęściu tych biedaków!... Ha! trudna rada! biegnę w pole!

Liza i Franciszka zostały same przy zwłokach ojca. Deszcz nie przestawał padać, wiatr huczał na dworze i w izbie, i gasił światło.

Trzeba było zamknąć drzwi, ale żadna z nich nie pomyślała o tem, zapomniały prawie o żałobie w domu wobec strasznej klęski.

Czyż to nie dosyć nieszczęścia, stracić ojca? Bóg odebrał im wszystko, może nie zostanie im nawet kawałka chleba dla zaspokojenia głodu.

— Biedny ojciec! — szepnęła Franciszka—jakżeby się był zmartwił!... Lepiej dla niego, że nie doczekał tej chwili.

Widząc, że siostra bierze latarkę, zapytała:

— Gdzie idziesz?

— Pójdę obejrzeć groch i fasolę... Wrócę zaraz.

Brnąc przez kałuże wody Liza, przeszła podwórze i weszła do ogrodu warzywnego. W izbie została tylko Franciszka przy ojcu. Stała wciąż na progu chaty, przyglądając się ciekawie światełku migocząremu w ogrodzie. Zdawało jej się że słyszy skargi i płacze. Serce jej się krajało.

— No! cóż tam? — zawołała. — Co się tam dzieje?

Ale nikt nie odpowiedział, światło przesuwało się tam i napowrót.

— Powiedzże, czy fasola wybita?... A groch, czy bardzo zniszczony?... O Boże! Boże!... a owo ce?... a sałata?

Nagle z ogrodu dał się słyszeć krzyk rozpacz liwy.

Franciszka nie czekała dłużej, zakasała spódnicę i pomimo ulewnego deszczu, pobiegła do siostry.

Umarły został sam; sztywny, przykryty prześcieradłem, leżał w pustej izbie, którą rozjaśniały dwa ponure i dymiące się światełka. Lewe oko na wpół otwarte patrzało ciągle na stare belki pułapu.

Ach! jakąż okropną pustkę ujrzały siostry w ogrodzie! Jakiż jęk boleści wydarł się z ich piersi na widok zniszczenia, któremu przyglądały się przy migocącem świetle latarni? Chodziły od zagonu do zagonu, nachylały ku ziemi latarkę, przez której zmoczone szyby światło przenikało zaledwie, oglądały groch i fasolę, wybite ze szczętem, oraz sałatę tak posiekaną i poprzerzynaną, że niepodobna było myśleć o zużytkowaniu liści. Najwięcej jednak ucierpiały drzewa: owoce i młode gałązki, jakby nożami pokrajane, przez uszkodzenia w korze pni, wyciekały życiodajne soki. Nieco dalej, wśród winnic, jeszcze smutniejszy przedstawiał się widok: latarnie roiły się coraz gęściej, podnosiły się i zniżały wśród głośnych jęków i przekleństw! Szczepy winne zdawałyby się, jakby podcięte kosą, grona pokryte kwieciem, zaściełały ziemię. Nietylko plon tegoroczny stracony był bezpowrotnie, ale nadto szczepy ogołocone z liści mogły schnąć i zmarnieć. Nikt nie zwracał uwagi na deszcz, jakiś pies wył przeraźliwie, kobiety szlochały głośno, jakby stały nad mogiłą ukochanych. Macqueron i Lengaigne, zapomniawszy o dawnych niechęciach, użyczali sobie latarki, chodzili razem i klnąc, głośno przyglądali się ogólnemu zniszczeniu. Stary Fouan chodził też po polach, chociaż nie miał już własnego gruntu i klął razem z innymi. Powoli wszystkich gniew ogarnął: czy to

możliwe, aby w przeciągu kwadransa stracić ze szczętem owoc całorocznej pracy? Czemże ściągnęli na siebie tak ciężką karę? Żadnej obrony, żadnego ratunku od ślepych żywiołów wyniszczających ziemię! Nagle Olbrzymka, nie posiadając się z gniewu, podniosła z ziemi kamień i rzuciła go w górę ku niebu, którego w ciemnościach widać nawet nie było.

Tymczasem w izbie, Mucha, leżąc na materacu, patrzył wciąż lewem okiem na sufit, gdy przede drzwiami zatrzymał się wóz i powozik. Jan przywoził wreszcie pana Finet, na którego czekał w mieście przeszło trzy godziny. Parobek przyjechał wozem, doktór jechał na swojej bryczce.

Po chwili wszedł do izby pan Finet, wysoki i chudy mężczyzna z twarzą pożółkłą od niezaspokojonych pragnień. W głębi serca nienawidził on wieśniaków, których skąpstwu przypisywał swoje szczupłe dochody.

— Jakto? nikogo w izbie?... Pewnie więc chory ma się lepiej?

Nagle spostrzegł ciało.

— Nie, już za późno... Mówiłem wam, Janie, że tak będzie, nie chciałem przyjeżdżać... Zawsze z nimi to samo, wzywają mnie wtedy, kiedy chory umrze.

Ta niepotrzebna przejażdzka, która mu spoczynek przerwała, gniewała go bardzo; nie mógł więc utaić swego niezadowolenia, dowiedziawszy się od Lizy i Franciszki, które w tej właśnie chwili wróciły do domu, że czekano dwie godziny przed posłaniem do niego.

— Sameście go zabiły! Co za głupota! leczyć apoplektyka wodą kolońską i kwiatem lipowym. Przytem nikogo przy nim nie było. To pewna, żeście go uratować nie mogły!..

— Ale proszę pana doktora — wybąkała onieśmielona Liza— wyszłyśmy tylko z powodu gradu.

Pan Finet, zaciekawiony tem, uspokoił się. Więc tutaj padał? Wskutek długich lat, spędzonych wśród wieśniaków, przejął ich zwyczaje i upodobania. Jan także przybliżył się do stołu, obydwaj dziwili się wielce, słuchali z niedowierzaniem: wracali przecież z Cloyes a wcale nie widzieli gradu. Jedni ocaleli, drudzy zrujnowani ze szczętem na tak niewielkiej przestrzeni! Doprawdy! pod złą widocznie rodzili się gwiazdą, kiedy ich takie nieszczęście dotknęło! Po chwili Fanny odniosła latarkę, Bécu i Frimat weszły za nią, wszystkie z płaczem opowiadały szczegóły o strasznem zniszczeniu.

Doktór, wysłuchawszy opowiadania, rzekł z powagą:

— Tak! to nieszczęście! straszne nieszczęście! Niema większej klęski dla wieśniaków!

Umilkł nagle, usłyszawszy po za sobą jakiś głuchy szmer jakby wrzenie wody w garnku. Szmer, ten wychodził ze zwłok zmarłego, który leżał na ziemi zapomniany. Wszyscy umilkli, kobiety żegnały się przerażone.

III.

Miesiąc czasu upłynął. Stary Fouan, mianowany opiekunem Franciszki, która zaczęła właśnie piętnasty rok, namówił obie siostry do oddania gruntu w dzierżawę Delhomme'owi, aby ziemia była należycie uprawianą. Teraz bowiem gdy dziewczęta zostały w domu same bez brata i ojca, byłyby zmuszone nająć parobka, co było zbyt dla nich kosztownem. Delhomme, godząc się na ten układ, wyświadczał im prawdziwą przysługę, przystał nawet na zerwanie umowy przed terminem w razie wyjścia za mąż której z sióstr, co spowodowałoby konieczność podziału całego mienia.

Jednakże Liza i Franciszka, oddawszy także kuzynowi konia, który stał się im niepotrzebnym, zatrzymały dla siebie osła Gedeona i dwie krowy Zuzulę i Czerwonkę. Zatrzymały też ogród warzywny, którym miała się zajmować Liza, podczas, gdy Franciszka podjęła się pielęgnowania zwierząt. Roboty miały wprawdzie nie mało, ale dzięki Bogu obie były silne i zdrowe i nie leniły się pracy.

Przez pierwsze tygodnie szło im bardzo ciężko, ponieważ trzeba było powetować szkody przez grad zrządzone: pooglądać drzewa, zasadzić po raz drugi warzywa; ten nadmiar pracy, skłonił Jana do przyjścia im z pomocą. Od chwili, gdy odwiózł do domu konającego Muchę, serdeczniejszy stosunek wytworzył się między nim a obiema siostrami. Nazajutrz po pogrzebie przyszedł zapytać co się z niemi dzieje.

Przychodził potem coraz częściej, gawędził, pomagał im w robocie, aż wreszcie jednego popołudnia odebrał Lizie łopatę i sam skopał grządkę. Odtąd stał się ich przyjacielem, poświęcał im wszystek czas wolny od pracy na folwarku. Uważano go za domownika w starym domku, będącym odwieczną siedzibą rodziny Fouan. Domek ten zbudowany przed trzema wiekami przez jednego z parobków, otoczony był od rodziny czcią religijną niemal.

Ilekroć Mucha uskarżał się, że otrzymał najgorszy los w udziale i obwiniał brata i siostrę o kradzież, ci odpowiedzieli mu z oburzeniem: „A dom! czy nie wziąłeś domu?"

Nędzny to był domek, zniszczony, chwiejący się, w ziemię zapadły, podtrzymywany drewnianemi słupami. Na popękanych ścianach widać było wielkie łaty narzuconej gliny. Początkowo dom ten musiał być zbudowany z kamienia i z ziemi. następnie potynkowano dwie ściany. wreszcie już na początku bieżącego stulecia zrzu-

cono słomę z dachu i zastąpiono ją warstwą łupku, dziś już przegniłego. Dzięki temu staraniu, domek przetrwał lat tyle, stał dotąd wsunięty w ziemię na łokieć głębokości, jak zwykle budowano w dawnych czasach prawdopodobnie dla zabezpieczenia się od zimna. Przedstawiało to tę niedogodność, że podczas każdej ulewy, woda zalewała izby: napróżno zamiatano i ścierano podłogę tej piwnicy, w kątach której zawsze zostawało błoto. A jednak budowa mądrze była obmyślaną, bo dom zwrócony był tyłami ku północy, ku rozległym płaszczyznom, z których wiały straszne zimowe wiatry i miał z tej strony jedno tylko okienko wązkie, zasłonięte okiennicą; drzwi i okna obu izb wychodziły z drugiej strony, od południa. Domek ten podobnym był do lepianki rybaka, wzniesionej nad brzegami oceanu tak, by fale wody przez żadną szczelinę przeniknąć do wnętrza nie mogły. Wichury zimowe pochyliły ściany ku przodowi, domek zgiął się jak zgrzybiała staruszka przygarbiona wskutek starości i ciężkiej pracy.

W krótkim czasie Jan poznał wszystkie zakątki tego domu. Pomógł dziewczętom wyszorować podłogę w pokoju nieboszczyka. W izdebce tej, oddzielonej od strychu cienką przegrodą z desek stał prosty stół, krzesło i stary kufer, napełniony słomą a zastępujący miejsce łóżka. Na dole Jan bywał tylko w kuchni, nie lubił bowiem wchodzić z siostrami do ich pokoju, przez drzwi które-

go zawsze na oścież otwarte widać było alkowę z dwoma łóżkami, wielką orzechową szafę i okrągły, bogato rzeźbiony stół, prawdopodobnie skradziony niegdyś z pałacu dziedziców.

Po za pokojem sióstr była jeszcze jedna izdebka tak wilgotna, że ojciec przeniósł się z niej na stryszek: nie chowano w niej nawet kartofli, bo zaraz kiełkowały. Nawet przesiadywano w kuchni, w tej obszernej zadymionej izbie, którą przez trzy wieki zajmowały kolejno następujące po sobie pokolenia rodziny Fouan; czuć tam było długą pracę, oszczędzanie jadła i nieustanny wysiłek ludzi, którzy zarabiali tyle tylko, by nie umrzeć z głodu, zabijali się pracą a nigdy grosza odłożyć nie mogli. Drzwi łączące kuchnię z oborą wprowadzały krowy w bezpośrednie sąsiedztwo z ludźmi; zamknąwszy nawet drzwi, można była pilnować zwierzęta i widzieć je przez szybę, umieszczoną w ścianie. Po za oborą znajdowała się stajnia, w której stał osioł Gedeon, następnie szopa i drwalnia tak, że można było obejść zabudowania gospodarskie, nie wychodząc na podwórze. Kałuża, napełniona zawsze wodą deszczową, służyła do pojenia zwierząt i do podlewania roślin. Wodę do gotowania przynoszono co wieczór ze studni, znajdującej się nieco dalej, przy drodze.

Jan przychodził tu chętnie, nie zdając sobie sprawy, co go ciągnęło do tych dziewcząt. Liza, zawsze wesoła i uśmiechnięta, miłą była w obej-

ściu. A jednak wyglądała na więcej niż swoje dwadzieścia pięć lat; zbrzydła bardzo po odbytej słabości. Pomimo to silna i zdrowa kobieta, brała się tak chętnie do roboty, rozmawiając i śmiejąc się wesoło, że przyjemnie było patrzeć na nią. Jan obchodził się z nią z pewnym szacunkiem, nie śmiał jej mówić po imieniu tak, jak Franciszce gdyż piętnastoletnia dziewczyna wydawała mu się dzieckiem jeszcze. Franciszka, niezeszpecona jeszcze ciężką pracą pod gołem niebem, miała ładną, ściągłą twarzyczkę, nizkie czoło i duże czarne oczy; grube jej wargi ocieniał przedwcześnie wyrosły puszek; chociaż uważano ją za podlotka, była już także kobietą i—jak żartobliwie mawiała Liza—nie potrzeba było zbyt wiele pracy, by ją uczynić matką. Wychowana była przez Lizę, bo matka wcześnie ich odumarła, ztąd więc pochodziło wzajemne ich przywiązanie: hałaśliwe, wylewające się na zewnątrz u starszej siostry, nie mniej gorące lecz bardziej w sobie stłumione u młodszej. Mała Franciszka uchodziła za bardzo sprytną dziewczynę. Każda niesprawiedliwość oburzała ją do najwyższego stopnia. Gdy raz powiedziała: „To moje a to twoje“, dałaby raczej zarżnąć się, niż ruszyć cudzą własność; głównem źródłem przywiązania jej do Lizy było poczucie, że winną jest jej wdzięczność i uwielbienie. Była zresztą bardzo rozsądną i uczciwą, chociaż często doznawała przedwcześnie rozbudzonych zmysłowych pokuszeń, co ją czyniło tro-

chę ociężałą, leniwą i łakomą. Powoli przyzwyczaiła się także do mówienia Janowi po imieniu, uważała go za starszego od siebie przyjaciela, który bawił się z nią, drażnił ją często, kłamiąc rozmyślnie, opowiadając nieprawdopodobne historye dla tego jedynie, by zabawić się widokiem jej gniewu i oburzenia.

Jednej niedzieli w skwarne, czerwcowe popołudnie, Liza pełła w ogrodzie, położywszy pod śliwą małego Julka, który usnął. Słońce piekło ją w plecy; przykucnąwszy na ziemi, wyrywała chwasty, pot lał jej się z czoła, gdy nagle usłyszała głos jakiś, odzywający się z za płotu:

— Cóż to? nawet w niedzielę nie macie odpoczynku?

Poznała znajomy głos, podniosła do góry twarz oblaną potem i uśmiechniętą jak zwykle.

— Ha! trudna rada! niema odpoczynku ani w niedzielę, ani w powszedni dzień! robota sama się nie zrobi!

Był to Jan. Przeszkoczył przez płot i przeszedłszy podwórze—przyszedł do ogrodu.

— Dajcie sobie pokój z tem... zrobię za was to co trzeba.

Ale Liza nie chciała dać się wyręczyć, dowodząc, że skończy niedługo; zresztą jeżeli nie będzie pełła, weźmie się do innej roboty: czy godzi się tak bezczynnie czas marnować? Napróżno zrywała się równo ze świtem, szyła wie-

czorem jeszcze przy świecy, zawsze było coś do zrobienia.

Jan, nie chcąc jej się sprzeciwić, usiadł pod cieniem stojącej tuż obok śliwy i nie odzywał się z obawy, by nie zbudzić dziecka. Przyglądał się Lizie, która znów przysiadła, opuściwszy spódnicę, aby zakryć czerwone, obnażone nogi; nachylona ku ziemi, pełła pracowicie, nie zwracając uwagi na to, że żyły jej na szyi nabrzmiały wskutek krwi przypływu.

— To wielkie szczęście — rzekł wreszcie — że jesteście tak silnie zbudowani, Lizo.

Uwaga ta połechtała mile jej miłość własną, uśmiechnęła się przyjaźnie, nie podnosząc się z ziemi. Jan uśmiechał się także; podziwiał on w istocie tę kobietę silną i dzielną, jak mężczyzna. Żadna nieuczciwa pokusa nie ogarniała go na widok tych wyciągniętych łydek kobiety, pełzającej na czworakach, spoconej, woniejącej jak rozgrzane, rozszalałe zwierzę. Myślał tylko, ile to rzeczy można zrobić, mając tak silne ręce! Doprawdy, taka kobieta warta w gospodarstwie więcej od niejednego parobka!

Widocznie patrząc na nią, pomyślał o jej przeszłości, bo bezwiednie niemal powiedział to, co przyrzekł sobie zachować w tajemnicy:

— Widziałem Kozła, onegdaj....

Liza podniosła się powoli. Ale zanim zdążyła zapytać go o kochanka, Franciszka, która wracała z obory z rękoma obnażonemi po łokcie i za-

bielonemi mlekiem, usłyszawszy głos Jana, przybiegła i zawoła z gniewem:

— Ach! widziałeś go... to podłe bydlę!

Nienawiść jej wzmagała się z dniem każdym, ilekroć wspomniano przy niej o Koźle, nie posiadała się z gniewu, jak gdyby jej osobiście ciężką krzywdę wyrządził:

— Już co bydlę, to bydlę! — spokojnie odparła Liza — ale cóż nam przyjdzie z wymyślania na niego teraz?

Oparłszy dłonie na biodrach, zapytała z powagą:

— Cóż tam Kozioł gada teraz?

— Et! nic — odparł Jan zakłopotany, zły sam na siebie, że się wygadał niepotrzebnie. — Mówiliśmy o jego interesach, bo stary Fouan rozpowiada wszystkim, że go wydziedziczy; on zaś utrzymuje, że ma czas poczekać, że stary dobrze się jeszcze trzyma i że zresztą kpi sobie z tego.

— Czy on też wie, że Hyacynt i Fanny podpisali już akt i wzięli to, co im się należy?

— Tak, wie o tem, wie także, że ojciec puścił zięciowi w dzierżawę udział, którego on przyjąć nie chciał; wie, że pan Baillehache, bardzo rozgniewany, oświadczył, iż nigdy już nie pozwoli ciągnąć losów, póki papiery nie będą podpisane. Tak, tak, Kozioł wie, że wszystko już skończone.

— I nic na to nie mówi?

— Nie, nic nie mówi.

Liza nie pytała więcej, nachyliła się i pełła dalej. Po chwili, obróciwszy się do Jana, rzekła, nie podnosząc się z ziemi:

— Wiecie co, kapralu? niema już żadnej nadziei! z tego co było, tylko Julek mi został!

Jan, który dotąd zwykle podtrzymywał jej nadzieje, potrząsnął głową:

— Niestety! zdaje mi się, że macie szłuszność!

Rzucił okiem na Julka, o którym zapomniał zupełnie. Dziecko, obwinięte w płachtę, spało spokojnie z twarzyczką nieruchomą, spaloną już trochę od słońca. Ot! najgorszy właśnie kłopot z tym bębnem! Gdyby nie to, cóżby mu przeszkadzało ożenić się z Lizą, kiedy ta była już wolną? Myśl ta przyszła mu niespodzianie do głowy teraz właśnie, gdy przyglądał się pracującej kobiecie. Może on ją pokochał, może przyjemność patrzenia na nią ciągnęła go do tego domu? Sam się zadziwił, bo nie pożądał Lizy, nigdy nie żartował z nią, nie dokazywał, jak naprzykład z Franciszką. Nagle, podniósłszy głowę, ujrzał przed sobą Franciszkę, która stała wyprostowana, drżąca jeszcze z oburzenia, oczy jej rzucały błyskawice gniewu. Widok ten tak go rozbawił, że roześmiał się pomimo zakłopotania i niepokoju.

W tej chwili odgłos trąbki dał się słyszeć w pobliżu. Liza, zerwawszy się z ziemi, zawołała:

— Oh! jak to dobrze! Lambourdieu!... Muszę obstalować u niego kapelusz.

Po drugiej stronie płotu ukazał się na drodze człowiek nizkiego wzrostu, który szedł, grając na trąbce. Za nim jechał wózek, ciągniony przez siwego konia. Był to Lambourdieu, kramarz z Cloyes, który sprzedawał płótna, towary norymberskie, wyroby garncarskie, powroźnicze, naczynia kuchenne i różne drobiazgi, obwożąc je od wsi do wsi, w promieniu pięciu lub sześciu mil. Wieśniacy zaopatrywali się u niego we wszystko, począwszy od rondli, skończywszy na odzieży odświętnej. Otwierał co chwila wózek, w którym pełno było szufladek i półek, jak w sklepie.

Gdy Liza obstalowała kapelusz, Lambourdieu zapytał:

— Możebyście tymczasem kupili piękną jedwabną chustkę?

Otworzył tekturowe pudełko, rozwinął dwie chustki czerwone w złote kwiaty; które pięknie połyskiwały na słońcu.

— A co? Warte po trzy franki, nieprawdaż? No, dla was zresztą oddam obie za franka.

Liza i Franciszka wyciągnąwszy rękę po przez płot, na którym suszyły się pieluszki Julka, oglądały chustki, przyglądając się im z przyjemnością. Rozsądek jednak nie pozwalał im na kupowanie rzeczy, będących takim zbytkiem: po co wydawać pieniądze? Już chciały oddać chust-

ki kramarzowi, gdy Jan zdecydował się w jednej chwii ożenić się z Lizą, nie zważając na dziecko. Wtedy chcąc dać poznać swoje zamiary, rzekł:

— Nie, nie, zatrzymajcie chustkę, ja płacę za nią! Ach! zrobilibyście mi wielką przykrość, daję ją wam z całego serca, weźcie, proszę was, Lizo!

Nie odezwał się dotąd do Franciszki; dopiero gdy ta wyciągnęła rękę, aby oddać chustkę kramarzowi, zwrócił na nią uwagę: żal mu się zrobiło dziewczyny, która zbladła i łzy miała w oczach:

— Ależ i ty także weź sobie chustkę, Franusiu... Chcę tego, nie upieraj się po swojemu!

Obie siostry pokonane, spierały się z nim, śmiejąc się wesoło. Ale już Lambourdieu wyciągnął rękę z za płotu, domagając się należnej mu zapłaty. Schował pieniądze, poszedł dalej, koń ruszył z miejsca, ciągnąc wózek, chrapliwe granie trąbki umilkło na zakręcie drogi.

Wtedy Jan postanowił wykonać świeżo powzięty zamiar i niezwłocznie oświadczyć się Lizie. Ale niespodziewany wypadek, stanął mu na przeszkodzie. Widocznie Franciszka nie musiała zamknąć stajni, bo nagle zobaczyli w ogrodzie warzywnym osła, hasającego wesoło po grządce marchwi. Gedeon, duży, silny, rudy z szarym krzyżem na grzbiecie, był bardzo psotnem i figlarnem zwierzęciem: podnosił pyskiem zasuwki u drzwi, chodził do kuchni i wyciągał chleb ze skrzynki a gdy mu wyrzucano występki, jakich

się dopuścił, poruszał długiemi uszami na znak, że rozumie swą winę. I teraz, spostrzegłszy, że go wyśledzono, spuścił najprzód głowę z miną obojętną, potem słysząc głosy ścigających go ludzi, zaczął uciekać, ale zamiast wracać do stajni, popędził dalej przez zagony w głąb ogrodu. Wtedy zaczęła się prawdziwa pogoń: gdy Franciszka schwytała go wreszcie, osioł skulił się, schylił szyję i kroku postąpić nie chciał. Ani proźby, ani kopanie go nogami nic nie pomagały. Dopiero Jan musiał się w to wmieszać, kilkakrotnie popchnął go silnie z tyłu, bo Gedeon powziął był najwyższą pogardę dla obu kobiet, odkąd stał się ich własnością. Hałas ten obudził Julka który zaczął płakać. Sposobność rozmówienia się była straconą, młody parobek musiał odejść dnia tego, nic nie powiedziawszy.

Tydzień cały upłynął, odwaga coraz bardziej opuszczała Jana, który nie śmiał uczynić stanowczego kroku. Nie dlatego jednak, aby stracił chęć do tego małżeństwa, przeciwnie po głębszym namyśle znajdował wiele stron dodatnich. Obie strony zyskałyby tylko na tym związku. On wprawdzie nie miał ani grosza, ona za to miała dziecko — to równoważyło położenie; Jan nie miał na myśli żadnej nieuczciwej rachuby, pragnął jej szczęścia zarówno jak i swojego. Zresztą żeniąc się, musiał opuścić folwark, co oswobodziłoby go od Jakóbki, która go wciąż napastowała a której ulegał zawsze, nie umiejąc

się oprzeć pokusie. Miał więc mocne postanowienie, czekał tylko chwili sposobnej do oświadczenia się, zawczasu układał w myśli słowa, które wypowie, bo pomimo pobytu w wojsku, pozostał nieśmiałym wobec kobiet.

Wreszcie jednego dnia, Jan wybiegł z folwarku koło czwartej popołudniu i podążył do Rognes, aby się rozmówić stanowczo z Lizą. O tej porze Franciszka pasła zwykle krowy na łące, mógł więc być pewien, że zastanie Lizę samą. Ale i tym razem doznał przykrego zawodu: matka Frimat, dobra i usłużna sąsiadka, stała w kuchni, pomagając młodej kobiecie przy praniu bielizny.

Poprzedniego dnia obie siostry rozpoczęły pranie. Od samego rana ług, do którego wrzucono dla zapachu kawałek korzenia kosaćca, gotował się w kotle, zawieszonym na haku po nad jasno płonącym ogniem z topolowego drzewa, a Liza z obnażonemi rękoma, z zakasaną spódnicą, trzymając w rękę żółty, gliniany garnek, czerpała z kotła wrzący ług i polewała nim bieliznę, ułożoną w balejce: na spodzie prześcieradła, potem ścierki i koszule i znów prześcieradła na wierzchu. Właściwie więc matka Frimat nic nie miała do roboty: siedziała na kufrze rozmawiając, rada z chwili odpoczynku; od czasu do czasu wyciągała stojący pod balejką szaflik i wylewała do kotła ług, spływający z bielizny.

Jan czekał cierpliwie, pewien, że stara kobieta odejdzie wkrótce. Ale ona nie śpieszyła się wcale, rozpowiadała o swoim biednym, sparaliżowanym mężu, który stracił zupełnie władzą w jednej ręce. Było to dla nich wielkie nieszczęście. Wprawdzie za najlepszych nawet czasów nigdy nie znali dostatku, jednak póki mąż mógł pracować, brali w dzierżawę małe kolonijki, co spory przynosiło dochód, teraz zaś musiała własnoręcznie uprawiać jedyny morg gruntu, należący do nich: upadała nieraz ze zmęczenia nie trzymając krów ani koni, zbierała suchy gnój z gościńca dla zdobycia nawozu, sadziła sałatę, groch i fasolę, podlewała w ogrodzie trzy śliwy i dwa drzewa morelowe. Mały ten kawałek gruntu przynosił jednak niezłe zyski, bo co sobota chodziła na targ do Cloyes, uginając się pod ciężarem dwóch ogromnych koszów; jarzyny zaś, jeden z sąsiadów zabierał zwykle na swój wózek. Rzadko kiedy przynosiła do domu mniej niż dwa lub trzy franki, szczególniej w porze owoców Ale ustawicznym powodem jej skarg był brak nawozu: ani gnój zbierany na gościńcu, ani nieczystości kilku chowanych przez nią kur i królików nie użyźniały dostatecznie ziemi. Zrozpaczona, wpadła wreszcie na myśl użytkowywania odchodów swoich i męża; mierzwiła ziemię nawozem ludzkim ogólnie pogardzanym, budzącym wstręt nawet w wieśniakach. Sąsiedzi wiedzieli o tem, wyśmiewali się z niej: na targu widziała nieraz,

jak mieszczanki odwracały się z obrzydzeniem od jej marchwi i pięknych główek kapusty. Pomimo wrodzonej słodyczy charakteru, oburzała się na głupotę ludzką:

— Proszę was, powiedzcie tylko, kapralu, czy oni mają słuszność?... Czyż człowiek nie ma prawa zużytkowania wszystkich bez wyjątku darów Bożych?... Ciekawam, dlaczego gnój bydlęcy ma być czyściejszym i lepszym! Et! to tylko zazdrość przez nich przemawia, ludzie nie mogą strawić tego, że nikt niema piękniejszych jarzyn odemnie... Powiedźcie, kapralu, czy i wy się tem brzydzicie?

Jan odparł zakłopotany.

— Prawdę rzekłszy, ani się brzydzę, ani nie... Ale ludzie nie przyzwyczaili się do tego... Ot! jeden z wielu starych przesądów.

Ta szczerość srodze zmartwiła starą kobietę. Nie miała ona zwyczaju robić plotek, teraz jednak nie mogła powstrzymać swej goryczy

— No widzę, że już i was podburzyli przeciw mnie... Ach! gdybyście wiedzieli, jacy to ludzie są złośliwi... Gdybyście wiedzieli, co oni o was gadają!

I zaczęła powtarzać plotki krążące w Rognes o młodym parobku. Dawniej lubiono go dlatego, że był rzemieślnikiem, że piłował i heblował drzewo zamiast orać rolę. Potem zaś, gdy wziął się do pługa wyrzucano mu, że odbiera zarobek innym, że przyszedł pracować w obce dla

siebie strony. Bóg jeden wiedział, zkąd on się przywlókł tutaj? Widocznie musiał coś przeskrobać w domu, kiedy nie śmie tam wrócić? Wyśledzono przytem jego stosunki z Jakóbką, szeptano między sobą, że pewnie oboje okradną kiedyś pana Hourdequin i uciekną z folwarku

— Ach! podłe łajdaki! – wykrzyknął Jan, trzęsnąc się z oburzenia.

Liza, która czerpała właśnie z kotła garnek wrzątku, roześmiała się głośno, usłyszawszy wzmiankę o Jakóbce; sama bowiem nieraz drażniła go, wyrzucając mu miłość dla tej dziewczyny.

— Kiedy już raz zaczęłam, muszę wypowiedzieć wszystko do końca — mówiła dalej matka Frimat. — Bóg jeden wie, czego ludzie nie wygadują, odkąd przesiadujecie u tych dziewcząt!... W przeszłym tygodniu kupiliście dla nich jedwabne chustki, w które ubrały się w niedzielę do kościoła. Otóż ludzie powiadają, że to wielkie świństwo i że pewnie sypiacie z obiema siostrami!

Jan drżący z gniewu, lecz niezachwiany w swem postanowieniu, zerwał się z krzesła i zawołał:

— Słuchajcie. matko, powiem wszystko przy was, nic mi to nie przeszkadza... Tak, przy was zapytam Lizę, czy chce pójść za mnie... Słyszycie, Lizo? proszę o waszą rękę... Jeżeli przystaniecie na moją prośbę, będę, bardzo szczęśliwy.

Liza polewała bieliznę w balijce. Nie spieszyła się wcale, wypróżniła trzymany w ręku garnek; potem założyła ręce obnażone i zwilgotniałe od pracy i spojrzała mu poważnie prosto w oczy:

— Czy mówicie to naprawdę?

— Naprawdę.

Nie zdawała się wcale zdziwioną. Była to rzecz bardzo naturalna. Nie odpowiadała jednak ani twierdząco, ani przecząco: widocznie nie była czegoś zupełnie pewną.

— Proszę was tylko, nie odmawiajcie mi z powodu Jakóbki—dodał Jan—bo Jakóbka...

Przerwała mu ruchem ręki, wiedziała dobrze, że bałamucenie tej dziewczyny z folwarku, nie pociągnie za sobą żadnych następstw.

— Największą przeszkodą jest to, że ja nie mam nic prócz rąk do pracy, wy zaś posiadacie ten domek i kawał gruntu.

Znów mu przerwała ruchem ręki, chcąc mu dać do zrozumienia, że zapatruje się na tę kwestyę tak jak on.

— Nie, nie, to jeszcze nie wszystko—odrzekła wreszcie.—Tylko, że Kozioł...

— Ale kiedy on was rzucił...

— No tak! i kwita z naszej przyjaźni... za wiele głupstw zrobił... A jednak pomimo to trzebaby naradzić się z Kozłem.

Jan zastanowił się chwilę. Wreszcie rzekł z namysłem:

— Jak wam się podoba... Może i należałoby to zrobić przez wzgląd na dziecko...

Matka Frimat, która z uroczystą miną wylewała do kotła szaflik ługu, zdawała się potwierdzać ich zamiary i spoglądała łaskawie na Jana, którego uważała zwykle za uczciwego i porządnego chłopca. W tej chwili usłyszano z podwórza głos Franciszki, wracającej z krowarmi.

— Lizo! Lizo! chodźno tu prędko — wołała Franciszka—Zuzula skaleczyła sobie nogę.

Wszyscy wyszli na podwórze. Na widok krowy, która szła kulejąc i unosząc w powietrzu zakrwawioną przednią nogę, Liza wybuchnęła gniewem i zaczęła łajać siostrę tak, jak niegdyś łajała ją, gdy ta będąc dzieckiem, popełniła jakąś psotę.

— Znowu nie dopilnowałaś krowy, ty próżniaku?... Pewnie zasnęłaś gdzie na trawie tak, jak wczoraj.

— Ale nie, nie, wierzaj mi, Lizo ... Nie wiem, co ona mogła zrobić. Przywiązałam ją do kołka, chyba zaplątała sobie nogę w sznurek.

— Milcz! kłamiesz!... Skończy się na tem, że zmarnujesz mi kiedy moją krowę!

Czarne oczy Franciszki zabłysły gniewem. Zbladła i zawołała z oburzeniem:

— Twoja krowa, twoja krowa!... Mogłabyś przecie powiedzieć: nasza krowa.

— Jakto, nasza krowa? Czy ta krowa należy i do ciebie, smarkaczu?

— Tak, połowa wszystkiego, co tu jest, należy do mnie, mam prawo zabrać i zniszczyć moją połowę, jeżeli mi się tak podoba!

Obie siostry rozgniewane, oburzone, stały na przeciw siebie, patrząc sobie oko w oko. Po długich latach gorącego przywiązania, była to pierwsza między niemi sprzeczka, wywołana chciwością i żądzą, rozgraniczenia tego, co moje a co twoje. Lizę rozgniewała hardość siostry, która znowu uniosła się gniewem, oburzona niesprawiedliwemi wymówkami. Wreszcie Liza ustąpiła i poszła do kuchni z obawy, aby nieporozumienie nie zakończyło się bójką. Franciszka zapędziła krowę do obory i przyszedłszy do kuchni ukroiła sobie kawał chleba. Wszyscy milczeli.

Liza uspokoiła się już zupełnie. Przykro jej było patrzeć na zasępioną i pochmurną twarz siostry. Odezwała się pierwsza, chcąc zakończyć sprzeczkę i zwiastować jej niespodzianą wiadomość:

— Ale ty nic nie wiesz, Franusiu? Jan chce się ze mną ożenić, oświadczył mi się przed chwilą.

Franciszka stała przy oknie, jadła chleb. Wysłuchała obojętnie słów siostry, nie odwróciwszy się nawet:

— A cóż mnie to obchodzi.

— Powinnoby cię to obchodzić, bo w takim razie Jan byłby twoim szwagrem. Chciałabym bardzo wiedzieć, czy on ci się podoba?

Franciszka wzruszyła ramionami.

— Czy mnie się podoba? wszystko mi jedno, czy Jan, czy Kozioł... przecie z żadnym z nich spać nie będę! Jeżeli chcesz jednak, bym ci powiedziała, co myślę, to powiem, że robisz świństwo.

I wyszła z izby na podwórze, gdzie spokojnie dojadała kromkę chleba.

Jan zakłopotany trochę roześmiał się z jej słów, jak z gadania rozpieszczonego dziecka; stara Frimat oświadczyła, że za jej młodych lat zuchwała dziewczyna, byłaby porządnie oćwiczona rózgami. Tymczasem Liza milczała, zadumana, zajęta tylko praniem. Wreszcie odezwała się:

— A zatem! na tem staje, kapralu... Nie odmawiam wam stanowczo, ale też nic nie przyrzekam... Nadchodzi pora sianokosów... zobaczę się z rodziną, powiem im wszystko i wtedy namyślę się co zrobić. Potem obgadamy rzecz ostatecznie... czy zgoda?

— Zgoda.

Wyciągnął do niej rękę, uścisnął dłoń, którą mu podała. Z odzieży jej, obryzganej ciepłemi mydlinami, rozchodziła się woń popiołu i pachnącego korzenia.

IV.

Od dwóch już dni, Jan prowadził kosiarkę po rozległych łąkach, ciągnących się wzdłuż wybrzeży Aigry a należących do Borderie. Od świtu do nocy słychać było miarowy, jednostajny klekot noży. Tego właśnie ranka, Jan kończył robotę: ostatnie pokosy padały na ziemię, słały się po za kołami równą warstwą źdźbeł cienkich, jasno-zielonych, jakby spłowiałych na słońcu. Ponieważ na folwarku nie było grabiarki, Jan wziął z sobą dwie robotnice: Palmyrę, któ ra najmowała się chętnie nawet do najcięższej pracy i Franciszkę, której przyszła zachcianka popracować trochę w polu. Obie przyszedłszy z nim o piątej rano, rozrzucały długiemi widłami na wpół suchą trawę, ułożoną poprzedniego wieczoru w kopice dla obrony przed rosą, padającą w nocy. Słońce stało już wysoko na jasnem i czystem niebie, łagodny wietrzyk odświeżał powietrze. Pogoda sprzyjała robotom w polu.

Gdy po śniadaniu Jan wracał z dziewczętami, siano na pierwszym skoszonym morgu już było

doszło. Dotknął się go ręką, poczuł, że już zupełnie wyschło.

— Słuchajcie, dziewczęta—zawołał—przetrząśnijmy je raz jeszcze a wieczorem stóg stawiać zaczniemy.

Franciszka, ubrana w szarą, płócienną spódnicę, obwiązała głowę niebieską chustką, której jeden koniec spadał jej na kark, podczas, gdy dwa drugie końce spuszczone na twarz ochraniały ją od skwarnych promieni słońca. Lekko kołysząc widłami nabierała na nie siano i rzucała je w górę, przypatrując się, jak wiatr roznosił je, jakby pył złotawy. Źdźbła unosiły się w powietrzu, roznosząc silny i przyjemny zapach trawy i ściętych kwiatów. Szła dalej, patrząc z zadowoleniem na pył unoszący się z siana; pot lał się z jej czoła.

— Acha! kochaneczko! — odezwała się Palmyra piskliwym swym głosem — widać żeś jeszcze młoda i nieprzyzwyczajona do pracy. Wieczorem dopiero poczujesz ból w kościach.

Nietylko one dwie pracowały: cała wioska zebrała się na sąsiednich łąkach, kosząc i rozrzucając siano.

Delhomme przededniem jeszcze wyszedł do roboty, wiedząc, że trawa zmoczona rosą daje się łatwo ścinać, twardnieje zaś, gdy ją słońce przygrzeje; w istocie też trawa zdawała się opierać i jęczeć pod jego kosą, która migotała w słońcu szybko poruszana silnemi jego ramionami. W po-

bliżu tuż obok pastwisk folwarcznych znajdowały się dwie łąki z których jedna należała do Macquerona, druga zaś do Lengaigne'a. Na pierwszej z nich widać było Bertę w strojnej sukni z szerokiemi falbanami, w małym słomianym kapelusiku; wyszła ona razem z robotnicami i dla zabawki przetrząsała siano, ale zmęczona już, stanęła pod wierzbą, oparłszy się na widłach. Na drugiej łące kosił Wiktor, wyręczając ojca, usiadł pod drzewem i klepał kosę. Wśród ciszy wiejskiej słychać było ciągle szczęk kosy o żelazo

W tej właśnie chwili Franciszka podeszła do Berty.

— A co? sprzykrzyła ci się już robota?

— Trochę, zmęczyłam się... Nic dziwnego, nie przyzwyczajona do takiej pracy.

Usiadły obok siebie i zniżywszy głos rozmawiały o siostrze Wiktora Zuzannie, którą rodzice umieścili w szwalni w Châteaudun a która po upływie pół roku pojechała do Chartres i tam bawiła się wesoło. Mówiono, że uciekła z dependentem miejscowego rejenta, wszystkie dziewczęta z Rognes szeptały między sobą o tym wypadku, zazdroszcząc jej szczęścia. Bawić się wesoło znaczyło w ich przekonaniu zapijać syrop porzeczkowy i selcerską wodę w towarzystwie kilkunastu swawolnych chłopców i oddawać się każdemu z nich po kolei.

— Tak, moja droga, tak to bywa... Oho! używa ona niemało.

Franciszka, młodsza i więcej naiwna, patrzyła na nią ze zdziwieniem.

— To mi zabawa nielada!—rzekła wreszcie.— Ale jeżeli ona nie wróci, starzy Lengaigne zostaną zupełnie sami, bo Wiktor ma iść do wojska.

Berta, która nienawidziła również współzawodnika swego ojca, pogardliwie wzruszyła ramionami: albo to stary Lengaigne dbał o dzieci! Żałował on tego tylko, że córka nie została w domu, aby swemi wdziękami ściągać więcej gości do sklepu! Przecież jeszcze zanim wyjechała do Châteaudun uległa jakiemuś staremu wujaszkowi, gdy razem obierali marchew. I zniżywszy głos, Berta rozpowiadała szczegółowo, jak się to odbyło.

Franciszka, zgarbiona we dwoje, dusiła się ze śmiechu, tak ją ta historya rozbawiła.

— Och! jakaż to głupota pozwalać tak się mordować!

Wzięła się znów do roboty, odeszła kilka kroków, nabierała siano na widły i roztrząsała je na łące. W pobliżu słychać wciąż było szczęk kosy o żelazo. Po jakimś czasie podeszła do siedzącego nieopodal chłopca i zagadnęła go:

— Więc ostatecznie idziesz do wojska?

— Tak, w październiku... Mam jeszcze dosyć czasu, nic mnie nie nagli.

Franciszka miała wielką ochotę zapytać go o siostrę, po chwili też machinalnie niemal zapytała:

— Czy to prawda, co ludzie gadają, że Zuzanna jest teraz w Chartres?

Chłopiec odparł obojętnie:

— Podobno... Kiedy jej z tem dobrze!

Zobaczywszy zdaleka nauczyciela, pana Lequeu, który włócząc się po okolicy, zaszedł tu niby przypadkiem, zwrócił rozmowę na inny przedmiot:

— Patrzajno! to znakomity kawaler dla córki Macquerona... Mówiłem ja to oddawna! Zatrzymał się oto, wsunął nos w jej włosy Baw się, baw się, stary wróblu! wąchaj ją sobie do woli, musisz się obejść smakiem!

Franciszka znów się śmiać zaczęła a Wiktor, podzielając nienawiść całej rodziny, wymyślał na Bertę. Wprawdzie i nauczyciel nie wiele wart: to złośnik, który bił dzieci bez miłosierdzia... mruk... nikt nigdy nie wiedział, co on myśli.. jak pies przypodchlebiał się córce, żeby tylko wyłudzić pieniędzy od ojca. Ale i Berta nie wzbudzała wielkiego zachwytu, chociaż pyszniła się, jak paw, że ją wychowano w mieście. Tak! napróżno stroiła się w spódnice z falbanami

i w aksamitne staniki, napróżno nosiła turniury z brudnych serwet, żaden parobek patrzeć na nią nie chciał! A przytem jaka zepsuta! bo takich rzeczy można dowiedzieć się więcej na pensyi w Cloyes, niż dojąc krowy w domu. Niema obawy, aby jej się kto przysłużył dzieckiem: wolała niszczyć sobie zdrowie.

— Jakto?—zapytała Franciszka, nic nie rozumiejąc.

Wiktor uczynił ręką ruch znaczący, dziewczyna spoważniała i odrzekła bez śladu zakłopotana:

— Więc to dlatego zapewne ona się tak pcha na nas i gada okrutne głupstwa.

Wiktor znów począł klepać kosę. Nieuważając na hałas, uderzając młotkiem o żelazo, mówił dalej:

— A przytem, wiesz. Bez tego...

— Co?

— Ależ Berta, do licha!... „Bez-tego“—tak ją przezwali chłopcy ze wsi, bo jej włosy wcale nie wyrosły.

— Gdzie?

— No, wszędzie!

— Nie kłamałbyś lepiej!

— Kiedy ci mówię...

— Albożeś widział kiedy?

— Ja nie, ale inni.

— Jacy inni?

— Ach! chłopcy, którzy potem zaklinając się opowiadali to moim znajomym.

— Ale gdzież oni ją widzieli? Jakim sposobem?

— Jakażeś ty głupia! podpatrzyli ją przez jakąś dziurę w płocie i widzieli wszystko... Czy ja wiem zresztą?

— Z pewnością musieli ją szpiegować!

— Mniejsza tam o to! powiadają, że to zupełnie nagie i strasznie brzydkie! tfu! plunąć tylko warto!

Franciszka roześmiała się znów na całe gardło, tak jej się podobało to porównanie. Uspokoiła się wreszcie i zaczęła rozrucać siano, zobaczywszy na gościńcu Lizę, która przychodziła właśnie na łąkę. Liza podeszła do Jana i powiedziała mu, że postanowiła pójść sama do wuja z powodu Kozła. Przed trzema dniami jeszcze rzecz ta została wspólnie przez nich obmyślaną, Liza obiecała, że wstąpi tu z powrotem, aby powiedzieć Janowi, jaką będzie odpowiedź wuja. Po odejściu Lizy, Wiktor kończył klepać kosę, Palmyra, Franciszka i inne dziewczęta rozrzucały siano, podczas, gdy usłużny Lequeu dawał Bercie wskazówki: nabierał siano na widły, podnosił je, opuszczał z sztywnością żołnierza, odbywającego mustrę. Kosiarze oddalali się coraz bardziej: szli krokiem miarowym i powolnym, kołysząc się całem ciałem, migając szybko kosami. Delhomme stanął na chwilę, wyprostował się, górując głową nad

wszystkiemi. Z mieszka przyczepionego do pasa wyjął czarny kamień i szybkim ruchem ostrzył kosę. Potem grzbiet jego znów się pochylił, naostrzone żelazo świstało, ścinając trawę.

Liza doszła wreszcie do domku starych Fouanów. W pierwszej chwili przypuszczała, że nie zastanie nikogo, bo w domu panowała cisza, jak gdyby wszyscy wymarli. Róża pozbyła się obu krów, stary sprzedał konia, nie było więc żadnego szmeru na podwórzu ani w pustych budynkach. Wszedłszy do izby ponurej i ciemnej, Liza zastała ojca Fouan, który stojąc przy stole jadł kawał chleba z serem, podczas, gdy żona przyglądała mu się, siedząc na ławie z założonemi rękoma.

— Dzieńdobry wam, ciotko... Dobrze się macie, jak widzę!

— A tak! — odparła stara, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem na widok nowo przybyłej. — Teraz, kiedyśmy już pozbyli się gruntu, możemy odpoczywać od rana do wieczora.

Liza chciała zwrócić się i do wuja z uprzejmem słówkiem.

— A wam, wujaszku, nie brak apetytu?

— Oh! nie dlatego jem, żeby mi głód dokuczał... Tylko jakoś dzień prędzej schodzi, kiedy człowiek przekąsi trochę od czasu do czasu.

Twarz starego Fouan była tak posępną, że Róża zaczęła znów rozwodzić się nad szczęściem uwolnienia się od pracy. Doprawdy! zapracowali sobie na tę chwilę! Czas już żyć

z gotówki,—niech tam sobie inni zabijają się pracą! Wstawać późno, siedzieć z założonemi rękoma, nie dbać o mróz ani o upał, nie mieć żadnych kłopotów, ależ to raj prawdziwy! Człowiek sam siebie nie poznawał tak go wygody zmieniły! Nawet stary rozweselił się, podniecony opowiadaniem żony. A jednak pod tą pozorną radością pod przesadą i gorączkowem uniesieniem ich słów, czuć było nudę głęboką, straszną męczarnię, jaką ci ludzie cierpieli w bezczynności, odkąd ich ręce drętwiały bezwładnie w przymusowym odpoczynku, podobne do zepsutych maszyn rzuconych na stos starego żelastwa.

Liza odważyła się wreszcie wypowiedzieć właściwy powód swych odwiedzin.

— Słuchajcie, wuju, mówiono mi, żeście gadali kilka dni temu z Kozłem...

—Kozioł jest dureń i krętacz!—zawołał z gniewem Fouan, nie dając jej dokończyć.—Gdyby się nie upierał jak stary osioł, nie miałbym tej historyi z Fanny!

Starał się on ukrywać nieporozumienie, zaszłe między nim a dziećmi a jednak mimowoli wybuchnął goryczą. Oddając udział Kozła zięciowi, żądał osiemdziesięciu franków za hektar, podczas, gdy Delhomme oświadczył, że będzie płacił ojcu podwójną pensyę: dwieście franków za swoją część i dwieście za część Kozła. Wszyscy przyznali mu słuszność, co drażniło starego.

— Jakiej historyi?—spytała Liza. —Czyż Delhomme nie płaci wam?

— O! i owszem — odpowiedziała Róża. — Co trzy miesiące punkt o dwunastej kładzie pieniądze na stół... Tylko w różny sposób można płacić, nieprawdaż? Ojciec, który jest bardzo drażliwy, wymaga od nich pewnej uprzejmości a tymczasem od tych zatargów z powodu części Kozła, Fanny zadziera nosa do góry i dąsa się, jak gdybyśmy ją okradli.

— Tak—dodał stary — płacą i na tem koniec. A mnie się zdaje, że to jeszcze nie dosyć... Żadnego uszanowania dla rodziców... Czy im się zdaje, że zapłaciwszy pieniądze, skwitowali się z zobowiązań względem nas? Obchodzą się z nami, jak z nieznośnym wierzycielem, nigdy inaczej... I jeszcze dziwią się, że człowiek śmie się skarżyć. Gdyby to wszyscy płacili!

Przestał mówić; milczeli zakłopotani.

Matka zmartwiła się tą przymówką do Hyacynta, który dotąd grosza nie zapłacił i wszystko przepijał. Gotową była zawsze stanąć w obronie ukochanego gagatka. Bała się, żeby stary nie rozgadał się zanadto i zręcznie zwróciła rozmowę:

— Nie zatruwaj sobie życia takiemi głupstwami!... Skoro jesteśmy szczęśliwi, cóż cię wszystko inne obchodzić może? Nie mamy prawa uskarżać się teraz na biedę.

Nigdy jeszcze nie występowała tak stanowczo przeciw mężowi, który spojrzał na nią ze zdziwieniem:

— Rozpuściłaś zanadto język, stara babo!... Przyznaję, że mi dobrze na świecie, ale nikomu skrzywdzić się nie pozwolę.

Złajana kobieta zgarbiła się znowu i zamilkła; stary dojadał tymczasem chleb, żując powoli ostatni kąsek dla zabicia czasu.

— Przyszłam tu—odezwała się znowu Liza— aby się od was dowiedzieć, co Kozioł myśli zrobić ze mną i z dzieckiem. Czekałam dotąd cierpliwie, czas wreszcie zdecydować się stanowczo.

Oboje starzy nie odpowiedzieli ani słowa. Wtedy Liza zwróciła się wprost do wuja:

— Widzieliście się z nim, musiał pewnie coś mówić o mnie... Powiedźcie mi więc, co gadał?

— Nic, słowa nawet o tobie nie pisnął... Zresztą co tu gadać o tem? Proboszcz męczy mnie ciągle, abym się wdał w tę sprawę, jak gdyby możliwem było zrobić cokolwiek, póki chłopiec nie przyjmie swego udziału!

Liza miotana niepewnością, zamyśliła się:

— Czy myślicie, że on przyjmie go wreszcie?

— To bardzo możliwe.

— I ożeni się wtedy ze mną?

— Tak mi się zdaje.

— Radzicie mi zatem czekać?

— Hm! to już twoja rzecz, każdy robi tak, jak mu serce dyktuje.

Umilkła, nie chcąc wspominać o oświadczynach Jana, nie wiedząc, w jaki sposób zmusić ich do dania stanowczej odpowiedzi. Potem spróbowała raz jeszcze.

— Znudziło mnie to wreszcie, nie wiem czego się trzymać. Chciałabym więc prosić was, wuju abyście zapytali się Kozła...

Fouan wzruszył ramionami.

— Przedewszystkiem póki życia, nie otworzę gęby do tego durnia. A zresztą, jakaś ty niemądra, dziewczyno! Poco pytać się tego uparciucha, który z pewnością na nie się nie zgodzi? Zostaw mu czas do namysłu, jak zobaczy, że mu z tem lepiej, to na wszystko przystanie.

— Z pewnością!—oświadczyła Róża, potakując jak echo słowom męża.

Liza nie mogła skłonić ich do powiedzenia czegoś więcej stanowczego. Pożegnała ich i wyszła, zamknąwszy drzwi za sobą; dom pogrążony w ciszy zdawał się znów, jakby uśpionym lub umarłym.

Tymczasem na łące, ciągnącej się wzdłuż wybrzeży Aigry, Jan przy pomocy obu robotnic zaczął stawiać pierwszy stóg. Najczynniej pracowała Franciszka. Stojąc na kopicy układała warstwami siano, które jej podawali Jan i Palmyra. Powoli stóg rosł, podwyższał się, dziewczyna stała w środku na wiązkach siana, otoczo-

na, jakby wałem, który dosięgał jej już do kolan. Stóg wznosił się na dwa metry wysokości tak, że Jan i Palmyra musieli jej podawać siano na widłach. Robota szła ochoczo: podnieceni przyjemną pogodą i miłym zapachem siana, żartowali i śmieli się wesoło. Franciszka zsunęła chustkę z głowy i śmiała się jak waryatka, stojąc na ruchomym stosie, w którym tonęła po kolana. Wiatr rozwiewał jej włosy pełne siana i suchych kwiatów. Nagiemi rękoma ubijała siano, każda wiązka rzucana z dołu obsypywała ją deszczem gałązek, chowała się w sianie i znów wychylała głowę z głośnym śmiechem.

— Och! och! coś łazi po mnie!

— Gdzie znowu?

— Tu, wysoko.

— To pewnie pająk, nie bój się, ściśnij dobrze nogi.

I znów wybuchły śmiechy i tłuste żarty, które ich bawiły niesłychanie.

Delhomme, stojąc w pobliżu, usłyszał ten hałas, odwrócił głowę, nie przestając kosić. Niewiele widocznie warta robota tej dziewczyny, kiedy dokazuje bez przerwy. Strasznie teraz zepsute dziewczęta, pracują tylko dla zabawki! Machnął ręką i kosił dalej: pokosy słały się rzędem u stóp jego, kosa zostawiała po za sobą, jakby zieloną brózdę na łące. Słońce zniżyło się na winokręgu, ilość kosiarzy zwiększyła się

znacznie od południa. Wiktor skończył wprawdzie klepać kosę, nie śpieszył się jednak do roboty: po chwili, zobaczywszy Flądrę przechodzącą ze swemi gęsiami, wymknął się cichaczem i pobiegł za nią w zarośla, nad brzeg rzeki.

— Masz tobie! — wykrzyknął Jan — już i na nią ostrzy zęby.

Franciszka parsknęła głośnym śmiechem.

— Oh! za stary dla niej.

— Za stary!... Nie wierz temu, jedno na drugie ostrzy zęby.

Gwizdnął przeraźliwie, naśladując tarcie kamienia o żelazo; Palmyra pokładała się ze śmiechu i trzymając się za boki, jakby ją kolka ukłuła, zawołała:

— Co się dziś stało Janowi? plecie jak na mękach!

Rzucano wciąż nowe wiązki siana, stóg wrastał. Wszyscy śmieli się z pana Lequeu i Berty, którzy usiedli zmęczeni. Kto wie, może dziewczyna pozwalała łaskotać się słomą, nie będzie miał przecie chleba z tej mąki.

— Wstydzilibyście się gadać głupstwa! — rzekła Palmyra, dusząc się ze śmiechu.

Jan chciał ją rozdrażnić trochę.

— Myślałby kto, żeś sama tego nie próbowała; nie darmo przecie masz trzydzieści dwa lat!

— Ja, nigdy.

— Jakto? żaden chłopiec cię nie pocałował? nie miałaś nigdy kochanka?

— O! nie, nie!

Bladość pokryła jej twarz chudą, wynędzniałą przedwcześnie, zwiędłą od ciężkiej pracy, rozjaśnioną tylko dwojgiem poczciwych psich oczu, w których malowało się bezgraniczne przywiązanie. Może zadumała się teraz nad marnem swem życiem bez przyjaciół i kochającej rodziny: jak bydlę robocze, przez cały dzień okładane batami, padała co wieczór, jak martwa na wiązkę słomy w stajni. Stała chwilę oparta na widłach, spoglądając w dal ku tej wiosce, której nie znała prawie.

Wszyscy milczeli. Franciszka słuchała, stojąc nieruchomo na wierzchołku stoga, Jan zaś usiadłszy dla odpoczynku, nie przestawał szydzić z Palmyry.

— Prawdę powiedziawszy — rzekł wreszcie— po co mam się wtrącać do tego?

Przytem co innego zwróciło w tej chwili ich uwagę, Hyacynt wyszedł z „pałacu", jak nazywano starą piwnicę, stanowiącą jego mieszkanie i ukrytą wśród gęstych krzewów, stanął na drodze i na cały głos wołał córkę, klnąc, że niegodziwa dziewczyna zniknęła gdzieś od dwóch godzin, zapomniawszy o ugotowaniu jedzenia.

— Twoja córka—objaśnił Jan—siedzi w zaroślach z Wiktorem, oboje zachwycają się księżycem.

Hyacynt podniósł w górę zaciśnięte pięści.

— Niech dyabeł weźmie! ta hultajka włóczy się wiecznie z chłopcami!... Przyniosę ja na nią bata.

I pędem pobiegł do domu. Na lewo za drzwiami wisiał duży furmański bat, którego Hyacynt używał dla poskromienia córki.

Ale Flądra usłyszała widocznie, na co się zanosi.

W gęstwinie dał się słyszeć szelest szybko oddalających się kroków i parę minut potem ukazał się na drodze Wiktor z miną obojętną i pewną siebie. Obejrzał kosę i wziął się znów do roboty. A gdy Jan zawołał nań zdaleka, pytając, czy się nie zmęczył zanadto, chłopiec odpowiedział:

— Nie bójcie się o mnie!

Kończono już stawiać stóg wysoki na cztery łokcie i zaokrąglony w kształcie ula. Palmyra, podnosząc do góry chude ramiona, rzucała ostatnie wiązki a Franciszka, stojąc na wierzchołku wydała się niezwykle wysoką w różowem świetle słońca zachodzącego na bladem niebie. Stała zadyszana, zmęczona ciężkiem wysileniem, oblana potem, włosy pozlepiały jej się na skroniach, stanik roztworzył się na piersiach a spódnica opadada z bioder.

— Och! jak to wysoko!... aż mi się kręci w głowie.

Śmiała się nerwowo, wahając się, nie śmiejąc zejść na dół: zaledwie uczyniła krok, cofała się natychmiast.

— Nie, to za wysoko! Musisz pójść po drabinę.

— Et! głupia jesteś — odparł Jan — usiądź i usuń się na dół.

— Nie, nie, boję się, nie mogę:

Wtedy znów zaczęły się krzyki, namawiania i tłuste żarty. Nie na brzuchu, bo spuchnie! Lepiej położyć się na wznak, chyba, że ma z tyłu odciski! Jan, stojąc na dole, czuł się coraz więcej podnieconym, podnosił oczy ku dziewczynie, ale nie mógł nic dojrzeć prócz jej nóg; ogarniała go rozpacz, że jej dosięgnąć nie może i zwierzęca żądza schwytania i zatrzymania jej w swych uściskach.

Powiadam ci, że nic złego sobie nie zrobisz. Śmiało tylko, złapię cię na ręce.

— Nie, nie.

Stanął nad stogiem siana, wyciągnął ręce, nastawił pierś, żeby jej dodać odwagi. Zdecydowawszy się wreszcie Franciszka, zamknęła oczy i zsunęła się na dół. Ale po stromym stogu stoczyła się tak szybko, że schwytawszy go wpół przewróciła się razem z nim. Leżąc na ziemi, śmiała się, zapewniając go, że nic sobie złego nie zrobiła. Ale Jan, czując gorą-

cy jej oddech i dotknięcie rozpalonej twarzy, przycisnął ją namiętnie do siebie. Upojony silnym zapachem siana, podniecony wonią potu dziewczęcia, zapałał zwierzęcą żądzą. Prócz tego obudziła się nagle w sercu jego miłość, z której dotąd sam sobie sprawy nie zdawał, przywiązanie to powstałe oddawna, wzrosłe podczas ich rozmów i wspólnych zabaw, przerodziło się nagle w namiętne pragnienie.

— Och! Janie, dosyć, puść mnie!... połamiesz mi kości!

Śmiała się ciągle, myśląc, że on żartuje: Ale Jan, spostrzegłszy nagle Palmyrę, przyglądającą się mu, zerwał się przerażony jak pijak, któremu widok grożącego niebezpieczeństwa przywraca przytomność. Sam się zdziwił niepomału: a więc kocha tego smarkacza a nie Lizę? Nigdy serce nie biło mu tak silnie na myśl o stosunku z Lizą, teraz zaś krew uderzała mu do głowy, drżał cały myśląc o uściśnięciu Franciszki. Wiedział już, dlaczego tak chętnie tam chodził, dlaczego z taką przyjemnością pomagał obu siostrom. Ale dziewczyna była jeszcze tak młodą! to go przejmowało wstydem i rozpaczą.

Liza wracała właśnie od wujostwa. Przez całą drogę zastanawiała się nad swem położeniem. Wyszłaby chętnie za Kozła, ponieważ — bądź co bądź był on ojcem jej dziecka. Starzy mieli słuszność: po co nalegać na niego? Jeżeli kiedykol-

wiek Kozioł wyrzeknie się jej, zostanie przecież Jan, który się z nią ożeni.

Podeszła więc do Jana i przystąpiła wprost do rzeczy:

— Nie mam stanowczej odpowiedzi, wuj nic nie wie... Czekajmy.

Jan, nie mógł jeszcze ochłonąć ze wzruszenia, patrzał na nią nic nie rozumiejąc. Wreszcie przypomniał sobie wszystko: zamiar małżeństwa, dziecko, zezwolenie Kozła, cały ten interes, który przed dwoma godzinami jeszcze wydawał mu się tak korzystnym dla niej i dla niego. Odparł więc wymijająco:

— Tak, tak, poczekajmy, może to i lepiej.

Noc zapadała, gwiazdy zaczęły ukazywać się na ciemno-fioletowem sklepieniu niebios. W wzrastających ciemnościach rysowały się niejasno pierwsze stogi, wznoszące się na gładkiej powierzchni łąk skoszonych. Po nad ziemią unosił się ciepły i wilgotny opar; w spokojnem powietrzu dźwięczały melodyjnie jakieś szmery stłumione: były to głosy kobiece i dziecinne, wesołe śmiechy, parskanie koni i szczęk narzędzi.

Kosiarze nie ustawali ani na chwilę, spiesząc się z ukończeniem roboty, dźwięczne miarowe świstanie kos, rozlegało się w powietrzu.

V.

W tem czynnem, jednostajnem życiu wiejskim minęło znowu dwa lata; pory roku zmieniały się kolejno i w Rognes wszystko szło też dawnym trybem: taż sama praca, ten sam niedostatek.

W dole, koło gościńca, po za szkołą, znajdowało się źródło, z którego wszystkie kobiety czerpały wodę do gotowania, bo stojące w podwórzach kałuże służyły tylko do pojenia bydła i podlewania grządek w ogrodzie. Koło szóstej wieczorem zbierano się zwykle u źródła na gawędkę: opowiadano sobie o różnych najdrobniejszych nawet wypadkach, obgadywano sąsiadów: ten jadał codziennie mięso, tamta zaszła w ciążę na Matkę Boską Gromniczną i t. d. Podczas tych dwóch lat powtarzano z małemi zmianami też same ploteczki o dzieciach przedwcześnie zepsutych, o mężczyznach upijających się, jak bydlęta, o kobietach bitych przez mężów. Dużo pracy a straszna nędza. Tyle nowych rzeczy zaszło a jednak nic się nie zmieniło na lepsze.

Starzy Fouanowie, żałując w głębi serca, że zgodzili się na oddanie ziemi dzieciom, żyli z dnia na dzień, odsunąwszy się od wszystkich tak, że we wsi prawie zapomniano o nich W stosunkach ich żadna zmiana nie zaszła: Kozioł nie chciał przyjąć swojej części, nie żenił się z Lizą, która własną pracą wychowywała dziecko. Jana podejrzewano ogólnie o miłosne stosunki z Lizą, inaczej pocóżby przesiadywał ciągle w domu dziewcząt. Cóś się w tem złego kryć musiało. Nieraz rozmowa u źródła wlokłaby się leniwie, gdyby nie współzawodnictwo Celiny Macqueron i Flory Lengaigne, które stara Bécu, występując pozornie jako rozjemczyni, wciąż podżegała o kłótni. Wkrótce uwagę zwróciły dwa nowe wypadki: przyszłe wybory i kwestya przeprowadzenia nowej drogi z Rognes do Chateaudun. Plotkom i gawędom nie było końca: pełne dzbanki stały rzędem na ziemi, nikt nie myślał o powrocie do domu. Pewnego wieczoru o mało nie przyszło do bójki.

Nazajutrz właśnie pan de Chédeville, deputowany usuwający się z urzędu, miał przybyć na śniadania do pana Hourdequin. Objeżdżał on wszystkich wyborców a chociaż pewien był utrzymania się na stanowisku pragnął przecież zjednać sobie przychylność pana Hourdequin, który wywierał wielki wpływ na wieśniaków z całej prowincyi. Był on raz w Compiègne, wszyscy nazywali go „przyjacielem cesarza" i to wystarczało. Pan de

Chédeville posiadał niegdyś wybitne stanowisko za panowania Ludwika Filipa, był w głębi serca zapalonym orleanistą i stracił majątek na ładne kobiety. Nie zostało mu nic, prócz folwarku la Chamade, w pobliżu Orgères, dokąd przyjeżdżał tylko w epoce wyborów, niezadowolony ze zniżania się tenuty dzierżawnej. Na stare lata ogarnęła go ambicya działalności politycznej, zapragnął na tem polu odzyskać nadwerężony majątek. Wysoki, zawsze wytwornie ubrany, czernił włosy, zalecał się zawsze do każdej dziewczyny. Mawiał zwykle, że pracuje nad obszerną rozprawą w kwestyi stosunków włościańskich.

W przeddzień tego dnia, Hourdequin stoczył gorącą sprzeczkę z Jakóbką, która chciała być obecną przy śniadaniu.

— Twój deputowany, twój deputowany... cóż to obawiasz się, żebym go nie zjadła?... Przyznaj, wstydzisz się mnie...

Ale on nie ustąpił, do stołu nakryto tylko na dwie osoby. Jakóbka dąsała się, pomimo uprzejmości pana de Chédeville, który spostrzegłszy ją, domyślił się wszystkiego i rzucał czułe spojrzenia w stronę kuchni, dokąd schroniła się dziewczyna, obrażona w swej miłości własnej.

Kończono właśnie śniadanie, składające się z pstrągów, pieczonych gołąbków i z omletu.

— Bezpośrednią przyczyną naszej ruiny — mówił pan de Chédeville jest owa wolność handlu, którą cesarz tak popiera. Przyznaję, że lepiej się

działo w kraju po układach z 1861 roku, ludzie dziwili się cudownej zaiste zmianie. Ale dzisiaj dopiero prawdziwe następstwa czuć się dają, ceny spadają z dniem każdym. Co do mnie, jestem zwolennikiem systemu protekcyjnego, potrzebujemy obrony przeciw zagranicy.

Hourdequin, przestawszy jeść, siedział rozparty na krześle i spoglądając przed siebie zamglonemi oczyma, odparł powoli:

— Wyprodukowanie hektolitra zboża, kosztuje nas szesnaście franków, sprzedajemy je zaś po osiemnaście franków. Jeżeli cena spadnie jeszcze, czeka nas niechybna ruina. Przytem, jak powiadają, Ameryka wywozi z każdym rokiem więcej zboża. W niedalekiej przyszłości grozi nam przepełnienie rynku. Cóż się z nami stanie wtenczas?

— Oh! ja całe życie obstawałem za postępem, za oświatą, za wolnością... A teraz, słowo honoru, zachwiała się wiara moja! Tak jest! nie umiemy sami zdychać z głodu, niechże się więc nami opiekują!

Obgryzał skrzydełko gołębia, mówiąc dalej:

— Czy pan wie, że pański współzawodnik, pan Rochefontaine, właściciel warsztatów w Châteaudun, jest zapalonym zwolennikiem systemu wolnej wymiany?

Chwilę jeszcze rozmawiali o tym przemysłowcu, w którego warsztatach pracowało przeszło tysiąc dwustu robotników. Młody ten człowiek, zdolny, pracowity i zamożny, sprzyjał interesom

cesarstwa, ale urażony tem, że nie zdołał pozyskać poparcia prefekta, postanowił bądź co bądź wystąpić jako kandydat. Nie miał żadnej szansy za sobą, wyborcy wiejscy otwarcie występowali przeciw kandydatowi, nie trudniącemu się rolnictwem.

— Rzecz jasna—zauważył pan de Chédeville—o jedno tylko mu chodzi: pragnie aby chleb staniał, bo wtedy mniej będzie płacił robotnikom.

Hourdequin, który nalewał wino do szklanek, z gniewem postawił butelkę na stole.

— Ot! całe nieszczęście! — zawołał. —Z jednej strony, my wieśniacy potrzebujemy sprzedać zboże z pewnym zyskiem dla siebie, z drugiej zaś przemysł dąży do obniżenia cen, aby zmniejszyć zapłatę robotnika. Zażarta walka nie ustaje ani na chwilę i czem się wreszcie kończy, powiedz mi pan?

Straszliwem zaiste jest to zagadnienie dni dzisiejszych, ten antagonizm, grożący ruiną całym społeczeństwom. Ale roztrzygnięcie tej kwestyi przewyższało o wiele zdolności umysłowe pana de Chédeville, który potrząsnął tylko głową i machnął ręką na znak swej bezsilności.

Hourdequin, nalawszy sobie szklankę wina wychylił ją duszkiem.

— Dobrze skończyć się to nie może... Jeżeli wieśniak sprzeda korzystnie zboże, rzemieślnik mrze z głodu; jeżeli rzemieślnik ma co jeść, wie-

niak zdychać musi... A zatem co? nie wiem, pożerajmy się nawzajem!

Oparłszy oba łokcie na stole, Hourdequin mówił dalej, jakgdyby dla ulżenia smutkowi swemu; w ironicznych dźwiękach jego głosu przebijała głęboka pogarda, jaką żywił względem tego człowieka, który posiadając własny majątek, nie zajmował się rolnictwem i nie znał ziemi, dającej mu środki do życia.

— Żądasz pan odemnie faktów na poparcie mych twierdzeń... Dobrze więc! Przedewszystkiem pańska to wina, jeżeli la Chamade marnieje... Zostawiony tam przez pana dzierżawca zaniedbuje się, bo termin kontraktu zbliża się do końca i przewiduje, że pan zechce podnieść wysokość tenuty. Pan sam tam nigdy nie zagląda, ludzie śmieją się z pana i — rzecz naturalna—kradną na wszystkie strony... Następnie jest inna jeszcze, prostsza przyczyna pańskiej ruiny: wszystkim nam grozi nędza wskutek wycięczenia sił żyznej niegdyś Beaucyi, naszej matki i karmicielki!

I mówił dalej· Ot naprzykład za młodych jego lat, sąsiadująca z Beaucyą Perche była krainą tak biedną, źle zagospodarowaną i pozbawioną zboża, że mieszkańcy jej przychodzili na żniwa do Cloyes, do Châteaudun lub do Bonneval. Dzisiaj zaś, dzięki ciągłemu podnoszeniu się płacy roboczej, w Perche dzieje się lepiej, stokroć lepiej, niż w Beaucyi, zwłaszcza, że jarmarki Mondou-

bleau, w Saint Calais i w Courtalain dostarczają wielkiej ilości koni, wołów i nierogacizny

W Beaucyi zaś największy dochód przynosiły owce. Gdy przed dwoma laty motylica zdziesiątkowała stada, mieszkańcy doszli do tak strasznej nędzy, że groziła im zupełna zagłada w razie dłuższego trwania klęski.

Hourdequin następnie począł rozpowiadać dzieje swej przeszłości, dzieje trzydziestoletniej walki z ziemią, której dotąd w zupełności pokonać nie zdołał. Brak kapitału dawał mu się zawsze we znaki, nie miał środków na odpowiednie użyźnianie pól, jedno tylko nawożenie marglem nie było zbyt kosztownem, chociaż nikt prócz niego nie uciekał się do tego środka Toż samo i z nawozem: używano tylko nawozu z folwarku, co było niedostatecznem; sąsiedzi wyśmiewali się z niego, widząc, że próbuje nawozów chemicznych, których zły gatunek usprawiedliwiał zresztą ich szyderstwa. Co zaś do uprawy, musiał zastosować się do przyjętego powszechnie gospodarstwa trójpolowego, gdyż rozpowszechienie sztucznych łąk utrudniało wprowadzenie płodozmianu. Z maszyn rolniczych, jedną tylko młockarnię zaczęto wprowadzać w użycie. Było to straszne, do snu śmierci podobne odrętwienie rutyny, któremu on nawet—zdolny i postępowy—oprzeć się nie zdołał, cóż zatem mówić o włościanach, ludziach ciasnego umysłu i niechętnych wszelkim nowościom? Włościanin wolałby raczej umrzeć z głodu, niż zanieść garść ziemi z pola

do analizy chemików, któryby wyjaśnił mu jakich pierwiastków jest w niej za mało lub za wiele, jakiego nawozu wymaga grunt i jakie rośliny są dlań najodpowiedniejszemi. Wieśniak zawsze tylko wyciąga z ziemi co się da, nie myśląc o wkładaniu w nią nic w zamian, nie zna innego nawozu prócz ekskrementów swych dwóch krów i jedynego konia; resztę zostawiono na los szczęścia, rzucano ziarno w rolę tak źle przygotowaną że wyjątkowo tylko kiełkować mogło, obwiniano Niebo, jeżeli zboże nie kiełkowało wcale.

Produkcya podwoi się wtedy dopiero, gdy wieśniak, nabywszy więcej wiadomości, potrafi zaprowadzić u siebie gospodarstwo racyonalne i zgodne z naukowemi teoryami. Tymczasem jednak ciemny i uparty lud nielitościwie wyniszcza ziemię.

Oto dowód, dla którego Beaucya zwana niegdyś śpichlerzem Francyi, kraina płaska i pozbawiona wody, ale nadzwyczaj urodzajna, kona powoli z wycieńczenia i zmęczona wyzyskiem, nie chce karmić nadal niewdzięcznych swych dzieci.

— Ach! wszystko idzie ku gorszemu!—zawołał gwałtownie. — Tak, nasi synowie doczekają się zupełnego upadku rolnictwa... Czy uwierzy pan, że włościanie, którzy dawniej przez długie lata składali grosz do grosza na kupno kawałka gruntu, dzisiaj zakupują papiery wartościowe hiszpańskie, portugalskie a nawet meksykańskie? A żaden z nich nie poświęci setki franków dla

użyznienia bodajby jednego hektara ziemi! Stracili już wiarę; starzy kręcą się w kółko po utartej drodze jak konie w deptaku, młodzi marzą tylko o tem, jakby pozbyć się ziemi, bydła i uciec do miasta... Najsmutniejszem jednak jest, że oświata, owa wszechpotężna oświata, która winna polepszyć dolę wszystkich, sprzyja tej emigracyi, temu wyludnieniu wiosek, wpajając dzieciom głupią próżność i zamiłowanie blichtru. Ot! naprzykład, nauczyciel z Rognes, pan Lequeu, to dawny wieśniak, który uciekł od pługa i nienawidzi śmiertelnie tej ziemi, którą powinien był uprawiać. Czy podobna, aby on nauczył dzieci ukochać ich zawód, kiedy nieustannie wymyśla im od osłów i dzikusów i zawsze z pogardą do nich się odzywa? Jedynem lekarstwem byłoby niezawodnie zaprowadzenie innych szkół, praktycznego nauczania i systematycznego wykładu rolnictwa... Oto smutne fakta, na które radbym zwrócić uwagę pańską, panie deputowany. Nalegaj pan na te reformy, może zbawienie kraju zależy od tych szkół, jeżeli jeszcze nie jest po niewczasie.

Pan de Chédeville, słuchał z zakłopotaniem tej smutnej przemowy i po chwili odparł z roztargnieniem.

— Bezwątpienia, bezwątpienia.

W tej chwili weszła służąca, przynosząc ser i owoce. Przez nawpół otwarte drzwi kuchni gość dostrzegł ładny profil Jakóbki, wychylił się,

mrugnął znacząco, aby zwrócić na siebie jej uwagę, poczem słodkim głosem dalej mówić zaczął:

— Ale nie wspominasz pan wcale o drobnej własności ziemskiej?

I wygłaszał znane powszechnie ogólniki o drobnej własności, stworzonej w 89 r., popieranej przez prawo, powołanej do odrodzenia rolnictwa, ponieważ każdy, będąc właścicielem, zużytkuje wszystkie swe siły fizyczne i umysłowe na wzorowe zagospodarowanie swego kawałka ziemi.

— Dajże mi pan z tem pokój!—oświadczył Hourdequin.—Najprzód drobna własność istniała przed 89 rokiem równie ogólnie jak i teraz. Zresztą i o tym systemie wieleby się dało powiedzieć zarówno dobrego jak i złego.

I znów oparłszy łokcie na stole, jedząc wiśnię i wypluwając pestki na stół, szczegółowo tłomaczył myśl swoją. W Beaucyi, drobna własność, nie przenosząca dwudziestu hektarów, stanowiła osiemdziesiąty procent. Od pewnego czasu wszyscy prawie najemnicy, pracujący po folwarkach, kupowali małe kawałki gruntu, oderwane od dawnych wielkich posiadłości i uprawiali je w chwilach wolnych od pracy. Był to bezwątpienia zwrot ku lepszemu, bo tym sposobem każdy przywiązywał się do ziemi. Przytem za drobną własnością przemawiało i to jeszcze, że ona uszlachetniała ludzi, podnosiła ich godność osobistą i poziom umysłowego rozwoju. Przytem

wobec systemu tego, produkcya okazywała się stosunkowo większą i lepszego gatunku, właściciel bowiem nieżałował trudów. Ale też ile stron ujemnych! Ta właśnie spotęgowana wydajność była wynikiem pracy nadmiernej, rodziny całe zabijały się robotą a nawet praca ta ciężka i niewdzięczna, przyczyniała się znacznie do wyludnienia wiosek. Następnie parcelacya, rozdrabniająca wywóz, niszczyła drogi, powiększała koszta produkcyi, nie wspominając już o straconym czasie. Wprowadzenie maszyn było niemożliwem na zbyt małych kawałkach gruntu, co nadto pociągało za sobą konieczność trójpolowego gospodarstwa, które — jako nielogiczne—niechybnie kiedyś przez naukę potępionem zostanie. Słowem, krańcowa parcelacya groziła tak wielkiemi niebezpieczeństwami, że chociaż prawo popierało ją natychmiast po rewolucyi z obawy skupienia wielkich obszarów w pojedynczych rękach, teraz przecie zaczynano zmniejszać podatki w celu ułatwienia wymiany.

— Tak, tak—mówił dalej—straszna walka toczyć się będzie pomiędzy wielką a drobną własnością ziemską. Jedni, z którymi i ja się godzę, obstają za wielką własnością, ponieważ zdaje się ona być zgodną z nauką i z postępem, ułatwia wprowadzanie maszyn i obrót wielkich kapitałów. Drudzy przeciwnie wierzą tylko w owoc pracy, wysławiając drobną własność i marzą o jakichś wzorowych gospodarstwach na małą

skalę, kiedy każdy będzie uprawiał własnoręcznie ćwierć morga ziemi, przebierając nasiona, rzucając je na odpowiedni grunt i wychowując następnie każdą roślinę z osobna pod kloszem... Który z tych dwóch systemów przemoże? Bóg jeden raczy wiedzieć. Wiem ja dobrze, o czem już zresztą panu wspominałem, że co roku wielkie majątki zrujnowanych panów, dzielą się na drobne kawałki, przechodząc w ręce ludu roboczego i że drobna własność coraz bardziej zyskuje prawo bytu. Znam nadto w Rognes ciekawy bardzo przykład: uboga staruszka, która uprawiając własnoręcznie niespełna morg ziemi zarabia na życie dla męża i siebie, wszyscy się z niej wyśmiewają, bo kobiecina nie waha się użyźniać gruntu nieczystościami ludzkiemi, podług metody chińskiej — jak powiadają. Ale ona uprawia tylko ogrodowizny, nie widziałem nigdy, by zboża rosły na grządkach, jak kalarepa, a jeżeli dla zapewnienia sobie środków do życia, włościanin powinien hodować wszystkie możliwe rośliny, cóż się wtedy stanie z naszą Beaucyą, jeżeli wielkie jej obszary zostaną poćwiartowane na cząstki wielkości pól szachownicy? Wreszcie, kto dożyje, ten zobaczy, który system ma przyszłość przed sobą.

Hourdequin odchrząknął i zawołał:

— Cóż tam? czy podacie dzisiaj kawę?

Zapalił fajkę i tak mówił dalej:

— Chyba, że gospodarstwo zupełnie zabitem zostanie, na co się zanosi, niestety! Trzeba bowiem abyś pan wiedział, panie deputowany, że rolnictwo upada i zginie niezawodnie, jeżeli mu nie przyjdą z pomocą. Wszystko nas gnębi, podatki, konkurencya zagraniczna, nieustanne podwyższanie ceny robotnika, kapitałów ku przemysłowi i ku finansowym spekulacyom. Ach! prawdę powiedziawszy, obietnic nam nie skąpią, każdy nas niemi obsypuje: cesarz, prefekci i ministrowie. A potem człowiek łudzi się, czeka i czeka a nic się nie zmienia... Czy chcesz pan wiedzieć szczerą prawdę? Dzisiaj rolnik, który jeszcze jako tako gospodaruje, żyje kosztem swoich lub cudzych pieniędzy. Ja naprzykład mam trochę odłożonego grosza i nieźle mi się dzieje. Ale iluż znam takich, którzy zaciągają pożyczki na szósty procent, podczas, gdy ziemia zaledwie trzeci im przynosi, tych niechybnie czeka bankructwo. Biada włościaninowi, który raz się zapożyczył, biedak wkrótce pójdzie z torbami. W przeszłym tygodniu komornik zajął chałupę jednemu z moich sąsiadów, ojciec, matka i czworo dzieci zostało bez dachu, bo lichwiarze zjedli im dom, bydło i grunta. A jednak od iluż to już lat obiecują nam utworzenie towarzystwa kredytowego, któreby udzielało pożyczek na umiarkowane procenta! Ciekawym, kto się doczeka tego dobrodziejstwa! Taki stan rzeczy zniechęca nawet pracowitych ludzi, każdy lęka się jak klęski

powiększenia rodziny i ucieka od żony, by nie uledz pokusie. Strach przejmuje na myśl karmienia jednych ust więcej, na myśl spłodzenia jednostki, która kiedyś, umierając z głodu, przeklinać będzie dzień, w którym na świat przyszła! Jak tylko brak chleba dla wszystkich, ludzie przestają się mnożyć i naród cały wymiera!

Pan de Chédeville, coraz więcej znużony, ośmielił się wtrącić ze smutnym uśmiechem.

—Strasznie czarno zapatrujesz się pan na świat i ludzi.

— To prawda, bywają chwile, kiedy radbym wysadzić wszystkich w powietrze— odparł wesoło Hourdequin.—Bo też już przeszło od trzydziestu lat kłopoczę się bez chwili wytchnienia. Nie wiem właściwie dlaczego uparłem się gospodarować, trzeba było rzucić wszystko do licha i obrać sobie inny zawód. Ot! tak, przyzwyczajenie, nadzieje że zmienić się to w końcu musi a przytem i zamiłowanie, czemużby prawdy nie wyznać? Przeklęta ta ziemia, jak raz chwyci człowieka w swe szpony, już go puścić nie chce... Niech pan spojrzy tutaj, może to i głupota, ale raźniej mi na sercu, kiedy to widzę.

Wyciągnąwszy rękę, pokazał gościowi srebrny puhar, osłonięty muślinem dla ochrony od much. Była to nagroda, jaką otrzymał kiedyś na jednej z wystaw rolniczych. Tryumfy te dodawały bodźca jego próżności i były głównym powodem jego zamiłowania do roli.

Pomimo, że gość nie taił swego znużenia, Hourdedequin powoli pił kawę, po raz trzeci już dolewał koniaku do filiżanki, gdy nagle, spojrzawszy na zegarek, zerwał się z krzesła:

— Wielki Boże! już druga, a ja mam posiedzenie zarządu gminy! Tak, rzecz idzie o przeprowadzenie nowej drogi. Gotowi jesteśmy ponieść połowę kosztów, ale chcielibyśmy otrzymać jakąś subwencyę od rządu.

Pan de Chédeville podniósł się z krzesła, uszczęśliwiony z odzyskania wreszcie swobody.

— Ale, możebym ja mógł być panom użytecznym, postaram się uzyskać ową subwencyę... Jeżeli pan się spieszy, proszę siadać do mego powozu, odwiozę pana do Rognes.

— Wyśmienicie!

Hourdequin wyszedł, by kazać zaprządz do powozu, który stał koło wozowni. Wróciwszy, nie zastał swego gościa w pokoju. Pan de Chédeville bowiem skorzystawszy ze swobody, poszedł do kuchni i tam z uśmiechem na ustach prawił grzeczne słówka Jakóbce, która słuchała rozpromieniona. Stali tak blizko siebie, że dotykali się niemal twarzami, spojrzenia ich mówiły, że zrozumieli się nawzajem.

Gdy pan de Chédeville wsiadł do powozu, Jakóbka zatrzymała na chwilę Hourdequina i szepnęła mu do ucha:

— A co? Twój gość jest grzeczniejszym od ciebie, nie uważa on wcale za potrzebne, aby mnie trzymać w ukryciu!

W drodze, podczas, gdy powóz toczył się między łamami zboża. Hourdequin znów mówić zaczął o ziemi która dlań była źródłem ustawicznym kłopotów. Pokazywał gościowi swemu sprawozdania z dochodów, przekonywał go cyframi, gdyż od kilku już lat zaprowadził był u siebie ścisłą rachunkowość. W Beaucyi nikt się nie trzymał tego zwyczaju, a nawet drobni posiadacze i włościanie ironicznie wzruszali ramionami, nie rozumiejąc konieczności prowadzenia rachunków. A jednak tylko z pomocą rachunkowości można było znać dokładnie swoje położenie, wiedzieć które produkta przynosiły zyski a które powodowały straty i nadto oznaczyć ścisłą cenę sprzedaży każdego produktu. To też u niego każde zwierzę, każde narzędzie nawet posiadało dwie rubryki: „dochód“ i „rozchód“, w każdej więc chwili mógł wiedzieć o dobrym lub złym rezultacie swych trudów.

— Przynajmniej — rzekł z uśmiechem — mogę obserwować jak mi wszystko marnieje.

Przerwał rozmowę i zaklął gniewnie pod nosem.

Już od kilku chwil uwagę jego zwróciło jakieś zbiegowisko nad brzegiem gościńca. Pomimo niedzieli, wysłał on był na łąkę świeżo kupioną maszynę do przetrząsania siana zupełnie nowego

systemu. Parobek, prowadzący maszynę, nie przypuszczając, aby pan jego mógł się znajdować w zbliżającym się powozie, wyśmiewał się z nowego wynalazku razem z kilkoma wieśniakami, którzy zatrzymali się przechodząc gościńcem.

— Ho! ho! — wołał ze śmiechem — to dopiero potwór! A skrzypi jak stary żóraw w studni, łamie i niszczy trawę. Przytem pewnie musi zatruwać siano, bo już trzy owce padły w tym tygodniu!

Wieśniacy śmieli się na całe gardło, przyglądając się maszynie z niedowierzaniem. Jeden z nich oświadczył:

— Wszystko to są dyabelskie wymysły obliczone na zgubę nas, biedaków... Cóż poczną teraz nasze kobiety, jeżeli nie dostaną roboty podczas kosowicy?

— Ach! niby to panowie troszczą się o nas! — odparł parobek i kopiąc nogą maszynę, dodał: — Bodajby cię dyabli wzięli!

Hourdequin słyszał wszystko. Wychyliwszy się z powozu, zawołał:

— Wracaj natychmiast do domu, Zefirynie, gdy wrócę, wypłacę ci, co ci się należy.

Parobek stanął jak wryty, trzej wieśniacy poszli dalej, śmiejąc się i klnąc nowe wymysły.

— Ot! tak zawsze z nimi! — zawołał Hourdequin ze zniechęceniem. Widziałeś pan sam! Oto dowód ich rozumu, zdaje się nieraz, że nasze udo-

skonalone narzędzia palą im ręce. Zresztą nie lubią mnie, jako pochodzącego z miasta, nie chcą iść do mnie na robotę, mówiąc, że mam z czego płacić drożej, a w mniemaniu tem podtrzymują ich moi sąsiedzi, którzy wyrzucają mi, że psuję ludzi i że gdyby było w okolicy więcej gospodarzy podobnych do mnie, chłop zapomniałby wkrótce siać i orać.

Zjechali z góry. Powóz wjeżdżał już do wioski, gdy deputowany ujrzał księdza Godard wychodzącego od Macquerona, gdzie wstąpił był po mszy na śniadanie. Przypomniawszy sobie niepokój o wynik wyborów, zapytał:

— A jakaż jest religijność w naszych wioskach?

— Och! spełniają tylko formułki, ale pustka w sercach!—lekceważąco odparł Hourdequin.

Kazał stanąć przed sklepem Macquerona, który stał we drzwiach z księdzem i przedstawił im swego towarzysza podróży. Natychmiast nadbiegła Celina w ciemnej kaszmirowej sukni, prowadząc z sobą Bertę, chlubę rodziny, wystrojoną w jedwabną suknię w niebieskie paseczki. Tymczasem cała wioska, która zdawała się pogrążąną w uśpieniu, odrętwiałą w lenistwie, korzystając z niedzielnego odpoczynku, ocknęła się ze snu, zdziwiona tą niespodzianą wizytą.

Wieśniacy stawali na progach chat, dzieci wyglądały nieśmiało z po za spódnic matek. Największy jednak zamęt panował u Lengaigne'a:

wychylił głowę przez okno, trzymając brzytwę w ręku, Flora, która zajętą była właśnie odważaniem kilku łutów tytuniu, wyjrzała, co się dzieje; oboje nie posiadali się z gniewu, że ci panowie zatrzymali się u ich współzawodnika. Powoli zbierało się coraz więcej ludzi, skupiano się w uliczce. Od jednego do drugiego krańca wsi wiedziano już o ważnej nowinie.

— Panie deputowany — powtarzał zaczerwieniony i zakłopotany Macqueron — spotkał mnie dziś zaszczyt....

Ale pan de Chédeville nie słuchał go, oczarowany urodą Berty, której jasne oczy podkrążone sinemi obwódkami patrzyły śmiało na niego. Matce nie zamykały się usta, opowiadała ile lat ma córka, gdzie kończyła nauki, dziewczyna zaś, dygnąwszy uprzejmie, zapraszała pana deputowanego, by wszedł do ich domu, jeżeli raczy.

— Ależ z największą przyjemnością, śliczna panienko!—wykrzyknął.

Tymczasem ksiądz Godard, opanowawszy Hourdequina, zaklinał go po raz setny może, aby nakłonił radę zarządu do wyznaczenia funduszu, zapewniającego utrzymanie stałego proboszcza w Rognes. Przy każdej sposobności ksiądz podnosił tę kwestyę, dawał swoje powody: brak czasu, nieustanne sprzeczki z wieśniakami, nie licząc już trudów w spełnianiu służby Bożej.

— Nie odmawiaj mi pan zawczasu!— dodał żywo, widząc, że Hourdequin odpowiada wymijają-

co.—Podnieś pan tę sprawę na posiedzeniu, zobaczymy co członkowie odpowiedzą.

W chwili, gdy pan Chédeville wchodził z Bertą do domu, ksiądz podbiegł ku niemu i zatrzymał go, uśmiechając się dobrodusznie:

— Przepraszam pana, panie deputowany. Tutejszy kościołek jest w bardzo smutnym stanie!... Chcę go panu pokazać, żebyś pan uzyskał fundusz na reparacyę. Dawno już o to proszę, ale nikt mnie słuchać nie chce. Proszę, proszę, niech pan pójdzie ze mną.

Deputowany, znużony tem naleganiem, opierał się, gdy Hourdequin, dowiedziawszy się od Macquerona, że kilku członków zarządu zebrało się już w merowstwie i przeszło od półgodziny czekają na niego, oświadczył bez ceremonii:

— Tak, tak, niech pan pójdzie obejrzeć kościół... Zajmie to panu czas, póki ja nie załatwię interesów a potem odwieziesz mnie pan do domu.

Pan de Chédeville zmuszony był pójść z księdzem. Ludzie zbierali się coraz tłumniej, kilka osób ruszyło w ślad za nimi. Ośmieliwszy się, każdy myślał o przedstawieniu swej prośby deputowanemu.

Gdy Hourdequin i Macqueron przybyli do sali merowstwa, zastali tam już Delhomme'a i dwóch drugich członków zarządu gminy. W obszernej sali o ścianach wybielonych wapnem, znajdował się długi stół z białego drzewa i dwanaście wy-

platanych krzeseł. Pomiędzy dwoma oknami, wychodzącemi na gościniec, znajdowała się szafa, w której chowano akta i różne dokumenta rządowe, porozrzucane w wielkim nieładzie. Na około ścian, na półkach, leżały stosy przyrządów ratunkowych od pożaru, stanowiące dar jednego z mieszczan. Nie wiedziano co z niemi zrobić i jak je zużytkować, gdyż wieś nie posiadała własnej sikawki.

— Przepraszam panów—rzekł uprzejmie Hourdequin—spóźniłem się trochę... miałem na śniadaniu pana de Chédeville.

Nikt nie odpowiedział, nie wiadomo więc było, czy przyjęto to usprawiedliwienie. A jednak widzieli przez okno przyjazd deputowanego, niepokoili się rezultatem przyszłych wyborów, nie uważali tylko za stosowne mówić o tem przed czasem.

— Dyabelska robota! — zaklął Hourdequin—jeżeli nas będzie tylko pięciu, nie będziemy mogli powziąć żadnego postanowienia.

Na szczęście wszedł Lengaigne. Z początku miał on zamiar nie iść na posiedzenie, gdyż kwestya drogi nie interesowała go wcale, liczył nawet na to, że jego nieobecność przeszkodzi głosowaniu. Potem jednak zaciekawiony przybyciem pana de Chédeville zmienił zamiar, postanowił przyjść, by się przekonać o stanie rzeczy.

— No! teraz już dobrze! jest nas sześciu, będziemy mogli głosować—zawołał mer.

Dumny i posępny Lequeu, pełniący urząd sekretarza, ukazał się w tej chwili, trzymając pod pachą księgę, w której spisywano protokół obrad, nic więc nie stawało już na przeszkodzie otwarciu posiedzenia.

Delhomme rozpoczął półgłosem rozmowę ze swoim sąsiadem, kowalem Clou, bardzo wysokim i chudym mężczyzną. Zauważywszy, że ich słuchają, umilkli natychmiast a jednak obecni zdołali dosłyszeć wymówione cicho nazwisko proponowanego przez nich kandydata, pana Rochefontaine. Wszyscy spojrzeli na siebie znacząco i jednogłośnie roześmieli się z tego kandydata, którego nikt nie znał. Zdaniem ich należało pracować nad utrzymaniem dawnego porządku rzeczy, należało okazywać posłuszeństwo władzom, które opiekowały się ich losem. Czyż temu panu zdaje się, że jest silniejszym od rządu? Czy potrafi podnieść cenę zboża do trzydziestu franków za hektolitr? Bezczelna to pewność siebie! rozrzucać po wsi podburzające pisemka, obiecywać więcej masła niż chleba, kiedy się nie dba o nic i o nikogo. Z oburzeniem przezywali go nieuczciwym, awanturnikiem, włóczęgą, który chciał przemocą zagarnąć ich głosy — jak gdyby grosze z kieszeni.

Hourdequin, który mógł był wytłomaczyć im, że Rochefontaine jest w głębi serca zwolennikiem monarchizmu, przysłuchiwał się obojętnie, jak Macqueron rozwodził swe bonapartystyczne teo-

rye a Delhomme wygłaszał zdania, świadczące o jego zdrowym chłopskim rozumie. Lengaigne zaś, któremu obowiązki służby, zamykały usta, zasunął się w kąt, mrucząc pod nosem swoje republikańskie zasady; chociaż żaden z nich nie wspomniał ani razu nazwiska pana de Chédeville, widocznem było, że wszyscy o nim myśleli, przejęci pokorą wobec jego stanowiska oficyalnego kandydata.

— No, panowie, zaczynajmy — odezwał się mer.

Usiadł przy stole na wygodnym fotelu z wysokiemi poręczami. Jeden tylko Delhomme zajął miejsce obok niego. Z czterech pozostałych członków dwaj stanęli przy stole, dwaj drudzy oparli się o framugę okna.

Lequeu podał merowi arkusz papieru, powiedział mu słów kilka do ucha i z uroczystą miną wyszedł z sali.

— Panowie — rzekł Hourdequin—oto podanie wręczone nam przed chwilą przez nauczyciela wiejskiego.

Odczytano głośno ów papier. Powołując się na swą gorliwość w pracy. nauczyciel żądał trzydziestu franków podwyżki rocznej pensyi. Oblicza wszystkich sposępniały, na wszystko — szczególniej zaś na potrzeby szkoły — skąpili oni funduszów gminy, jak gdyby każdy z nich pokrywał wydatki z własnej kieszeni. Nie wszczęto nawet

żadnej dyskusyi, ale dano wręcz odmowną odpowiedź

— Dobrze, powiemy mu, żeby poczekał trochę. Ten młody człowiek strasznie się gorączkuje... A teraz przystąpmy do kwestyi drogi.

— Jeszcze chwilę — przerwał Macqueron — chciałbym powiedzieć słów parę w kwestyi proboszcza...

Zdziwiony Hourdequin teraz dopiero zrozumiał, dlaczego ksiądz Godard wstępował na śniadanie do karczmarza. Jakież widoki osobistej korzyści mogły skłonić Macquerona do podnoszenia tej sprawy? Zresztą wniosek jego doznał tego samego losu, co prośba nauczyciela Napróżno dowodził, że gmina ma dość pieniędzy, by mogła utrzymać oddzielnego proboszcza, że nieuczciwością jest wyzyskiwać pracę księdza z Bazoches-le-Doyen: wszyscy wzruszali ramionami, pytając z szyderstwem, czy Pan Bóg poczyta za większą zasługę mszę odprawianą przez własnego proboszcza. Nie, nie! można tylko odmalować kościół; opłacanie oddzielnego księdza jest rzeczą zbyt kosztowną, zresztą, czyż nie dość nabożeństwa raz na tydzień, w niedzielę?

Mer, srodze dotknięty wnioskiem postawionym przez Macquerona, oświadczył:

— Nic z tego nie będzie, tak zadecydowała rada... A teraz zajmijmy się drogą, trzeba raz już z tem skończyć... Proszę was, Delhomme, zawołajcie tu pana Lequeu. Czyż to bydlę myśli, że

będziemy do później nocy rozmyślać nad jego podaniem?

Lequeu, który czekał na schodach, wszedł poważnie do sali, a nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi na podaną przez siebie prośbę, zawrzał gniewem i oburzeniem: niema na świecie podlejszych istot, jak chłopi! Trzęsąc się ze złości, wyjął z szafy plan drogi i rozłożył go na stole.

Członkowie zarządu nie po raz pierwszy oglądali ów plan, który od dawna już spoczywał w szafie. Pomimo tego wszyscy pochylili się nad stołem, podparli się łokciami i zatonęli w głębokiej zadumie. Mer zaczął wyliczać korzyści, jakie ułatwiona komunikacya przyniesie mieszkańcom Rognes: wozy będą mogły dojeżdżać do samego kościoła; podróż do Châteaudun skróci się o dwie mile, przytem na koszt gminy przypada zaledwie trzy kilometry, bo mieszkańcy sąsiedniej wioski Blanville oddawna już uchwalili przeprowadzenie drugiej odnogi, dochodzącej do gościńca, łączącego Châteaudun z Orleanem.

Słuchano go z wytężoną uwagą, oczy wszystkich utkwione były w papier, nikt ust nie otwierał. Główną przeszkodę w urzeczywistnieniu projektu, stanowiła przedewszystkiem kwestya odprzedania gruntów. Każdy spodziewał się pewnych zysków dla siebie, łudził się nadzieją, że droga przetnie jego grunta i że będzie mógł odprzedać gminie kawał ziemi po sto franków za pręt. Ale jeżeli jego pole ma zostać ominiętem,

po cóż głosować za wzbogaceniem sąsiadów? Mniejsza o skrócenie drogi, o udogodnienie przystępu do kościoła! Konie i tak dociągną!

To też Hourdequin nie potrzebował wyciągać ich na słowa, by poznać ich sposób myślenia. On sam dlatego tylko popierał gorąco ten projekt, że droga miała przechodzić tuż pod jego folwarkiem, co ułatwiłoby mu dostęp do niektórych dalej położonych pól. Macqueron i Delhomme, których grunta leżałyby po nad drogą, nalegali również na twierdzące roztrzygnięcie kwestyi. Głosy dwóch drugich członków były wątpliwe, gdyż żaden z nich, nie był osobiście zainteresowanym; Lengaigne zaś występował otwarcie przeciw projektowi, który nietylko mu nie przynosił korzyści, lecz nadto przyczyniał się do wzbogacenia jego współzawodnika. Gdyby Clou i drugi członek stanęli po stronie Lengaigne'a, byłyby trzy głosy przeciw trzem... Hourdequin zaniepokoił się żywo. Wreszcie rozpoczęto dyskusyę.

— I na co nam to? na co nam to?—powtarzał Lengaigne.—Mamy już przecie jedną drogę! Co za przyjemność wydawać pieniądze, brać je z kieszeni Jana i przekładać do kieszeni Piotra... No, ty wprawdzie obiecałeś dać darmo kawał gruntu..

Spojrzał szyderczo na Macquerona, przypominając mu uczynioną niegdyś obietnicę. Ale karczmarz, który żałował gorzko swej wspaniałomyślności, skłamał bezczelnie:

— Ja, nic nie obiecywałem.. Któż ci to powiedział?

— Kto?... ależ ty sam, do licha!... I to przy świadkach! Na szczęście pan Lequeu jest tutaj, on może potwierdzić... Nieprawdaż, panie Lequeu?

Nauczyciel, oburzony zwłoką w udzieleniu mu odpowiedzi na prośbę, machnął ręką pogardliwie. Cóż go ich podłe krętactwa obchodzić mogły?

— Ładne czasy! — szydził dalej Lengaigne — niema już uczciwych ludzi na świecie, lepiej żyć w lesie jak pustelnik!... Nie, nie, nie chcę ja waszej drogi! Wszyscy kradną i kłamią!

Widząc, że sprawa zły przyjmuje obrót, mer usiłował pogodzić zwaśnionych:

— Et! nie traćcie czasu na próżne gadania. Nie mamy obowiązku wdawać się w kwestye osobiste. Przedewszystkiem powinniśmy mieć na względzie interes ogółu, interes publiczny.

— Święta prawda!—oświadczył rozsądny Delhomme. — Nowa droga przyniesie wielkie korzyści całej gminie... Tylko trzebaby raz co postanowić. Prefekt powtarza nam ciągle: „Uchwalcie jakąś sumę, zobaczymy potem, co rząd będzie mógł zrobić dla was“. Ale jeżeli rząd nic nie zrobi, po co mamy darmo tracić czas na naradach?

Hourdequin postanowił wystąpić z wiadomością, której dotąd nie odważał się wypowiedzieć:

— Słuchajcieno, panowie, podaję wam do wiadomości, że pan de Chédeville zobowiązuje się wyrobić dla nas subwencyę, wynoszącą połowę kosztów... Wiecie, że jest on w przyjaznych stosunkach z cesarzem, łatwo mu będzie w rozmowie napomknąć o nas.

Nawet Lengaigne zawahał się teraz, twarze wszystkich przybrały wyraz uroczysty, poważny, jak gdyby na widok czegoś świętego Ponowny wybór deputowanego zdawał się zapewnionym stanowczo: któż mógł godniej odpowiedzieć temu stanowisku niż przyjaciel cesarza, człowiek znany, poważany, potężny, mogący rozdawać posady i pieniądze! Nikt się nie odzywał, wszyscy w milczeniu kiwali głowami. To się samo z siebie rozumie, pocóż mówić o tem?

Jednak Hourdequin patrzył z zakłopotaniem na obojętne zachowanie się kowala. Wstał, podszedł do okna, a spostrzegłszy polowego rozkazał mu poszukać ojca Loiseau i sprowadzić go tu żywym lub umarłym.

Ojciec Loiseau był to stary, głuchy wieśniak, którego—jakby dla zabawki—wybrano na członka zarządu; nie przychodził on nigdy na posiedzenia, dowodząc, że nie lubi łamać sobie głowy. Syn jego pracował w Borderie on sam całą duszą oddany był merowi. To też gdy starzec przybiegł wystraszony, Hourdequin krzyknął mu w ucho, że chodzi o przeprowadzenie drogi. Po chwili wszyscy zaczęli pisać swe zdanie, utkwi-

wszy nosy w papierze, szeroko rozpostarłszy ręce, aby nikt nie mógł dojrzeć co piszą. Następnie przystąpiono do uchwalenia potrzebnej sumy, każdy wrzucał swą kartkę do skrzynki z białego drzewa, podobnej do kościelnych skarbonek. Zwycięztwo było zupełnem: okazało się sześć głosów przeciw jednemu, tym jedynym oponentem był Lengaigne. Wbrew przewidywaniom mera, kowal dał głos przychylny. Przed ukończeniem posiedzenia, każdy musiał położyć swój podpis na protokóle, który nauczyciel przygotował zawczasu, nie wpisawszy tylko rezultatu głosowania. Wszyscy powstali z miejsc i bez słowa pożegnania, bez uścisku dłoni rozeszli się w milczeniu.

— Acha! zapomniałem powiedzieć panu, panie Lequeu — rzekł Hourdequin, wróciwszy się ze schodów—że pańska prośba o podwyżkę pensyi, została odrzuconą... Rada osądziła, że i tak już za wiele wydajemy na szkołę.

— Osły jakieś! — zawołał ze złością nauczyciel, zostawszy sam. — Świnie wam paść a nie z ludźmi mieć do czynienia!

Posiedzenie trwało blizko dwie godziny. Wyszedłszy na plac przed merostwem, Hourdequin spotkał tam pana de Chédeville, który przed chwilą zaledwie uwolnił się był od natarczywości wieśniaków. Najprzód ksiądz kazał mu obejrzeć szczegółowo wszystkie ślady zniszczenia w kościele: popękany dach, potłuczone szyby, obdrapane ściany. Potem gdy wymknął się

wreszcie z zakrystyi, która również odmalowania potrzebowała, wieśniacy ośmieleni już tłumnie cisnęli się do niego, każdy przedstawiał swe skargi lub prosił o uzyskanie jakiejś łaski. Ten prowadził go do sadzawki, której oddawna już nie czyszczono z powodu braku pieniędzy; tamten prosił o wystawienie pralni na brzegu Aigry w miejscu przez siebie wskazanem; inny znów domagał się rozszerzenia drogi przed jego chatą, aby mógł zakręcić wozem, a jakaś stara kobieta, sprowadziwszy do siebie deputowanego, pokazywała mu spuchnięte nogi, prosząc, by jej z Paryża sprowadził lekarstwo.

Pan de Chédeville zmęczony, zadyszany, uśmiechał się, obiecywał wszystko, nie odmawiał nikomu. Dzielny to człowiek! nie pyszni się!—mówili wieśniacy.

— No, cóż, jedziemy wreszcie?—zapytał Hourdequin—pilno mi wracać do domu!

Ale w tej właśnie chwili Celina i Berta wybiegły przed dom, błagając pana de Chédeville, by wstąpił do nich na chwilę; deputowany chętnie rad był uczynić zadość ich prośbie, ciesząc się nadzieją pogawędzenia swobodnie z tą ładną, jasnooką dziewczyną.

— Nie, nie — zaprotestował Hourdequin—nie mamy czasu, innym razem wstąpimy do was.

I przemocą prawie wsadził go do powozu, następnie spostrzegłszy księdza, oświadczył mu, że rada nie orzekła nic stanowczego w kwestyi

utrzymywania własnego proboszcza. Woźnica zaciął konie, powóz ruszył z miejsca, mijając tłumy wieśniaków, uszczęśliwionych z odwiedzin deputowanego. Ksiądz tylko zawiedziony w swych nadziejach, odwrócił się z gniewem i podążył piechotą z Rognes do Bazoches-le-Doyen.

We dwa tygodnie potem, pan de Chédeville został wybrany większością głosów a już w końcu sierpnia dotrzymał swej obietnicy, gdyż gmina uzyskała żądaną subwencyę na przeprowadzenie nowej drogi.

Roboty rozpoczęto niezwłocznie.

Wieczorem tego dnia, gdy robotnicy zaczęli kopać drogę, chuda i śniada Celina stała u źródła, słuchając nieskończenie długich opowiadań matki Bécu.

Żona polowego siedziała na kamieniu z rękoma założonemi na krzyż pod fartuchem. Od tygodnia przeszło ważna kwestya drogi zajmowała umysły niewiast, zbierających się u źródła, mówiono wciąż o tem, że jedni otrzymali spore pieniądze, inni zaś, których grunta pominięto wściekali się ze złości. Matka Bécu opowiadała codzień Celinie, co o jej mężu mówiła Flora Lengaigne, — naturalnie, nie w celu poróżnienia ich, lecz przeciwnie dlatego, aby wyjaśnić położenie, gdyż to jest najlepszy sposób dojścia do porozumienia. Gromady kobiet przysłuchiwały się, stojąc z założonemi rękoma, pełne dzbanki stały na ziemi.

— Tak, tak, rozpowiada wszędzie, że mer oddawna już umówił się w tej kwestyi z waszym mężem. Powiada jeszcze, że wasz mąż nie dotrzymuje słowa, dziś mówi tak, jutro inaczej...

W tej chwili ujrzano Florę wychodzącą z domu z dzbankiem w ręku. Zaledwie ta zbliżyła się do źródła, Celina, oparłszy ręce na biodrach, zaczęła ją obrzucać grubiańskiemi wyrazami, mieszając z błotem Bertę i ją samą, że włóczy się po nocach z chłopcami, aby ich przyciągnąć do sklepu. Flora powtarzała płaczliwym głosem:

— O to baba rozpuściła język!

Matka Béou stanęła między niemi, namawiała je do pocałowania się w sposób, który o mało nie doprowadził do bójki. Nagle wystąpiła z nową wiadomością.

— Słuchajcie, nie wiecie nic, że córki nieboszczyka Muchy dostaną pięćset franków.

— To niepodobna!

Zapomniano natychmiast o sprzeczce, wszystkie kobiety skupiły się, zostawiwszy dzbanki na ziemi.

Tak było w istocie! Tam na wyżynie droga przetnie grunt dziewcząt na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu metrów: licząc metr po czterdzieści sou, wyniesie to pięćset franków a przytem wartość gruntów leżących przy drodze, podniesie się w dwójnasób. To szczęście nielada!

— Wskutek tego — rzekła Flora—Liza stanie się posażną dziewuchą, już teraz nikt nie będzie zwracał uwagi na to, że ma dziecko... Jednak kapral miał dobry nos zalecając się do niej.

— Chyba, że Kozioł stanie mu na przeszkodzie— dodała Celina. — Udział jego zyska dużo na tej drodze.

Matka Bécu, obejrzawszy się za siebie, trąciła je łokciem.

— Sza! Bądźcie cicho!

Liza nadchodziła, śpiewając i kołysząc w ręku dzbanek. Po chwili wszystkie kobiety rozeszły się do domów.

VI.

Liza i Franciszka, sprzedawszy jedną z swych krów, która spasła się zanadto i przestała się cielić, postanowiły pojechać w sobotę na targ do Cloyes i kupić nową krowę, Jan obiecał zawieźć je wozem z folwarku. Uwolnił się tego dnia od poobiedniej roboty a pan Hourdequin, dowiedziawszy się, że parobek jego zaręczył się z starszą córką ojca Muchy, pozwolił mu wziąć wóz. Istotnie, ślub był już postanowionym; tyle przynajmniej, że Jan obiecał pójść w przyszłym tygodniu do Kozła i ostatecznie się z nim rozmówić. Tak lub owak, trzeba już raz skończyć.

Ruszono więc w drogę koło pierwszej: Jan powoził. Liza siedziała obok niego, Franciszka sama po za niemi. Od czasu do czasu Jan odwracał się i uśmiechał się do dziewczyny, która kolanami dotykała jego pleców. Jaka to szkoda, że dziewczyna młodszą jest od niego o pietnaście lat; jeżeli po długim namyśle i ciągłych zwłokach godził się wreszcie ożenić się ze starszą siostrą, to dlatego głównie, by spokrewnić się z młodszą i żyć

obok niej. Potem wszystko się jakoś ułoży, człowiek robi tyle rzeczy, sam nie wiedząc w jakim celu, jeżeli kiedyś przedtem powiedział sobie, że je zrobi!

Dojeżdżając do Cloyes, Jan popędził konia spadzistą drogą, idącą wzdłuż murów cmentarnych, skręcił w ulicę Grouaise, dążąc do zajazdu „Dobrego robotnika", a ujrzawszy przed sobą spiesznie idącego człowieka, pokazał go dziewczętom:

— Patrzcie, zdaje mi się, że to Kozioł!

— Tak, to on—odrzekła Liza.—Idzie pewnie do pana Baillehache... Czyżby się zgodził wreszcie przyjąć część swoją?

Jan trzasnął z bicza i odrzekł ze śmiechem:

— Kto to może wiedzieć, to przebiegła sztuka.

Kozioł udawał, że nie widzi nadjeżdżających, jakkolwiek już zdaleka ich poznał. Zgarbiony szedł dalej spiesznym krokiem a Liza i Jan patrzyli w milczeniu na oddalającego się, każde z nich myślało, że teraz wreszcie będzie można rozmówić się stanowczo. Gdy wjechali w podwórze zajazdu, Franciszka najpierwsza zeskoczyła z wozu.

W podwórzu stało już mnóstwo wyprzężonych wozów, gwar głosów ożywiał stary i brudny zajazd.

— Idziemy zatem? — zapytał Jan, wróciwszy ze stajni, dokąd odprowadził był konia.

— Naturalnie, chodźmy zaraz.

A jednak wyszedłszy z zajazdu, zamiast iść wprost na plac świętego Jerzego, gdzie się odbywał targ krów i koni, chodzili tam i napowrót po wielkiej ulicy, kręcąc się między przekupkami, które sprzedawały jarzyny i owoce. Wszystko troje ubrani byli odświętnie: Jan miał szeroką niebieską bluzę, czarne sukienne spodnie i jedwabną czapkę na głowie, dziewczęta włożyły popielate spódnice, ciemne, wełniane gorsety, fartuchy białe w różowe paski, na głowach miały wełniane czepeczki, zakrywające im włosy. Szli zwolna jedno za drugiem, z trudnością torując sobie drogę wśród tłumu służących i mieszczanek, które cisnęły się do przekupek, siedzących na ziemi. Przed każdą przekupką stały otwarte kosze. Poznali tam matkę Frimat przybyłą z Rognes, z dwoma ciężkiemi koszami, w których wszystkiego było poddostatkiem: i sałaty, i grochu, i śliwek, nawet trzy żywe króliki. Obok niej stał jakiś stary wieśniak przy wozie z kartoflami, które sprzedawał na garnce. Dalej nieco dwie kobiety matka z córką, rozłożyły na kulawym stole wędzone i solone śledzie, sztokfisze i inne ryby wyjęte świeżo z beczek, z których rozchodziła się słona woń, silnie drażniąca gardło. Ulica pusta zwykle w inne dnie tygodnia, pomimo pięknych sklepów, apteki a szczególniej wielkiego bazaru, którego właściciel Lambourdieu sprowadzał ostatnie nowości

z Paryża, zdawała się za ciasną w każdą sobotę: sklepy przepełnione, droga zagrodzona tłumami przekupek.

Wszystko troje przedostali się wreszcie na targ z drobiem, odbywający się na ulicy Beaudonnière. Z okolicznych majątków poprzysyłano wielkie kojce, z których wychylały szyję przerażone kaczki i w których piały koguty. Zabite i oskubane kurczęta, leżały warstwami w wysokich skrzyniach. Dalej nieco stały wieśniaczki, z których każda przyniosła cztery lub pięć funtów masła, pół kopy jaj i kilka tłustych serów. Niektóre z nich przyniosły kilka kur powiązanych razem za łapy. Panie targowały się; przed zajazdem, do którego przywieziono przed chwilą znaczny transport jaj, skupiła się gromada ludzi. Wśród służby, zdejmującej jaja z wozu, znajdowała się Palmyra; w sobotę, nie mając roboty w Rognes, przychodziła do Cloyes i tu podejmowała się najcięższych robót.

— Ot! ta dziewczyna ciężko pracuje na chleb!—zauważył Jan.

Tłum wzmagał się z każdą chwilą. Coraz to nowe wozy ukazywały się na drodze od Mondoubleau i ciągnęły zwolna przez most. Na prawo i na lewo rzeka Loir płynęła kręto po przez łąki, lewe jej wybrzeże pokryte było miejskiemi ogrodami, dęby i krzewy bzu pochylały gałęzie ku wodzie. Dalej nieco stał hałaśliwy tartak i młyn,

wielki budynek, naokoło którego unosiły się ustawicznie białe tumany mąki:

— No, cóż, czy idziemy?—zapytał znów Jan.

— Tak, tak.

Wrócili Wielką ulicą, zatrzymali się raz jeszcze na placu świętego Łukasza, naprzeciw merostwa, gdzie się odbywał targ zbożowy. Lengaigne stał z rękoma w kieszeniach przy wozie, na którym leżały cztery worki zboża, przywiezionego na sprzedaż. Dalej nieco Hourdequin opowiadał coś żywo gromadce wieśniaków, słuchających go w milczeniu. Niezadowolenie malowało się na wszystkich twarzach: spodziewano się podwyżki cen, tymczasem cena osiemnastu franków zaczynała się wahać, obawiano się ostatecznie obniżki o dwadzieścia pięć centynów. Macqueron szedł w starym zatłuszczonym paltocie, prowadząc pod rękę Bertę, ubraną w muślinową suknię i w kapelusz otoczony girlandą róż.

Skręcili na ulicę Kościelną, minęli kościół świętego Jerzego, przy którym stały kramy z naczyniami kuchennemi, z towarami norymberskiemi i łokciowemi, gdy obie siostry zawołały jednocześnie ze zdziwieniem:

— Ach! ciotka Róża!

Istotnie była to matka Fouan; Fanny, jadąc na targ dla sprzedania owsa, zabrała z sobą matkę, aby trochę rozerwać staruszkę. Obie stały przed budą szlifierza, któremu Róża dała do wyostrze-

nia nożyczki, służące jej przeszło od trzydziestu lat.

— O! to wy!

Fanny obejrzała się a spostrzegłszy Jana, dodała:

— Przyjechaliście widzę na spacer!

Dowiedziawszy się atoli, że dziewczęta przybyły w celu kupienia krowy, zainteresowały się żywiej, obiecały im towarzyszyć tem chętniej, że owies był już sprzedany. Parobek, zostawiony sam sobie, szedł z tyłu; po chwili znaleźli się wszyscy na placu świętego Jerzego.

Wielki ten kwadratowy plac ciągnął się po za kościołem, stara kamienna dzwonnica z zegarem górowała nad innemi budynkami. Aleja rozłożystych lip otaczała plac w około; dwa boki kwadratu zamknięte były łańcuchami, przytwierdzonemi do długich drewnianych drągów, które otaczały dwa drugie boki kwadratu i do których przywiązywano zwierzęta. Część placu, granicząca z ogrodami, zarosła była trawą jak łąka, podczas, gdy strona przeciwna od gościńca obstawiona karczmami: „Świętego Jerzego“, „Pod Gwiazdą“ i „Pod Kogutkiem“, była wydeptana, stwardniała, pokryta kurzem, który przy silniejszym wietrze wznosił się kłębami.

Liza i Franciszka, idąc z dwiema tamtemi kobietami, zdołały zaledwie przecisnąć się przez środkową część placu, gdzie zebrało się najwięcej ludzi. Pomiędzy niezliczoną ilością bluz

wszystkich odcieni niebieskiego — od ciemnego koloru nowego płótna do barwy wyblakłej wskutek ciągłego prania—przeglądały gdzieniegdzie białe, okrągłe czepeczki kobiet. Kilka pań przechadzało się, migocząc w słońcu jedwabnemi parasolkami. Wciąż słychać było krzyki i głośne śmiechy, które ginęły w ogólnym gwarze, przerywanym niekiedy rżeniem koni lub ryczeniem bydła. Nieco dalej, osioł ryczał przeraźliwie.

— Idźmy tędy!—odezwała się Liza, wskazując na prawo.

W głębi stały konie, przywiązane do drąga sznurami, zarzuconemi im na szyję. Na lewo krowy stały swobodnie, sprzedający przeprowadzali je z miejsca na miejsce, by je lepiej pokazać. Ludzie zatrzymywali się, oglądali zwierzęta; tu już nie było słychać śmiechów ani rozmów.

Wreszcie cztery kobiety stanęły przed krową białą w czarne łaty, którą przyprowadziło na sprzedaż dwoje ludzi, mąż i żona: ona, wysoka brunetka, trzymała krowę na sznurze, on stał z tyłu nieruchomy i milczący. Stały blizko dziesięć minut, przyglądając się uważnie zwierzęciu, wreszcie nie zamieniwszy z sobą ani słowa, ani spojrzenia, poszły dalej i znów stanęły przed inną krową o dwadzieścia kroków dalej. Przy tem wielkiem, czarnem bydlęciu stała ładna dziewczynka—dziecko prawie—trzymając w ręku pręt leszczynowy. Potem odbyło się jeszcze siedem,

czy osiem podobnych przystanków, równie długich, równie milczących, aż przejrzały cały szereg zwierząt wystawionych na sprzedaż. Wtedy wróciły raz jeszcze do pierwszej krowy i znów stanęły przed nią.

Tym jednak razem przyglądały się daleko uważniej. Stanęły jedna obok drugiej i spoglądały badawczo, jak gdyby chciały przeniknąć wzrokiem do wnętrzności zwierzęcia. Sprzedająca nie odezwała się ani słowa, patrzała gdzieindziej, jak gdyby nie zauważyła, że kobiety już po raz drugi przyglądają się jej krowie.

Wreszcie Fanny nachyliła się i szepnęła Lizie do ucha jakąś uwagę, o zaletach krowy. Matka Fouan i Franciszka również po cichu udzieliły sobie swych spostrzeżeń. Potem znów stanęły milczące i nieruchome.

— Ile chcecie?—zapytała wreszcie Liza.

— Czterdzieści pistolów — odpowiedziała wieśniaczka.

Wszystkie cztery przeraziły się tą ceną, obejrzały się, szukając wzrokiem Jana i z wielkiem zdziwieniem ujrzały go rozmawiającego z Kozłem. Obydwaj zdawali się być z sobą w serdecznych stosunkach. Kozioł, który przybył z la Chamade, aby kupić prosię, targował się zawzięcie z przekupką. Świnie leżały powiązane na wozie, gryząc się i kwicząc przeraźliwie.

— Weźmiecie dwadzieścia franków? —spytał Kozioł przekupkę.

— Nie, trzydzieści.

— No! to trzymaj je sobie!

I wesoły chłopak zbliżył się do kobiet, uśmiechając się do matki, do siostry i do kuzynek, jak gdyby je wczoraj dopiero pożegnał. One również powitały go uprzejmie, zdawały się nie pamiętać dwuletnich sprzeczek i nieporozumień. Jedna tylko matka, której Liza opowiedziała o spotkaniu go na ulicy Grouaise, patrzyła nań badawczo, jak gdyby chciała przeniknąć wzrokiem po co chodził do notaryusza, Ale niczego domyśleć się nie mogła. Żadne z nich nie uczyniło o tem najlżejszej wzmianki.

— A zatem przyjechałaś tu, aby kupić krowę? — odezwał się wreszcie Kozioł do Lizy.— Wiem to od Jana... O! patrzaj! tu właśnie stoi śliczne bydlę!

I wskazał palcem na dużą krowę białą w czarne łaty.

— Czterdzieści pistolów, dziękuję za łaskę! mruknęła pod nosem Franciszka.

— Czterdzieści pistolów dla ciebie, mały gawronie!—odrzekł Kozioł, klepiąc ją żartobliwie po ramieniu.

Ale oburzona dziewczyna odepchnęła go z gniewem od siebie.

— Dajże mi święty spokój! Czy słyszysz?... Nie lubię zadawać się z chłopcami.

Kozioł więcej jeszcze rozśmieszony jej oburzeniem, zwrócił się do Lizy, która pobladła nieco i miała poważnie zakłopotaną minę!

— A ty, Lizo, czy pozwolisz mi wtrącić się do tego? Gotów jestem założyć się, że kupię krowę za trzydzieści pistolów... Załóż się ze mną o sto sou.

— I owszem.. Jeżeli masz ochotę spróbować...

Róża i Fanny przystały chętnie na ten układ, wiedziały bowiem, że uparty i zuchwały chłopak nie cofnie się nawet przed kłamstwem lub kradzieżą byle sprzedać każdą rzecz w trójnasób jej wartości a kupić za bezcen.

Pozwoliły mu więc odejść z Janem; same zaś usunęły się na bok, aby nikt się nie domyślił ich wybiegu.

Ludzie cisnęli się coraz tłumniej do targu krów i koni, każdy uciekał ze środkowej części placu, by skryć się nieco pod drzewami. Gwarno tu było jak w ulu: niebieski kolor bluz wydawał się ciemniejszym w cieniu lip, promyki słońca przedzierające się przez gęstwinę liści padały na rozczerwienione twarze wieśniaków. Nikt jeszcze nie kupował, żadnej umowy nie zawarto dotąd, chociaż targ trwał już przeszło godzinę. Każdy namyślał się i oglądał inwentarz, wystawiony na sprzedaż. Wszyscy przechadzali się zwolna lub stali w miejscu zadumani.

Nagle tuman kurzu wzbił się po nad głowami przechodniów. Stojące nieopodal dwa konie,

przywiązane obok siebie, zaczęły stawać dęba, gryźć się, rżąc gniewnie i uderzając kopytami o bruk. Ludzie przestraszyli się, kobiety zaczęły uciekać, ale klątwy woźniców i uderzenia z biczy, które grzmiały jak piorun, przywróciły wkrótce spokój. Na pustą przestrzeń, z której ludzie uciekli, zleciały się w mgnieniu oka gołębie i biegnąc prędko, dziobały ziarna owsa, rozrzucone wśród gnoju.

— Słuchajcie, matko, ile chcecie za krowę? — zapytał Kozioł, podchodząc do wieśniaczki.

Kobieta, która zrozumiała doskonale wybieg, odpowiedziała spokojnie:

— Czterdzieści pistolów.

Kozioł udał, że nie bierze jej słów na seryo i obrócił się do gospodarza, który wciąż milczący stał na uboczu.

— Powiedzcie, stary, widać wasza baba zwaryowała, kiedy żąda tyle pieniędzy za bydlę?

Żarty te nie przeszkadzały mu jednak przyjrzeć się uważnie krowie, poznał, że zwierzę będzie dawało dużo mleka, podobały mu się cienkie jej rogi, duże oczy, wydatny brzuch jak poorany grubemi żyłami, ogon cienki i wysoko osadzony. Schylił się, żeby się przekonać, czy wymiona są długie i elastyczne i czy brodawki łatwo przepuszczają mleko. Potem, oparłszy jedną rękę na grzbiecie bydlęcia i machinalnie macając kości kręgosłupa, znów targować się zaczął:

— Czterdzieści pistolów!... ależ to śmiechu warte!... No weźmiecie trzydzieści pistolów?

Macał palcami, czy krowa ma silne i nie skrzywione kości. Następnie nieznacznie zsunął rękę między biodra bydlęcia, którego naga lekko żółtawa skóra świadczyła o wielkiej obfitości mleka.

— A zatem zgoda, trzydzieści pistolów?

— Ani grosza mniej jak czterdzieści — odpowiedziała wieśniaczka.

Odwrócił się, odszedł kilka kroków, potem znów powrócił. Teraz już wieśniaczka zaczepiła go pierwsza:

— Ot! nie opieralibyście się... to doskonała krowa. Skończy dwa lata na Świętą Trójcę a ocieli się najdalej za dwa tygodnie... Z pewnością nie będziecie żałowali, żeście ją kupili.

— Trzydzieści pistolów — powtórzył Kozioł raz jeszcze i znów udawał, że odchodzi. Wtedy kobieta, spojrzawszy pytająco na męża, zawołała:

— Słuchajcie, znudziło mi się stać tutaj tak długo. Oddam wam krowę za trzydzieści pięć pistolów. Kozioł zatrzymał się i zaczął ganić krowę: źle zbudowana, boki ma zapadłe, widocznie musiała chorować i źle była żywiona. Wreszcie zwrócił uwagę, że krowa ma skaleczoną nogę. Kłamał rozmyślnie w nadziei, że rozgniewa kobietę lub wmówi w nią, że za wiele żąda. Ale ta wzruszała ramionami.

— Trzydzieści pistolów.

— Nie, trzydzieści pięć.

Kozioł odszedł, nie zatrzymany przez wieśniaczkę. Podszedł do swoich kobiet, powiedział im, że baba nic ustąpić nie chce i że trzeba zacząć targować drugą krowę. Wszyscy razem stanęli przed dużą, czarną krową, którą owa ładna dziewczyna przyprowadziła na sprzedaż i za którą żądała trzysta franków. Kozioł dziwił się głośno tak umiarkowanej cenie, zachwycał się krową, lecz po chwili znów wrócił do pierwszej wieśniaczki:

— Tak więc stanowczo, nie wam się moje pieniądze dostać mają?

— Ha! gdybym mogła wam ustąpić, ale Bóg świadkiem, że nie mogę... Wierzcie mi, że nie żądam za wiele.

I nachyliwszy się, ujęła krowę za wymię:

— Patrzcie tylko, jakie to śliczne!

Ale Kozioł zgodzić się nie chciał i raz jeszcze powtórzył:

— Trzydzieści pistolów.

— Nie, trzydzieści pięć.

Zdawało się, że nic już nie zdoła zwalczyć oporu wieśniaczki. Kozioł wziął Jana pod rękę i odszedł z nim, aby dać jej poznać, że uważa interes za zerwany. Kobiety zaczęły namawiać go do ustępstw, tłomacząc, że krowa warta trzysta pięćdziesiąt franków.

Szczególniej Franciszka, której się krowa podobała, nalegała, by zapłacić żądaną cenę. Ale Kozioł rozgniewał się: czyż można dać się okradać tak bezczelnie? Godzinę blizko kręcił się koło wieśniaczki nie chcąc dołożyć ani grosza, pomimo niepokoju kobiet, które, drżały ilekroć nowy nabywca zapytywał o cenę krowy.

On również nie spuszczał z niej oka, ale należało być wytrwałym, by postawić na swojem Pewien był, że nikt nie pokwapi się zbytecznie z wypłaceniem pieniędzy: niech się baba przekona, czy znajdzie się jaki niedołęga, któryby dał za krowę więcej niż trzysta franków. Istotnie krowa nie była jeszcze sprzedaną, chociaż targ zbliżał się do końca.

Tymczasem na gościńcu zaczęto próbować konie.

Rosły, siwy koń pędził kłusa, podniecany krzykiem woźnicy, który biegł obok, trzymając w ręku linę, podczas, gdy weterynarz Patoir, krępy i otyły mężczyzna, stał z nabywcą na rogu placu, trzymając obie ręce w kieszeniach. Obaj przyglądali się biegowi konia i naradzali się. W karczmach roiły się niezliczone tłumy wieśniaków, którzy wchodzili, wychodzili i znów wracali, gawędząc i dobijając targu. Hałas na placu wzmagał się z każdą chwilą, rozmowa stawała się niemożliwą, jeden drugiego nie słyszał: tu cielę, nie mogąc znaleźć matki, beczało przeraźliwie, tam znów psy przemykały się pod nogami ludzi i skowyczały żałośnie, liżąc przejechaną łapę, albo też kruki, przerażone hałasem i wypłoszone z swych

siedzib, krakały, krążąc naokoło dzwonnicy kościelnej. Powietrze przesiąknięte było cuchnącemi wyziewami, woń spalenizny rozchodziła się z stojącej w pobliżu kuźni, dokąd wieśniacy, korzystając z targu, przyprowadzali konie do kucia.

— No cóż, trzydzieści! — powtórzył raz jeszcze niezmordowany Kozioł, zbliżając się do wieśniaczki.

— Nie, trzydzieści pięć.

Widząc, że ktoś inny także targuje krowę, schwycił za pysk, roztworzył jej szczęki, by obejrzeć zęby. Potem puścił krowę i splunął z obrzydzeniem. W tej właśnie chwili krowa podniosła ogon, miękki i ciepły gnój padał na ziemię, Kozioł śledził go wzrokiem jeszcze z większym obrzydzeniem. Stojący przy krowie wieśniak odszedł, nie mówiąc słowa.

— Za darmobym jej nie wziął — zawołał wreszcie Kozioł.—Bydlę stare i chore.

Tym razem wieśniaczka zniecierpliwiona już wpadła w gniew, na co właśnie Kozioł czekał: ona wymyślała mu, on odpowiadał jej grubiańsko. Gromada ludzi zebrała się na około nich: żartowano i śmiano się głośno. Wieśniak, stojący po za żoną, przyglądał się obojętnie tej scenie. Wreszcie trącił łokciem kobietę, która zawołała szorstko:

— No, weźcie ją za trzydzieści dwa pistole.

— Nie, trzydzieści.

I znów odszedł, kobieta przywołała go stłumionym głosem:

— Ech! weźcie ją już sobie do licha!... Ale drugi raz nie zbliżajcie się do mnie na targu, bo oberwiecie guza a za grosz nic wam nie sprzedam!

Kobieta trzęsła się z gniewu, nie była wstanie zapanować nad sobą.

Kozioł smiał się wesoło, żartował, drwił z baby, obiecując wynagrodzić jej krzywdę w inny sposób.

Teraz już Liza zbliżyła się do wieśniaczki, odeszła z nią na bok i wypłaciła jej należne trzysta franków, Franciszka uchwyciła za sznur, ale Jan musiał z tyłu popychać krowę, która nie chciała postąpić kroku. Kupno zwierzęcia trwało blizko dwie godziny. Róża i Fanny stały opodal, czekając cierpliwie końca układów. Zabierano się już do odejścia, gdy nagle zauważono nieobecność Kozła: stał on na drugim końcu placu i klepał po brzuchu handlarza świń. Udało mu się kupić prosię za dwadzieścia franków a gdy przyszło do zapłaty, przeliczył najprzód pieniądze w kieszeni, wyjął dwadzieścia franków i przeliczył je raz jeszcze. Ale nie łatwo mu przyszło schować prosię do worka, które przyniósł był z sobą. Zleżałe płótno darło się, ryj i łapy zwierzęcia sterczały na zewnątrz. Wreszcie zarzucił worek na plecy i poniósł prosię, które kwiczało i rzucało się w worku.

— Słuchajno, Lizo, a moje sto sou— upomniał się.—Wygrałem zakład.

Dziewczyna, śmiejąc się, podała mu pieniądze, pewna, że ich nie przyjmie. Ale Kozioł zagarnął je i schował do kieszeni. Następnie wolnym krokiem udali się wszyscy razem do zajazdu „Dobrego robotnika“.

Targ zbliżał się do końca. Pieniądze połyskiwały na słońcu, dźwięczały na stołach w handlach winnych.

W ostatniej chwili prędko dobijano targu. Na rogu placu świętego Jerzego zostało tylko kilkoro niesprzedanych zwierząt. Tłum odpływał powoli ku ulicy Wielkiej. Siedzące tam przekupki z owocami i jarzynami odchodziły, zabierając z sobą puste koszyki. Na placu, gdzie odbywała się sprzedaż drobiu, nie zostało również nic prócz słomy i pierza. Powoli wozy zaczęły się rozjeżdżać: we wszystkich karczmach zaprzęgano, odwiązywano konie, przywiązane za lejce do drewnianych drągów, plac otaczających. Na wszystkie strony, na wszystkich drogach słychać było turkot kół, wiatr nadymał niebieskie bluzy spieszących do domu wieśniaków.

Lengaigne odjechał już był do domu, zadowolony ze sprzedaży zboża i z kupna nowej łopaty. Macqueron i Berta chodzili jeszcze po sklepach. Matka Frimat odeszła do domu piechotą, uginając się pod ciężarem dwóch koszów, które napełniła gnojem, zebranym na placu. W aptece przy ulicy Wielkiej, zmordowana Palmyra stała już przeszło pół godziny, czekając aż jej przygotują

lekarstwo dla brata, który od tygodnia leżał chory, — biedna dziewczyna musiała zapłacić za miksturę dwadzieścia sou — połowę krwawo zapracowanych pieniędzy. Cztery nasze kobiety i towarzyszący im parobcy szli wolno, wkrótce jednak przyspieszyli kroku, spostrzegłszy pijanego Hyacynta, który zataczając się, szedł środkiem ulicy. Wiedziały one, że niepoprawny opój znów tego dnia zaciągnął pożyczkę, oddawszy w zastaw ostatni kawałek swego gruntu. Śmiał się sam do siebie, pieniądze dźwięczały w wielkich jego kieszeniach.

Gdy przybyli wreszcie do zajazdu, Kozioł zapytał z wesołą miną:

— Chcecie już wracać?... Słuchajno, Lizo, zostańcie obie z siostrą, wstąpimy coś przekąsić.

Zdziwiona dziewczyna spojrzała pytająco na Jana.

Kozioł zauważywszy to, dodał:

— Jan może zostać także, będzie nam weselej.

Róża i Fanny spojrzały na siebie z uśmiechem. Widocznie chłopak coś musi mieć na myśli. Ale z wyrazu jego twarzy, nie można się było domyślеć niczego. Mniejsza o to! nie należało stawać im na przeszkodzie.

— To dobrze—odezwała się Fanny—zostańcie. My z matką uciekamy do domu. Czekają tam na nas.

Franciszka, która trzymała wciąż krowę, odezwała się oschle:

— Ja także wracam do domu.

Niepodobna było namówić ją, by została. Gniewała się, chciała natychmiast odprowadzić krowę do domu. Dokuczała siostrze, która wreszcie zmuszona była ustąpić. Jan pomógł zaprzęgać, przywiązał krowę do wozu, do którego wsiadły trzy kobiety.

Teraz dopiero Róża, która czekała napróżno otwartszego wyznania ze strony syna, zapytała go nieśmiało:

— Czy nie dasz mi żadnego polecenia do ojca?

— Nie, żadnego—odpowiedział Kozioł.

Spojrzała na niego badawczo i raz jeszcze zapytała z naciskiem.

— Nic nam nowego nie masz do powiedzenia?

— Jeżeli zaszło coś nowego, dowiecie się o tem w swoim czasie.

Fanny popędziła konia, który pobiegł kłusem; krowa przywiązana z tyłu, ociągała się, wyciągnąwszy szyję. Po chwili Liza została sama z Kozłem i z Janem.

Wszystko troje weszli do zajazdu i usiedli w jednej z izb, tuż obok głównej sali. Kozioł, nie zapytawszy nawet kto płaci, poszedł do kuchni i kazał podać jajecznicę i pieczonego królika. Liza zaczęła namawiać Jana, by rozmówił się otwarcie z Kozłem. Ale już sprzątnięto jajecznicę i podano pieczyste a jeszcze zakłopotany chłopak nie śmiał ust otworzyć.

Zresztą Kozioł także zdawał się nie myśleć wcale o tej sprawie. Jadł z dobrym apetytem, śmiał się na całe gardło i—w dowód przyjaźni—trącał kolanami swych towarzyszy. Potem zaczęto rozmawiać poważniej, poruszano kwestyę nowej drogi a choć żadne z nich nie wspomniało o szczęśliwym losie Lizy, która wzięła pięćset franków w zamian za kawał gruntu, czuć jednak było, że wszystko troje o tem myśleli. Kozioł znów zaczął żartować, trącił się kieliszkiem z Janem, lecz wyraz szarych jego oczu zdradzał, że myśli o zrobieniu dobrego interesu: o przyjęciu udziału, który stawał się teraz korzystnym i o ożenieniu się z porzuconą kochanką, której grunta zyskały obecnie podwójną wartość.

— Cóż do licha — zawołał — czy nie napijemy się kawy?

— Trzy kawy!—rozkazał Jan.

Godzinę przeszło trwała jeszcze hulanka, wypili całą flaszę wódki a Kozioł nie oświadczał się stanowczo. Zaczynał mówić, urywał, ociągał się, zupełnie jak przy kupnie krowy.

Wprawdzie Liza domyślała się już, ale należało wszystko otwarcie wypowiedzieć. Nagle obrócił się do Lizy i zapytał:

— Dlaczego nie przyniosłaś z sobą dziecka?

Dziewczyna roześmiała się, zrozumiawszy wreszcie o co chodzi, poklepała go po ramieniu i uszczęśliwiona, niepomna dawnych uraz zawołała:

— Ach! Koźle, Koźle! jakiż z ciebie niedołęga!

I oto wszystko. Małżeństwo było postanowionem nieodwołalnie.

Jan, który dotąd siedział zakłopotany, rozweselił się, jak gdyby kamień spadł mu z piersi. Zaczął wreszcie mówić, powiedział całą prawdę.

— Dobrześ zrobił, żeś wrócił do dziewczyny, chciałem zająć twoje miejsce.

— Wiem, mówiono mi o tem... Oh! byłem spokojny, bylibyście mnie uprzedzili przecież!

— Z pewnością... Z tem wszystkiem lepiej, że ty się z nią ożenisz, przez wzgląd na dziecko. Zawsześmy to samo mówili, nieprawdaż, Lizo?

— Tak, święta prawda.

Rozrzewnienie malowało się na ich twarzach; całowali się serdecznie.

Jan był bardzo zadowolony, bez cienia zazdrości, cieszył się z tego małżeństwa i kazał podać piwa, gdy Kozioł wyraził ochotę napicia się jeszcze czegokolwiek. Rozparli się łokciami na stole, rozmawiali o deszczach, które wyrządziły znaczne szkody w polu.

W sąsiedniej sali siedział Hyacynt, pijany jak bela, z drugim równie pijanym wieśniakiem. Tam panował hałas nie do opisania. Wieśniacy pili, palili fajki, pluli na podłogę, krzyczeli i śpiewali, lecz donośny głos Hyacynta wyróżniał się wśród ogłuszającego gwaru. Grał z towarzyszem swym

w karty i kłócił się zawzięcie z wieśniakiem, który uporczywie dowodził, że jemu się wygrana należy. Zdawało się jednak, że nie ma słuszności. Kłótnia wzmagała się, rozgniewany Hyacynt wrzeszczał tak głośno, że właściciel zajazdu musiał wdać się w tę sprawę. Wtedy Hyacynt wstał z miejsca, obszedł wszystkie stoły, pokazując karty, by inni osądzili sprawę bezstronnie. Potem znów zaczął krzyczeć, powrócił do swego towarzysza, który schowawszy pieniądze do kieszeni, z niewzruszonym spokojem słuchał jego obelg.

Nagle Hyacynt usiadł za stołem, naprzeciw wieśniaka i spokojnym już głosem rzekł:

— Umiem jeszcze jedną grę... Załóż się ze mną, że wygram... chcesz?

Wyjął z kieszeni z piętnaście sztuk drobnej monety i rzucił ją na stół przed sobie:

— Patrzajże teraz... Połóż przed sobą tyleż pieniędzy.

Zaciekawiony wieśniak, wyjął w milczeniu sakiewkę i ułożył przed sobą stos pieniędzy.

— Teraz ja wezmę jedną z twoich monet... patrzaj!

Wziął w rękę monetę, położył uroczyście na języku i przełknął.

— Teraz ty weź jedną z moich monet. Ten, który zje najwięcej pieniędzy, wygrywa. Oto cała gra.

Stary otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, wziął jedną monetę i przełknął ją z wielką trudnością.

Hyacynt tłomaczył mu, że nie ma potrzeby się spieszyć a tymczasem połykał pieniądze jak śliwki. Gdy przełknął piątą sztukę, wszyscy powstali z miejsc i skupili się naokoło niego, przejęci uwielbieniem. Nie widzieli nigdy, aby kto mógł łykać tyle pieniędzy.

Stary wieśniak włożył do ust czwartą sztukę złotą, gdy nagle przechylił się w tył, twarz mu zsiniała, rzężało mu w piersiach; przez chwilę wszyscy myśleli, że już wyzionął ducha. Hyacynt wstał z miną zadowoloną i pewną siebie: dobrze się powiodło, wynosił ze trzydzieści franków a to przecież coś znaczy.

Kozioł zaniepokojony, obawiając się, by go nie wmieszano w tę sprawę, jeżeli stary nie przyjdzie do zdrowia, wyszedł z izby i kazał zaprzęgać natychmiast. Wróciwszy, rozglądał się bezmyślnie po izbie, nie wspominając o zapłacie, chociaż sam zaprosił ich na przekąskę. Jan załatwił rachunek. To ostatecznie wprawiło skąpego Kozła w dobry humor. Gdy wyszli na podwórze, gdzie czekały oba wozy, poklepał Jana po ramieniu:

— Pamiętaj, żebyś był na naszym ślubie. Wesele odbędzie się pewnie za trzy tygodnie. Zachodziłem już do rejenta, podpisałem akt, wszystkie papiery będą gotowe.

Poczem, wskazując Lizie miejsce na swoim wozie, dodał:

— No, siadajże, odwiozę cię do domu! Mogę jechać przez Rognes, niewiele drogi nadłożę.

Jan wracał sam swoim wozem. Uważał to za rzecz naturalną, jechał za nimi. Głucha cisza zaległa w miasteczku, oświetlonem żółtemi płomieniami latarni; na placu, gdzie niedawno wrzało życie, słychać było tylko od czasu do czasu chwiejne kroki pijanych wieśniaków. W oddali ciągnęła się czarna i pusta droga. Przed nim jechał wóz, na którym siedziała para narzeczonych. Jan zadowolony z obrotu rzeczy—gwizdał wesoło, wciągając w płuca świeże, nocne powietrze.